Ranking prezydencki ■ Polityka za bitcoiny ■ Ropa, paliwo Trumpa
Co wolno psu ■ Patryk Vega ma natchnienie ■ Smaczki z książek kucharskich

Kraków 15-21 stycznia 2025 nr 3 (3941) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

WSZYSTKIE MITY O KOŚCIELNYM STWIERDZANIU NIEWAŻNOŚCI MAŁŻEŃSTWA

Jak się rozwieść po katolicku

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
9 770041 480505 03

REKLAMA

ZWYCIĘZCA KIRKUS PRIZE 2024
W KATEGORII LITERATURA NON-FICTION

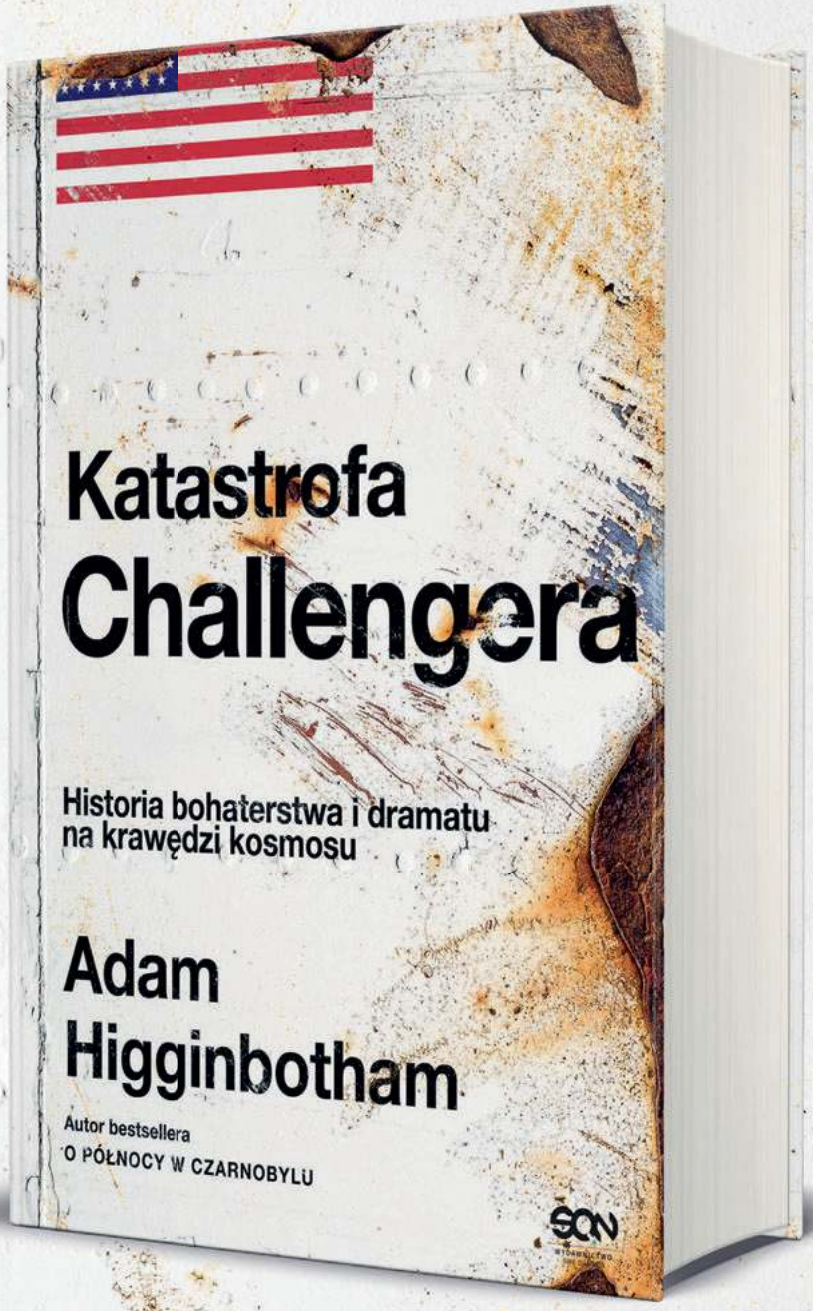

TŁUMACZENIE: JAN HALBERSZTAT

KATASTROFY PROMÓW KOSMICZNYCH, KTÓRE WSTRZĄSNĘŁY ŚWIATEM

W KSIĘGARNIACH OD 29 STYCZNIA 2025

FOT.: ©NASA

SQN
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

KS. ADAM

Boniecki: *Wasz sakrament*

Nie udzielam tego sakramentu, choć tyle razy przy nim byłem i znam wzorowe małżeństwa. Nie tylko ja zresztą, na ogół każdy z nas zna takie. Na ogół nie wiemy, czy zawsze byli wzorowym związkiem. Włączam tu pytanie „czy zawsze?", włączam je dla urealnienia tego, co chcę napisać. A chcę napisać, że tak, że jednak zawsze. Decyzja bycia razem, decyzja budowania wspólnoty nie jest prosta, bo bycie razem nie jest proste. Czasem decyzja bywa spontaniczna, oczywista we wczesnym etapie, potem ulega roztopieniu, aż do całkowitego zaniknięcia. Niestety, taka jest rzeczywistość. Pewnie nie zawsze. Są ludzie dla siebie stworzeni, są ludzie, którzy po prostu wiedzą, jak się tworzy wspólnotę, są w tym mistrzami. Krótko mówiąc, są (a więc mogą być) wspaniałe małżeństwa. Ale wspominam o nich nie po to, żeby potępiać tych, którzy takiego wspólnego życia nie mają.

To jest sztuka, która – jak każda sztuka – raz wychodzi lepiej, raz gorzej, a czasem wcale nie wychodzi. Często biegłość w sztuce istnienia we dwoje wymaga czasu i cierpliwości. Czasem tego czasu już nie staje. Często ten czas się marnuje, a potem już go nie ma.

Znamy małżeństwa fatalne, bez szans, lub z pogrzebanymi szansami. Jedni się nabrali, inni (często oboje) zaczynali w dobrej wierze, albo nie zdawali sobie sprawy, z kim wiążą swoje życie, albo wiedzieli, lecz tym się kompletnie nie przejmowali. Znamy niedojrzałych, albo i cyników, szukających tego, co jest do wzięcia bez woli dawania samemu czegokolwiek, i odwrotnie: dawania wszystkiego bez zwracania uwagi na egoizm drugiej strony, bo w miłości ważne jest nie tylko dawanie, lecz także zdolność przyjmowania. Są całe traktaty na ten temat. Są specjaliści terapeuci, którzy pomagają, i są ludzie, którzy takiej pomocy bynajmniej nie szukają, albo szukają i nie znajdują. Problem rozpadających się małżeństw jest złożony.

Założeniem wynikającym z Ewangelii jest stałość, nierozerwalność. Nie można tej sprawy załatwić krótkim stwierdzeniem, że wymaganie nie jest możliwe, skoro widzimy, że jest. Kościół katolicki niewątpliwie zrobił wiele, by rozróżnić związki dobrowolne, świadome, od tych, które z różnych powodów takich cech nie mają. To jest ważne. Procesy badające prawidłowość małżeństw odegrały kolosalną rolę w życiu wielu ludzi. Dziś jednak to wszystko wydaje się niewystarczające. Związki, zdawało się dobre, rozpadają się, więź małżeńska zdaje się nie wytrzymywać naporu sytuacji życiowych, sądy kościelne są bezradne albo krytykowane za nadmiar wyrozumiałości.

Myśli prostego księdza są być może naiwne. Jako prosty ksiądz myślę, że uzdrowienie sytuacji przyniesie samo życie. Po prostu ślub sakramentalny będą zawierać z czasem tylko ci, dla których sakrament coś znaczy. Sakrament, którego kształt, forma, słowa mają pociągający urok i realny sens, do którego jednak przystępują ludzie, którzy z innymi sakramentami dawno stracili życiową łączność, będzie stopniowo tracił (już traci) zwolenników. Kryzys sakramentu małżeństwa, może mniej spektakularny niż inne kryzysy, ale obecny coraz wyraźniej, może (nie musi!) stać się punktem zwrotnym, momentem odkrycia, co ten sakrament znaczy. Zmieni to w nauczaniu Kościoła akcenty. Ludzie niemający „ślubu kościelnego" będą traktowani zwyczajnie (zresztą już są traktowani bez porównania łagodniej niż kiedyś), ślub sakramentalny zaś przestanie być wyznacznikiem pozycji towarzyskiej. I proszę Was, nie mówcie mi, że w ten sposób pomniejszy się rola Kościoła w naszych domach. Ja myślę, że wprost przeciwnie, wzrośnie. W końcu tego sakramentu udzielają sobie sami małżonkowie. Kapłan im tylko błogosławi. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Świat czeka na inaugurację nowego prezydenta USA, która odbędzie się w najbliższy poniedziałek 20 stycznia. Choć precyzyjniej byłoby napisać, że świat czeka inauguracja Trumpa i to, co będzie po niej.

Machina trumpizmu, jak pisze **WOJCIECH PIĘCIAK**, najwyraźniej nie ominie także i nas, czego przykładem dyskusja o możliwej wizycie premiera Izraela, ściganego przez Międzynarodowy Trybunał Karny, na obchodach 80. rocznicy uwolnienia więźniów Auschwitz-Birkenau. „Amerykański »lex Netanjahu« wpisuje się dobrze w erę Trumpa – pisze Pięciak – zarówno gdy idzie o programową agendę nowego prezydenta (tu: jego bezwarunkowe poparcie dla Izraela), jak też o narzędzia, którymi Trump zamierza ją realizować. Dla europejskiej wrażliwości mogą być one mało przyjemne".

Z kolei w tekście coverowym „Krypto rządzi światem" **AGATA KAŹMIERSKA** i **WOJCIECH BRZEZIŃSKI** przypominają burzliwą historię i trudną do przewidzenia przyszłość kryptowalut, które dziś, przy wsparciu polityków i miliarderów, pozwalają rządzić światem. Nieprzypadkowo i tu pojawia się Trump: „W lipcu 2024 r. na poświęconej bitcoinowi konferencji w amerykańskim Nashville był tylko jeden liczący się mówca". W mowie wygłoszonej przed 20 tysiącami uczestników Trump powiedział, że „zmieni USA w bitcoinowe supermocarstwo zbudowane na fundamencie »strategicznej rezerwy bitcoinów«".

Nowy prezydent zapowiada też zwiększenie przez USA wydobycia ropy i gazu. Chce tym ulżyć Amerykanom i utrzeć nosa globalnym rywalom oraz aktywistom klimatycznym. Może to też zachwiać budżetem Rosji. Czy ten pomysł Trumpa jest realny? O tym – **FILIP RUDNIK** w dziale **ŚWIAT**.

Polecam też tematy społeczne. **IGNACY DUDKIEWICZ** pisze o „katolickich rozwodach" i odpowiada na pytanie, jak to się stało, że już co czwarty wyrok sądów biskupich w Europie, stwierdzający nieważność małżeństwa, zapada w Polsce. **MAREK RABIJ** zaś przygląda się rosnącej u nas liczbie psów (w 2022 r. już ponad 8 mln) i ich miejscu w przestrzeni publicznej. Coraz pilniejsze wydaje się pytanie o prawa i obowiązki ich opiekunów. A także o prawa tych z nas, którzy żyją w ich sąsiedztwie. ©℗

ANNA GOC
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka. Autorka książek „Boniecki. Rozmowy o życiu" oraz „Głuszy", za którą otrzymała Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego i Nagrodę im. Beaty Pawlak.

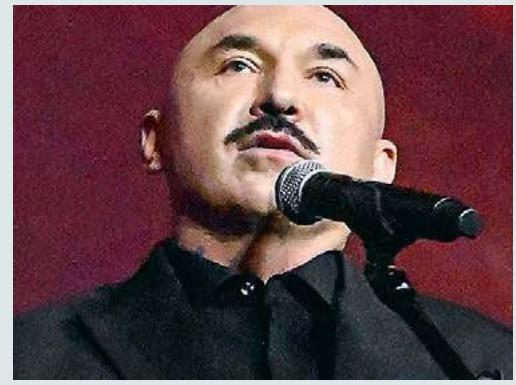

32 Z Bogiem i nie tylko
MICHAŁ WALKIEWICZ
Widziałem wszystkie filmy Patryka Vegi. I ten ostatni o Putinie też. Jedne obejrzałem z przyjemnością. Inne były gehenną. Polacy go pokochali. A potem porzucili. Dlaczego?

36 Jak się rozwieść po katolicku
IGNACY DUDKIEWICZ
Wokół procesów stwierdzających nieważność małżeństwa narosło wiele mitów. W jaki sposób Kościół uznaje, że małżeństwo nigdy nie zaistniało?

64 Matka Borejków
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK
Małgorzata Musierowicz świętuje 80. urodziny. Mija też pięćdziesiąt lat od wydania jej pierwszej powieści dla młodzieży. Wkrótce wyjdzie kolejna.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // RADOSŁAW NAWROCKI / FORUM // KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP" // JAKUB KACZMARCZYK / PAP

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Witajcie w erze Trumpa
WOJCIECH PIĘCIAK

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Scenariusze dla powyborczej Polski
MAREK KĘSKRAWIEC, PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Rezultat wyborów prezydenckich może mieć większe znaczenie niż tych z jesieni 2023 roku*

24 Zysk z wyzysku
ANNA MIKULSKA, RAFAŁ WIETOSZKO *o pracy przymusowej Kolumbijczyków*

27 Szczeki i krzyki
MAREK RABIJ: *W trwającej od lat wojnie polsko-polskiej rozgorzała kolejna bitwa. Tym razem o miejsce psów w przestrzeni publicznej*

■ ■ OPINIE

32 Z Bogiem i nie tylko
MICHAŁ WALKIEWICZ

■ ■ WIARA

36 Jak się rozwieść po katolicku
IGNACY DUDKIEWICZ

40 Wnuki Maritaina
ROZMOWA Z PIOTREM ZYGULSKIM, TEOLOGIEM I FILOZOFEM

43 Ciało jest niewinne
KS. JACEK PRUSAK SJ: *To nie z cielesnością mamy problemy, tylko z tym, co z cielesnością robi kultura masowa*

■ ■ ŚWIAT

46 Czy Trump utopi świat w morzu ropy?
FILIP RUDNIK

TEMAT TYGODNIKA

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

12 Krypto rządzi światem
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Popularności kryptowalut nie szkodzą powiązania z przestępcami, wahania kursu ani kolejne afery. Promowane przez polityków i miliarderów, stały się pełnoprawną częścią globalnej ekonomii. I dają olbrzymie wpływy.

■ FELIETONY ■

30 TOMASZ STAWISZYŃSKI
45 ZUZANNA RADZIK **55** ELIZA KĄCKA
76 OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA
FOT. MIKE KEMP / RUBBERBALL / GETTY IMAGES

49 Niemcy na zakręcie
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z MAGDEBURGA: *Słabnąca gospodarka i skutki nielegalnej imigracji to główne tematy przed wyborami do Bundestagu*

52 Kostnica z oknem na wschód
ANTONINA PALARCZYK Z KONSTANTYNÓWKI (OBWÓD DONIECKI, UKRAINA)

■ ■ HISTORIA

56 Śmierć patriarchy
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA: *Jean-Marie Le Pen był przez 40 lat guru francuskiego nacjonalizmu*

59 Polityk nie z tych czasów
MARTA ZDZIEBORSKA: *Ameryka pożegnała Jimmy'ego Cartera*

■ ■ NAUKA

60 Podbródek neandertalczyka
ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ KOT, ARCHEOLOŻKĄ

■ ■ KULTURA

64 Matka Borejków
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

68 Więcej niż kłopoty
AGATA KASPROLEWICZ PORTRETUJE ANNĘ BURNS, AUTORKĘ „MLECZARZA"

72 Co słychać między światami
DOROTA KOZIŃSKA: *Posłuchajmy śpiewu języka kaszubskiego*

74 Baśń dla dorosłych
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Magnusa von Horna „Dziewczyna z igłą"*

75 Modlitwy niewysłuchane
LEKTOR *o książce Arnošta Lustiga „Modlitwa za Katarzynę Horowitz"*

■ ■ ZMYSŁY

78 Z gruszki i pietruszki
DOROTA MALINA: *Aby korzystać z książek kucharskich, trzeba się znać na gotowaniu*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

NOWA PRENUMERATA...
... „TYGODNIK" PROSTO DO MOJEGO DOMU
STR. 31

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube/TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

WITAJCIE W ERZE TRUMPA

Nietykalność Netanjahu czy Grenlandia: jedno i drugie wpisuje się w agendę nowego prezydenta USA i narzędzia, jakimi chce ją realizować. Lepiej się z góry nastawić na nowe obyczaje, także na Zachodzie. To może być polityczny rollercoaster.

WOJCIECH PIĘCIAK

POWYŻEJ:
Donald Trump i Elon Musk. Brownsville w stanie Teksas, 19 listopada 2024 r.

Jeśli wydawało się nam, że rozpędzająca się machina trumpizmu nas ominie, gdyż sojusz z Ameryką cenimy i dajemy temu wyraz, także jako europejski prymus w wydatkach na obronność (we własnym zresztą interesie); jeśli sądziliśmy, że trumpizm nie walnie w nas rykoszetem – to byliśmy w błędzie.

Wprawdzie z punktu widzenia prawa międzynarodowego rzecz jest jasna: gdyby premier Izraela, ścigany przez Międzynarodowy Trybunał Karny (MTK) za zbrodnie w Gazie, zechciał 27 stycznia wziąć udział w obchodach 80. rocznicy uwolnienia ostatnich więźniów obozu Auschwitz-Birkenau, wówczas Polska powinna go aresztować [patrz rozmowa obok – red.]. Dla prawnika to oczywiste: uchwała rządu RP, ten „list żelazny" dający Netanjahu nietykalność, stanu prawnego nie zmienia.

W tym wypadku racja prawna musi jednak ustąpić wobec racji stanu – i z takiego punktu widzenia decyzję rządu RP można uzasadnić i jej bronić. Sojusz z USA to priorytet, w każdym razie dopóki na horyzoncie nie ma nic, co mogłoby go zastąpić. Stany zaś, w których na dobre zaczęła się już era Trumpa (zanim nawet objął urząd), nie zostawiły tu rządowi RP żadnego wyboru.

UCHWAŁA RZĄDU, przyjęta 9 stycznia, tylko o kilka godzin wyprzedziła ustawę, którą przyjęła izba niższa parlamentu USA. Uchwała głosi, iż Polska zapewni „wolny i bezpieczny udział" przedstawicielom Izraela w obchodach w Oświęcimiu; w uzasadnieniu podano, że rząd traktuje to zapewnienie „jako wpisujące się w oddanie hołdu narodowi żydowskiemu, którego miliony Córek i Synów stały się ofiarami Zagłady dokonanej przez III Rzeszę" (nazwisko nie pada, ale wiadomo, kogo to dotyczy).

Tymczasem nowa amerykańska ustawa, która bez wątpienia zostanie szybko przyjęta przez Senat i podpisana przez już prezydenta Trumpa, zakłada objęcie przez Stany sank-

cjami tych, którzy pomogą MTK w ściganiu „obywateli USA i krajów sojuszniczych". Tu też nie pada nazwisko, ale nikt nie kryje, że idzie o Izrael. Jeśli ambasada RP w Stanach właściwie wykonuje swą pracę, wolno przyjąć, iż rząd RP był informowany, że taka ustawa się szykuje.

Dla Polski oznacza to tyle, że gdyby Netanjahu został tu aresztowany, polski rząd zostałby objęty sankcjami USA. Lepiej sobie nie wyobrażać, jakie miałoby to skutki dla naszego bezpieczeństwa. Niezależnie więc od tego, czy Netanjahu się tu wybiera, ruch wyprzedzający rządu był jedyną odpowiedzialną politycznie rzeczą, jaką ten mógł zrobić. Nawet jeśli będzie to mieć złe skutki dla międzynarodowego porządku prawnego.

AMERYKAŃSKIE „lex Netanjahu" wpisuje się dobrze w erę Trumpa – zarówno gdy idzie o programową agendę nowego prezydenta (tu: jego bezwarunkowe poparcie dla Izraela), jak też o narzędzia, którymi Trump zamierza ją realizować. Dla europejskiej wrażliwości mogą być one mało przyjemne.

Bo choć także Joe Biden wspierał Izrael, przyjmując do wiadomości także jawnie zbrodnicze poczynania Netanjahu (nawet jeśli, jak czytaliśmy w relacjach z Białego Domu, z zaciśniętymi zębami), to jednak za jego rządów Stany nie przyjęły ustawy, która w istocie ogranicza samodzielność ich europejskich sojuszników, gdy idzie o traktowanie Izraela i międzynarodowego ładu prawnego.

Wprawdzie już w listopadzie 2024 r., gdy MTK wydał list gończy za Netanjahu, Republikanie i Trump chcieli przyjęcia podobnego prawa o sankcjach, ale wtedy nie mieli większości w parlamencie federalnym. Dziś mają.

W GLOBALNEJ debacie sprawa „lex Netanjahu" nie wywołała dotąd reakcji. To też zresztą jakoś znamienne: choć Trump nie objął jeszcze urzędu, to od wielu tygodni uwaga świata skupia się na nim i jego coraz to nowych zapowiedziach. A także na kolejnych medialnych wystąpieniach Elona Muska, jego głównego akolity i disruptora (to angielskie słowo można chyba przełożyć jako: psuja).

Ów swoją misję odnalazł w urządzaniu już nie tylko kosmosu, ale też globalnej polityki. To niesamowite: patrzeć, jakie zamieszanie w kolejnych krajach wywołują opinie Muska, rzucane i następnie promowane na platformie X. Jak elity Wielkiej Brytanii i Niemiec popadają w „zbiorową hiperwentylację" (określenie autora szwajcarskiego „NZZ") po tym, jak Musk dzieli się przemyśleniem, że brytyjski premier ma być współwinny tuszowania pedofilii, albo że „Tylko AfD uratuje Niemcy".

Czyżby tak duża była nieufność europejskich elit wobec własnych instytucji i zdrowego rozsądku własnych obywateli, ich odporności?

WSZYSTKO TO może być jednak tylko preludium do rollercoastera, który zafunduje za chwilę Trump. Grenlandia, Kanał Panamski: w obu miejscach jego diagnoza być może niewiele różni się od diagnozy Bidena. W obu Stany (i Zachód) mają strategiczne interesy – tu metale ziem rzadkich, tam swoboda żeglugi – i w obu rozpychają się Chińczycy. Rzecz „tylko" w tym, że Trump jest najwyraźniej gotów rzucić w kąt reguły i schematy, prawne i praktyczne, których Zachód starał się (lepiej lub gorzej) trzymać w swych działaniach.

Gdyby w tym rewolucyjnym podejściu Trumpa do relacji między państwami szukać jakichś pozytywów, to jest może jeden – choć na razie bardziej jako nadzieja. Biden przejdzie do historii jako człowiek, który pomógł Ukraińcom ocalić niepodległość, ale nie był w stanie wygrać wraz z nimi sprawiedliwego pokoju. Ze swoją nieschematycznością i (deklarowaną) gotowością do ryzyka, Trump może być dla Putina trudniejszym przeciwnikiem. Jeśli zechce. ©℗

ARCHIWUM PRYWATNE

PIOTR ŁUBIŃSKI, EKSPERT Z ZAKRESU PRAWA MIĘDZYNARODOWEGO:

Jeśli Netanjahu zjawi się w Polsce, powinien zostać aresztowany

PATRYCJA BUKALSKA: Rząd RP zapewnił nietykalność premierowi Izraela, jeśli zjawi się na obchodach 80. rocznicy wyzwolenia więźniów Auschwitz. Jest on ścigany przez Międzynarodowy Trybunał Karny.
PIOTR ŁUBIŃSKI: Sytuacja prawna jest cały czas taka, że w momencie, gdy Netanjahu pojawi się na terenie Polski, powinien zostać aresztowany i przekazany do Hagi.

Nie wnikając w intencje rządu – mowa jest o naciskach z USA – czy są podstawy dla takiego „listu żelaznego"?
Nie ma. Uchwała rządu została przyjęta bardzo szybko, wręcz w interwencyjnym trybie po tym, jak prezydent Duda skierował w tej kwestii list do premiera Tuska. Nie sądzę, aby była skonsultowana z kompetentnymi ciałami funkcjonującymi choćby w MSZ. Jak np. doradczy komitet prawny przy ministrze spraw zagranicznych, który gromadzi czołowych polskich prawników, zajmujących się kwestiami prawa karnego międzynarodowego. Nie wiem, czy uchwała była w ogóle z tym komitetem konsultowana. Szybkość jej przyjęcia sugeruje, że raczej nie.

Po wydaniu nakazu aresztowania Netanjahu jedne kraje Europy deklarowały jego wykonanie, inne lawirowały.
To, że inne państwa przywołują jakąś niezgodną z prawem praktykę, nie powinno być naszym zmartwieniem. Naszym zmartwieniem powinno być to, że w sytuacji niebudzącej wątpliwości od strony prawnej jakieś wątpliwości w ogóle się pojawiają.

Polska odgrywała dotąd znaczącą rolę w dochodzeniu międzynarodowej sprawiedliwości i to właśnie we współpracy z Międzynarodowym Trybunałem Karnym. Chodziło o zbrodnie wojenne popełniane przez siły zbrojne Federacji Rosyjskiej w Ukrainie. Współpraca z MTK była więc do tej pory dla nas bardzo istotna. Na tym, co się teraz stało, traci Polska – w krótkim, średnim i długim terminie. W naszym interesie jest, aby normy prawa międzynarodowego były przestrzegane. I to szczególnie kiedy Polska objęła przewodnictwo w Radzie Unii Europejskiej.

Co dalej?
Bez względu na to, co się dalej stanie, mleko już się wylało: odbiór międzynarodowy będzie zapewne bardzo negatywny. Uchwała rządu może być także argumentem, który będzie wykorzystywać Rosja, wskazując na hipokryzję zachodnich państw demokratycznych. ©℗

DR PIOTR ŁUBIŃSKI *pracuje w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych UJ. Specjalista od prawa międzynarodowego i humanitarnego. Pracował jako prawnik w polskim kontyngencie w Afganistanie.*

BRANDON BELL / AP / EAST NEWS

Nagonka na PKW

MAREK KĘSKRAWIEC

W zasadzie mógłbym zacząć i skończyć stwierdzeniem: „nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka”. Na dzisiejsze krzyki polityków PiS o końcu demokracji i dyktaturze Tuska, który dewastuje systemowe pułapki zastawione przez Jarosława Kaczyńskiego – można spojrzeć jak na dziejową sprawiedliwość. Trudno się dziwić premierowi, że pragnie zemsty na środowisku, które przez lata prowadziło nagonkę, mającą usunąć go trwale z życia publicznego.

Problem w tym, że dotychczasowe sukcesy w rozliczaniu PiS są tak mierne jak dokonania członków komisji sejmowych, nieradzących sobie ani z aferą wizową, ani z Pegasusem. Na razie jedynym silnym ciosem, jakim Tusk trafił Kaczyńskiego, jest zablokowanie mu wypłaty dziesiątek milionów z dotacji i subwencji partyjnej. Tyle że ten majstersztyk polityczny, mający osłabić PiS do tego stopnia, by już nigdy nie wrócił do władzy, miał niewiele wspólnego z porządkiem demokratycznym.

Nawet jeśli Państwowa Komisja Wyborcza przyjęła sprawozdanie PiS, mając świadomość kampanijnych przekrętów i opierając się na decyzji neosędziów z SN, to przecież nie do niej należy rozstrzyganie, która z instytucji sądowych jeszcze jest demokratyczna, a która nie.

To nie Sylwester Marciniak jest winny chaosowi prawnemu, w którym toniemy od lat, i to nie Ryszard Kalisz jest w PKW jedynym sprawiedliwym.

Ten dawny działacz komunistyczny wsławił się dotychczas głównie lenistwem, nie uczestnicząc w ogóle w części głosowań Komisji, albo informując o swym stanowisku po czasie. Dziś jednak stał się ulubieńcem poważnych mediów, które wierzą we wszystko, co powie. Mierzi mnie to, jednak nie moje uczucia są tu najważniejsze, lecz to, co się stanie, jeśli obecna władza odejdzie. To zaś – biorąc pod uwagę zaskakująco kiepskie oceny gabinetu Tuska ledwie po roku od przejęcia rządów – jest prawdopodobne.

Dla większości wyborców rozliczenia poprzedniej ekipy są ważne, ale chcieliby oni przede wszystkim wiedzieć, jaki pomysł ma premier na rosnące ceny i na przyszłość Polski, stającej w obliczu ogromnych i często ponurych wyzwań. Jeśli ich nie przekona, PiS wróci do władzy, a nas czeka konflikt o niewyobrażalnej skali, z wsadzaniem do więzień liderów obecnego rządu. Czy wiedząc o tym, Tusk będzie poszerzał pole demokracji, czy raczej je zawężał, napędzając zarazem zgubną dla Polski polaryzację? Odpowiedzcie sobie Państwo sami. ©℗

Kampanijne kontrowersje

PIOTR ŚMIŁOWICZ

W minionym tygodniu wspierany przez PiS kandydat na prezydenta Karol Nawrocki miał kilka kontrowersyjnych wypowiedzi. Oświadczył, że Ukraina nie ma prawa dołączyć do NATO i UE, dopóki nie rozwiąże problemu ekshumacji wołyńskich. Stwierdził też, że jest przeciwny powrotowi do tzw. kompromisu aborcyjnego i wspiera orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z 2020 r. Obie wypowiedzi dawały kandydatowi punkty w pewnych środowiskach, ale raczej – zwłaszcza ta druga – oddaliły go od prezydentury, niż przybliżyły do niej.

Słowa o Ukrainie można łatwo skonfrontować z postawą PiS od początku wojny, bezwarunkowo wspierającą euroatlantyckie aspiracje wschodniego sąsiada. Na dodatek można je uznać za sprzeczne z polską racją stanu. Zwłaszcza wobec obecnej sytuacji Ukrainy.

Obie wypowiedzi są jednak spójne z dotychczasową kampanią Nawrockiego. Zwracanie na siebie uwagi bulwersującymi wypowiedziami, skuteczne od lat, w ostatnich czasach święci szczególne triumfy, czego dowodzą sukcesy Donalda Trumpa i populistycznych ugrupowań w niemal całej Europie. Nie można więc wykluczyć, że taki sposób postępowania Nawrockiego, w tym spotkania z kibicami, może mu się opłacić. Zwłaszcza jeśli będzie miał trochę szczęścia, tak jak ostatnim razem, gdy w dwa dni po jego wypowiedzi okazało się, że porozumienie w sprawie ekshumacji na Wołyniu jest możliwe. W logikę kontrowersyjnej kampanii wpisują się też raporty o dawnych, podejrzanych powiązaniach Nawrockiego z półświatkiem, a nawet przestrogi wychodzącego tu z roli obiektywnego komentatora prof. Antoniego Dudka.

Drugim biegunem prezydenckiej kampanii jest zamieszanie na lewicy. Przewodniczący partii Razem Adrian Zandberg, który właśnie ogłosił swój start w wyborach, od razu osłabił poparcie dla kandydatki lewicy Magdaleny Biejat (do niedawna najbliższej swojej współpracownicy), zarazem wystawiając samego siebie na ryzyko klęski nie tylko politycznej, ale i organizacyjnej, zważywszy na nikłe aktywa Razem. Cała lewica zyskałaby zapewne więcej, gdyby umiała się dogadać, chowając na jakiś czas wzajemne pretensje i odmienny stosunek do rządu Donalda Tuska. Argument, że w wyborach prezydenckich oba środowiska łączą się w obronie lewicowych wartości, świadczyłby o ich dojrzałości. ©℗

GRZEGORZ WAJDA / REPORTER

Patriotyczna pielgrzymka kibiców z udziałem prezesa IPN Karola Nawrockiego. Jasna Góra, Częstochowa, 11 stycznia 2025 r.

NA PUNKTY

KIBICE
„Raz sierpem, raz młotem, czerwoną hołotę" – skandowali uczestnicy tzw. pielgrzymki kibiców na Jasną Górę podczas spotkania z Karolem Nawrockim. „Bardzo cenię kibicowski i stadionowy zmysł do tego, aby podejmować wiele tematów w sposób bardzo autonomiczny" – skomentował kandydat PiS na prezydenta, niestropiony krytyką za wykorzystanie przestrzeni sanktuarium do politycznych wieców.

DZIECI
Innym problemem jest angażowanie do wieców dzieci. „Czy jak pan zostanie prezydentem, to nie dopuści pan do wprowadzenia lewackiej ideologii w szkołach?" – zapytał Nawrockiego jedenastolatek z Tczewa. „Tak, nigdy do tego nie dopuszczę" – odpowiedział rezolutnie indagowany.

ŚWIATŁO
Odnotujmy także treść i styl deklaracji o zerwaniu przez kandydata PiS z wprowadzoną w trakcie prezydentury Lecha Kaczyńskiego tradycją zapalenia świec chanukowych w Sejmie. „Ja swoje przywiązanie do wartości chrześcijańskich traktuję poważnie, więc obchodzę święta, które są bliskie mojej osobie" – oznajmił Karol Nawrocki. ©℗

Prawica gra dla WOŚP

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Przewrotnie można by powiedzieć tak: nikt nie zrobił tyle dla najnowszej edycji Orkiestry co pogrobowcy PiS-owskiej TVP Info, czyli redaktorzy prawicowych mediów z TV Republiką na czele. Najpierw była akcja „Nie daję Owsiakowi, wspieram Republikę", zrodzona ponoć w umysłach członków Klubów Gazety Polskiej, z bezprecedensowym w historii polskich ruchów pozarządowych hasłem (siostra Małgorzata Chmielewska powiedziała w TVN24, że przez dekady swojej działalności nie spotkała się z takim sposobem zabiegania o pieniądze). Później seria materiałów, w których „dociekliwi dziennikarze" – w idealnym wariancie goniący Owsiaka (na zdjęciu) z kamerą po korytarzu – zadawali mu „niewygodne pytania" (z kiepskim dość skutkiem, bo żadnych nieprawidłowości nie udało się jak dotąd wykazać).

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

A przy okazji garść rytualnych publicystycznych syntez, jak nazwanie szefa Orkiestry „manipulatorem dla postkomunistycznego systemu", czy rzucona mu przestroga, że „kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie". Przestroga, przyznajmy, w kontekście śmierci Pawła Adamowicza też niemająca sobie równych.

Efekt? Gigantyczny rozgłos wokół tegorocznej, tym razem skupionej na onkologii i hematologii dziecięcej edycji WOŚP, wyrazy solidarności ze strony innych znanych działaczy NGO, a na koniec zapewne kolejny rekord zebranej sumy (że przy okazji rekord dobroczynności – na rzecz potrzeb własnych – pobije też TV Republika, to inna sprawa). Trudno się temu dziwić: zbiórki WOŚP, nawet jeśli jej szef jest kojarzony z jedną światopoglądową stroną sporu, są ponadpolityczne, a Owsiakowi ufa ponad 80 proc. Polaków. Zrozumiała to nawet duża część prawicy, której elektorat jest ideowo bardziej zróżnicowany, niż się o nim sądzi, i sporo przedstawicieli Kościoła – z tej strony płynie dziś wobec Owsiaka węższy niż przed laty strumień hejtu.

Niestety, sprawa ma też głębszy kontekst: efektem działań prawicowych mediów były też groźby wobec Owsiaka i zatrzymanie jednego z autorów pogróżek. Dobrze, że tym razem, inaczej niż sześć lat temu w Gdańsku, zaczęło się „tylko" od gróźb. Jest czas na opamiętanie. ©℗

Kościół inspiruje się „Łowcą androidów"

ARTUR SPORNIAK

Pilotażowe badanie przemocy seksualnej w Kościele, przeprowadzone przez Uniwersytet w Zurychu jesienią 2023 r., ujawniło ponad 1000 przypadków przestępstw w całej Szwajcarii. Pod jego wpływem biskupi tego kraju zamówili opracowanie nowego systemu rekrutacji pracowników kościelnych i kandydatów do seminariów. Szwajcarskie Radio i Telewizja (SRF) dotarło do autora systemu, który zdradził niektóre szczegóły.

Rekrutacja ma stwierdzać obecność cech istotnych dla pełnienia funkcji kościelnych, ale przede wszystkim wyłapywać cechy ryzyka. Nowością jest to, że badanie nie ma się ograniczać do wypełnienia kwestionariusza i rozmowy z psychologiem. Ma trwać cały dzień. „Ta analiza ryzyka jest przeprowadzana przez ekspertów medycyny sądowej, którzy niezależnie od pozostałej części rekrutacji sprawdzają, czy nie masz do czynienia z osobami nadużywającymi władzy. Nie używa się do tego kwestionariusza, są to konkretne metody z praktyki kryminalistycznej" – ujawnił psycholog sądowy Jérôme Endrass. Taki system rekrutacji – jak podaje SRF – jest już stosowany w szwajcarskim wojsku.

– Prawdopodobnie badani będą poddawani jakimś eksperymentom warunkującym, sprawdzającym ich reakcje na określone bodźce – komentuje psycholog i psychoterapeuta ks. Jacek Prusak SJ i przyznaje, że filmowym przykładem takiego badania był test ukazany w „Łowcy androidów". – O ile potrafimy już wychwytywać osobowości narcystyczne czy psychopatyczne, o tyle wciąż mamy kłopoty z wykryciem potencjalnych pedofilów.

Nowy system rekrutacji na pewno przydałby się także w Polsce. Gdy zacznie już działać w Szwajcarii, tamtejsi biskupi zapewne chętnie będą go użyczać. Pytanie, czy polskie diecezje oraz zakony zdecydują się na kosztowne, całodniowe badanie kandydatów – zwłaszcza że prawdopodobnie z roku na rok będzie ich coraz mniej. ©℗

VATICAN NEWS

Prefektka i jej pomocnik

KOŚCIÓŁ KOBIET ▪ Nigdy dotąd kobieta nie stała na czele watykańskiej kongregacji. Przez wieki urząd prefekta przysługiwał kardynałom lub arcybiskupom, dopiero sześć lat temu papież powierzył go świeckiemu mężczyźnie (Paolo Ruffini objął dykasterię komunikacji, którą najłatwiej było przekazać w niekonsekrowane ręce). Franciszek powtarzał jednak, że władza administracyjna w Kościele nie musi być zależna od płci. Nominacja prefektki Dykasterii ds. Instytutów Życia Konsekrowanego i Stowarzyszeń Życia Apostolskiego jest tego dowodem.

Simona Brambilla (na zdjęciu) przez dwanaście lat była przełożoną generalną zgromadzenia Misjonarek Pocieszenia. Przed wstąpieniem do klasztoru pracowała jako pielęgniarka w szpitalu, w zakonie ukończyła studia z psychologii i obroniła doktorat, była też misjonarką w Mozambiku. W 2019 r. weszła w skład pierwszej siódemki kobiet włączonych do kongregacji nadzorującej zakony, cztery lata później została jej sekretarzem. Ma więc odpowiednie kompetencje i wystarczające doświadczenie, by objąć kierownictwo tego urzędu.

A jednak, ku zaskoczeniu wszystkich, Franciszek przydzielił jej „pomocnika" w osobie kard. Ángela Artime, salezjanina, którego mianował proprefektem (tytuł ten przysługiwał do tej pory arcybiskupom, którzy „pełnili obowiązki" prefekta, oczekując na właściwą nominację i kardynalski kapelusz). Co budzi pytania o samodzielność prefektki.

Kto więc naprawdę będzie kierował urzędem? Czy zakonnica, była przełożona niewielkiego żeńskiego zgromadzenia może mieć w rzymskiej kurii większy autorytet niż wieloletni generał jednego z największych zakonów męskich, do tego kardynał? Czy dojdzie do podziału obowiązków – ona będzie odpowiadać za żeńską, a on za męską część podległych dykasterii instytucji? Od tego, jak ułoży się ich współpraca, zależy, czy historyczna decyzja papieża nie pozostanie tylko symbolicznym gestem.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Pożary w Los Angeles: taka będzie przyszłość

KATASTROFA KLIMATYCZNA ▪ Trwają największe pożary w historii Los Angeles i jedne z największych w historii USA. Zginęły co najmniej 24 osoby, ale liczba ofiar zapewne wzrośnie, bo kilkanaście osób uznawanych jest za zaginione. Największy z trzech pożarów już strawił około 100 km^2 – to niewiele mniej niż krakowska Nowa Huta albo jedna piąta Warszawy. Straty szacowane są na co najmniej 135 mld dolarów.

Paradoksalnie do kataklizmu przyczynił się deszcz, który przyszedł zeszłej zimy po dziesięcioleciach suszy. Natura odżyła. Tyle że w kolejnych miesiącach susza wróciła (ostatni raz padało 5 maja 2024 r.), a temperatury znacznie przekraczały średnią. Obfite trawy i krzewy znów wyschły. Gdy pojawił się sezonowy pustynny wiatr Santa Ana – w tym roku wyjątkowo gwałtowny, osiągający prędkość huraganu kategorii drugiej – warunki dla wybuchu pożarów były idealne.

Fale upałów, susze, pożary, burze, powodzie, osuwiska błotne... To wszystko będzie się powtarzać. Z badania opublikowanego kilka dni temu w „Nature" wynika, że to nowa norma (a to nie pierwsze badanie, które niesie takie wnioski). Naukowcy piszą, że hydroklimatyczna zmienność, nazywana też efektem bicza, gwałtownie się nasila. Przypadki, w których ekstremalne susze przeplatają się z ekstremalnymi opadami niosącymi ekstremalne powodzie i lawiny błotne stały się o 66 proc. częstsze niż w połowie XX w. Dzieje się tak dlatego, że każdy stopień ocieplenia zwiększa zdolność powietrza do zatrzymania pary wodnej o 7 proc. (to prawo Clausiusa-Clapeyrona, znane od XIX w.).

Jeśli globalna temperatura podniesie się o 3 stopnie Celsjusza w stosunku do ery przedprzemysłowej, ten efekt wzmocni się dwukrotnie. A wszystko wskazuje, że w stronę takiej przyszłości zmierzamy. Właśnie ogłoszono, że rok 2024 był najcieplejszy w historii, co nie jest niespodzianką – poprzednim najgorętszym rokiem był 2023 r., a dziesięć najgorętszych lat to ostatnia dekada. Tym razem jednak „najcieplejszy" oznacza, że średnia globalna temperatura wzrosła o ponad 1,5 stopnia Celsjusza w porównaniu z epoką przedindustrialną. To próg, którego – zgodnie z Porozumieniem Paryskim – mieliśmy się starać uniknąć. Tamten cel wydaje się już dziś fantazją, a my galopujemy w stronę o wiele groźniejszej przyszłości.

Jak na ironię, władzę w USA za kilka dni obejmie Donald Trump, który zmiany klimatu uważa za oszustwo. Zgliszcza w Los Angeles nie przekonały go, że jest inaczej. Winą za katastrofę Trump obarczył gubernatora Kalifornii Gavina Newsoma, polityka Partii Demokratycznej.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

PATRICK T. FALLON / AFP / EAST NEWS

Akcja gaśnicza nad Palisades, dzielnicą Los Angeles. 11 stycznia 2025 r.

Co robi w klasztorze panna na niedźwiedziu

SZTUKA ▪ Prace konserwatorskie w kościele i klasztorze tynieckim obfitują ostatnimi czasy w odkrycia. W 2019 r. po dwóch latach pracy udało się odrestaurować polichromię XVIII-wiecznego barokowego artysty Andrzeja Radwańskiego w kaplicy św. Scholastyki (z lewej strony kościoła). W zeszłym tygodniu natomiast Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Krakowa ogłosił, że w krużgankach odnaleziono cenne malowidła, z których najstarsze pochodzą z XV wieku.

W tym okresie opactwo przechodziło gruntowną przebudowę w stylu gotyckim. Za rządów opata Andrzeja Ożgi (1477-86) ukończono sklepienia krużganków. I właśnie rzeźbiony herb owego opata – panna siedząca na niedźwiedziu – na zworniku jednego z przęseł jest jednym z najnowszych odkryć. „Na powierzchni płaskorzeźby udało się odnaleźć ślady pierwotnej malatury z poprawnymi heraldycznie kolorami" – głosi komunikat. Z tych czasów pochodzą również fragmenty ornamentu gałęziowego. Odsłonięto też późniejsze motywy dekoracyjne, w tym wzory geometryczne autorstwa wspomnianego Andrzeja Radwańskiego z 1755 r.

Zwiedzając Tyniec, jeden z najstarszych polskich klasztorów, można napotkać ślady wszystkich epok w sztuce. Najbardziej widoczne są oczywiście elementy barokowe, zachowały się jednak także fragmenty fundamentów najstarszego kościoła, romańskie partie murów (mur pierwotnej świątyni wykorzystano jako ścianę krużganka) oraz odsłonięty w latach 40. XX w. portal w tym stylu, niegdyś prowadzący do kościoła.

©℗ MACIEJ MÜLLER

OPACTWO BENEDYKTYNÓW W TYŃCU / MATERIAŁY PRASOWE SKOK

Pokryta farbami płaskorzeźba przedstawiająca herb XV-wiecznego opata tynieckiego Andrzeja Ożgi, który przebudował krużganki w stylu gotyckim.

Przygotujmy się na transgenicznych ludzi

BIOETYKA ▪ Gdy w listopadzie 2018 r. He Jiankui z Południowego Uniwersytetu Nauki i Technologii w Shenzhen ogłosił narodziny dwóch dziewczynek, którym na etapie zarodkowym edytował genom, spodziewał się szybkiej Nagrody Nobla, a nie powszechnego potępienia w środowisku naukowym, prokuratorskich zarzutów i trzyletniego wyroku więzienia. Działania chińskiego genetyka nie wywołały jednak moralnej paniki, gdyż świat nie był mentalnie gotowy na przełomową technologię. Przyczyny ostracyzmu były bardziej prozaiczne: w pogoni za sławą badacz dopuścił się nadużyć – manipulował rodzicami dzieci i sfabrykował zgodę uniwersyteckiej komisji etycznej na przeprowadzenie procedury, która z medycznego punktu widzenia była całkowicie bezcelowa i ryzykowna. Niemniej, ten falstart użycia technologii edycji genów na ludzkich zarodkach miał swoje konsekwencje – jak dotąd nikt inny nie odważył się pójść w ślady Jiankui.

W 2020 r. urodziła się za to Aurea – pierwsze dziecko, które zostało wyłonione z grupy zarodków po zastosowaniu tzw. poligenicznej oceny ryzyka. A więc z punktu widzenia współczesnej genetyki to ona, a nie inne, odrzucone zarodki, miała geny, które niosły najmniejsze ryzyko wystąpienia rozmaitych chorób.

Te dwa głośne przypadki przypomnieli Peter M. Visscher z Uniwerstetu Queenslandu i współpracownicy w artykule opublikowanym właśnie przez „Nature", w którym rozważają przyszłość technologii edycji genów i selekcji zarodków. W swojej pracy analizowali, jakie korzyści zdrowotne może nieść kompleksowa edycja genomu zarodków. Wyniki są zachęcające: przykładowo, korekta zaledwie jednego miejsca w genomie może prawie dwukrotnie zmniejszać ryzyko zapadnięcia na chorobę Alzheimera; zaś edycja 10 miejsc może 30-krotnie zmniejszyć ryzyko zachorowania na chorobę niedokrwienną serca czy 10-krotnie na schizofrenię.

Obecnie trwają prace nad technologiami, które umożliwią edycję setek lub więcej genów za jednym zamachem i według szacunków, w przypadku zapłodnienia in vitro, powinny być one dostępne w ciągu trzech dekad. Autorzy badania i redakcja „Nature" zdają sobie sprawę z tego, że te technologie będą budzić etyczne kontrowersje, a ich stosowanie może prowadzić do powrotu eugeniki. I uważają, że czas na dyskusje etyczne jest teraz – potem będzie za późno.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

DAMIAN LEMAŃSKI / FORUM

TEMAT TYGODNIKA

KRYPTO RZĄDZI ŚWIATEM

Popularności kryptowalut nie szkodzą powiązania z przestępcami, wahania kursu ani kolejne afery. Promowane przez polityków i miliarderów, stały się pełnoprawną częścią globalnej ekonomii. I dają olbrzymie wpływy.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Sieć kantorów kryptowalut i bitomatów. Warszawa, 14 marca 2024 r.

W erze mediów społecznościowych karierę trzeba robić szybko. W zeszłym roku nieco wstawiona Haliey Welch, wówczas zatrudniona w fabryce materacy w Tennessee, odpowiadała na intymne pytania youtubera podczas ulicznej sondy. W pewnym momencie użyła wulgarnego zwrotu „*hawk tuah*", który stał się internetowym memem. Trzy miesiące później Welch była prowadzącą piątego najpopularniejszego podkastu w USA („Talk Tuah"). A potem – jak przystało celebrytce – stworzyła własną kryptowalutę.

Welch ogłosiła debiut $HAWK 4 grudnia. W mgnieniu oka waluta osiągnęła kapitalizację rynkową wynoszącą 490 mln dolarów. Jej wartość wytrzymała na tym szczycie zaledwie trzy godziny, po czym runęła o 91 proc. Szybko się okazało, że za błyskawicznym wzrostem i równie szybkim spadkiem stali twórcy kryptowaluty, którzy najpierw zaczęli skupować tokeny, windując ich cenę, a gdy ta odpowiednio wzrosła – wyprzedali je. Tak działa oszustwo znane jako „*pump and dump*" (pompuj i porzuć). Welch zaprzecza, by stała za tą manipulacją. W styczniu przeciwko twórcom $HAWK złożono w Nowym Jorku pozew. Welch, która nie została pozwana, „w pełni współpracuje" z prawnikami stron.

Ot, kolejna afera z kryptowalutami. Widzieliśmy już znacznie większe. W 2022 r. megagwiazda tego rynku, Sam Bankman-Fried, został skazany na 25 lat więzienia za kradzież ponad 1,7 mld dolarów inwestorów. Rok później Changpeng Zhao, założyciel i dyrektor generalny Binance, największej na świecie giełdy kryptowalut, usłyszał wyrok za naruszenie amerykańskich przepisów dotyczących prania pieniędzy. FBI szacuje, że tylko w 2023 r. na rozmaitych oszustwach opartych na kryptowalutach ofiary straciły 5,6 mld dolarów – o 45 proc. więcej niż rok wcześniej, a wszystko wskazuje na to, że rok 2024 pobije i ten rekord.

W błędzie byłby jednak ten, kto by uznał, że pod lawiną skandali i pozwów „branża krypto" złoży się jak domek z kart. Dziś ten biznes jest wart łącznie 3,7 bln dolarów (mniej więcej 20 proc. PKB Unii Europejskiej), a ludzie, którzy dorobili się na wirtualnych pieniądzach, przekuwają swoje dochody na potężne polityczne wpływy.

Nowy porządek

3 stycznia 2009 r. osoba lub grupa osób posługująca się pseudonimem Satoshi Nakamoto stworzyła bitcoina (BTC), pierwszą całkowicie zdecentralizowaną kryptowalutę. To miał być nowy rodzaj pieniądza. Bez banków, rządów, centralnego nadzoru, bez czyjejkolwiek kontroli. Ta cyfrowa waluta miała umożliwiać użytkownikom całkowitą swobodę w wysyłaniu pieniędzy – taniej, szybciej i bardziej anonimowo niż kiedykolwiek wcześniej.

Bitcoin początkowo był wart jedną dziesiątą amerykańskiego centa. Oparty na technologii blockchain, zdecentralizowanej i rozproszonej bazie danych, miał być gwarancją bezpieczeństwa i transparentności. Taka wizja wydawała się kusząca, szczególnie że kilka miesięcy wcześniej wybuchł globalny kryzys finansowy spowodowany przez załamanie rynku kredytów hipotecznych w USA i nieodpowiedzialne spekulacje banków. Gdy o bitcoinie zaczynało się robić głośno, na topie był też temat prywatności w sieci. Do opinii publicznej zaczęło docierać, jak wiele danych o użytkownikach zbierają strony i wyszukiwarki.

Mimo wielkich obietnic, bitcoin ani podobne mu kryptowaluty nie stały się nigdy (nie)oficjalną walutą internetu. Ich skoki wartości dyskwalifikowały je jako bezpieczny sposób płacenia za cokolwiek (choć w praktyce można nimi płacić za wszystko), ale tym, którzy weszli w ten biznes wystarczająco wcześnie, a do tego mieli – jak w kasynie – trochę szczęścia i sporo sprytu, dawały nadzieję na krociowe zyski.

W 2012 r. cena bitcoina po raz pierwszy przekroczyła tysiąc dolarów. Pod koniec 2017 r. dobiła do niemal 20 tys.; w połowie kwietnia 2021 r. do blisko 65 tysięcy. Ktoś, kto parę lat wcześniej zainwestował kilkaset dolarów, mógł się już przymierzać do kupowania własnej wyspy na Oceanie Indyjskim. Potem jednak nastąpiło gwałtowne załamanie i w latach 2021-2022 wartość bitcoina spadła o prawie dwie trzecie.

Gdyby do takiego krachu doszło na jakimkolwiek innym rynku – nieruchomości, ropy, złota czy walut – byłoby to najpewniej początkiem globalnego kryzysu. „To wszystko natychmiast wpłynęłoby na bilanse banków. Znaleźlibyśmy się znowu w sytuacji jak z 2008 roku" – mówił magazynowi „The New Yorker" Dennis Kelleher, prezes organizacji zajmującej się bezpieczeństwem rynków Better Markets.

Do niczego takiego w przypadku bitcoina nie doszło. Głównie dlatego, że organy regulujące rynki finansowe bacznie ↦

pilnowały, by tradycyjne instytucje finansowe trzymały swoje inwestycje z dala od kryptowalut.

Ale dziś świat wygląda już inaczej. Wartość kryptowalut znowu pędzi w stronę stratosfery, branża dąży zaś do tego, by wszelkie ograniczenia zdjąć raz na zawsze. I dzięki zręcznym inwestycjom w polityków już dostaje to, czego chce. Przynajmniej w Stanach Zjednoczonych.

Polityka na sprzedaż

W lipcu 2024 r. na poświęconej bitcoinowi konferencji w amerykańskim Nashville był tylko jeden liczący się mówca – Donald Trump. W blisko godzinnym przemówieniu, wygłoszonym przed 20 tysiącami uczestników, zapowiedział, że zmieni USA w bitcoinowe supermocarstwo zbudowane na fundamencie „strategicznej rezerwy bitcoinów". „Nasz naród nigdy nie rozkwitał przez cenzurowanie nowych idei i zabijanie marzeń ludzi" – mówił.

Entuzjazmu uczestników nie gasiło to, że ten sam Donald Trump, gdy był prezydentem, twierdził, iż wartość bitcoina „bierze się z powietrza", a rynek kryptowalut wiązał z „handlem narkotykami i innymi przestępstwami" oraz nazywał „nadchodzącą katastrofą". Zmiana poglądów Donalda Trumpa jest jednak zrozumiała. Gdy był prezydentem, „kryptoziomale", jak sami siebie nazywają, nie mogli mu zaoferować wielomilionowych datków na kampanię.

Według danych firmy konsultingowej Henley & Partners, na świecie jest obecnie ponad 172 tys. ludzi, którzy mają ponad milion dolarów w kryptowalutach. To o 95 proc. więcej niż w 2023 r. Według magazynu „Forbes" co najmniej 17 osób zarobiło na kryptowalutach co najmniej miliard. Tylko ta siedemnastka dysponuje w sumie majątkiem przekraczającym 93 mld dolarów. I choć kryptowaluty są niestabilne, kryptomiliarderzy robią, co mogą, by ich fortuna rosła. A gwarancją tego mają być politycy.

Z raportu organizacji non-profit Public Citizen wynika, że korporacyjni i indywidualni darczyńcy związani z tą branżą przeznaczyli na amerykańską kampanię wyborczą w 2023 r. co najmniej 245 mln dolarów (żaden inny sektor nie zbliżył się nawet do tej kwoty). Te fundusze nie poszły jednak tylko na promowanie Donalda Trumpa. Branża krypto postawiła także na Kongres. Grupa lobbystyczna Stand with Crypto po wyborach ogłosiła, że wszyscy kandydaci, którzy byli popierani i finansowani przez „kryptoziomali", wygrali w swoich okręgach i teraz w Izbie Reprezentantów będzie 274 polityków „pro-krypto", w Senacie zaś – 20.

Wróg numer jeden

Udział branży nie ograniczał się jednak tylko do sponsorowania pozytywnych spotów. Każdy kandydat, który choćby delikatnie wyraził sceptycyzm wobec kryptowalut, mógł się spodziewać zalewu negatywnych reklam pod swoim adresem, choć, co ciekawe, zazwyczaj nie miały one żadnego związku z tym rynkiem (to akurat nie powinno dziwić, bo według badań Pew Research aż 63 proc. Amerykanów nie ufa kryptowalutom).

Przekaz branży trafił do adresatów. Jeszcze latem kilkunastu członków Izby Reprezentantów z Partii Demokratycznej podpisało list do Jaimego Harrisona, przewodniczącego Demokratycznego Komitetu Narodowego, wzywając, by partia przyjęła „nowoczesne podejście do cyfrowych aktywów i technologii blockchain". Wiceprezydent Kamala Harris, która należała do administracji starającej się uregulować dziki zachód rynku kryptowalut, przez całą kampanię stanowczo milczała na ich temat. To jednak nie wystarczyło.

Czego od zwycięzców po wyborach oczekuje branża krypto w ramach spłaty długu? Przede wszystkim głowy jednego człowieka – Gary'ego Gensera, szefa amerykańskiej Komisji Papierów Wartościowych (SEC), którego od lat uważała za wroga numer jeden. Od objęcia urzędu w 2021 r. starał się zmusić kryptowaluciarzy, by stosowali się do takich samych zasad, jakie obowiązują instytucje emi-

GORODENKOFF / ADOBE STOCK

Obiecana rewolucja

BLOCKCHAIN – technologia stojąca u podstaw funkcjonowania kryptowalut – była przedstawiana jako rewolucja na miarę wynalezienia internetu.

TECHNOLOGIA ta umożliwia zapisywanie i przechowywanie danych w rozproszonej sieci tysięcy komputerów, co eliminuje potrzebę centralnego serwera. Działa na zasadzie łańcucha bloków, z których każdy zawiera zestaw danych oraz odniesienie do poprzedniego bloku. Dzięki temu tworzy chronologiczną, uporządkowaną strukturę odporną na manipulacje.

POCZĄTKOWO wydawało się, że blockchain znajdzie szerokie zastosowanie w wielu dziedzinach, takich jak śledzenie pochodzenia produktów w łańcuchu dostaw, zarządzanie danymi pacjentów w służbie zdrowia czy systemy potwierdzania tożsamości online.

MIMO ponad dekady rozwoju, zastosowania blockchain na wielką skalę poza kryptowalutami pozostają ograniczone.

© AK, WB

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Kantor Bitcoin. Kraków, lipiec 2024 r.

Kryptowaluty w Polsce: legalne, ale...

JAK PODAJE Narodowy Bank Polski, obrót kryptowalutami nie narusza polskiego prawa, chyba że służą do działalności przestępczej lub prania pieniędzy. Zgodnie z definicją zaproponowaną przez Europejski Urząd Nadzoru Bankowego, kryptowaluty są „cyfrową reprezentacją wartości, nieemitowaną przez bank centralny ani organ publiczny, niekoniecznie powiązaną z walutą określonego kraju, lecz uznawaną przez osoby fizyczne i prawne za środek płatniczy".

NBP INFORMUJE, że nie są one zatem pieniądzem, tj. prawnym środkiem płatniczym ani walutą. Nie mogą być wykorzystane do spłaty zobowiązań podatkowych oraz nie spełniają kryterium powszechnej akceptowalności w punktach handlowo-usługowych. Ich wartość nie jest gwarantowana przez żaden bank centralny na świecie ani przez Bankowy Fundusz Gwarancyjny (gdyż nie są one depozytami bankowymi). Nie są też w rozumieniu prawa pieniądzem elektronicznym (nie mieszczą się one w zakresie ustawy z dnia 19 sierpnia 2011 r. o usługach płatniczych) i nie są nadzorowane przez Komisję Nadzoru Finansowego.

OD DOCHODU uzyskanego z odpłatnego zbycia walut wirtualnych należy zapłacić podatek dochodowy w wysokości 19 proc.

©℗ MK

Więcej:
nbp.pl/uwazaj-na-kryptowaluty,

www.podatki.gov.pl/pit/rozliczenie-ze-sprzedazy-kryptowalut

tujące m.in. obligacje i akcje. A to oznacza konieczność prowadzenia szczegółowej dokumentacji, drobiazgowe audyty czy wdrażanie procedur zapobiegających m.in. praniu brudnych pieniędzy. To wszystko pozwala chronić inwestorów przed oszustwami i ograniczać liczbę nielegalnych transakcji. Branża (której dotyczy jedna piąta wszystkich skarg do SEC, choć stanowi ona jedynie jedną setną wartości rynku finansowego USA) odpowiada jednak z uporem: wszelkie regulacje to nadmierna rządowa ingerencja w wolność gospodarczą, której celem jest zaduszenie konkurencji dla tradycyjnych finansów.

Jak w banku

Kryptowaluciarze głowę Gensera już w zasadzie dostali – choć jego kadencja miała się skończyć dopiero w przyszłym roku, po wygranej Trumpa złożył dymisję i zapowiedział odejście z urzędu w dniu inauguracji nowego prezydenta.

Zastąpić ma go Paul Atkins, który ma doświadczenie w SEC i dał się poznać jako zwolennik wolnego rynku. W ostatnich latach stał się gorącym orędownikiem kryptowalut, stając na czele grupy lobbującej Token Alliance. „Apeluję, by SEC nie regulowała tego obszaru, dopóki nie będziemy mieli lepszego zrozumienia produktów i usług dostarczanych przez te firmy, ich modeli biznesowych i rynków, na których działają" – mówił przed Izbą Reprezentantów w 2015 r.

Czego można się teraz po nim spodziewać? Zapewne znikną przepisy ograniczające bankom możliwość zakupu kryptowalut (republikański Kongres próbował znieść je już rok temu, ale ustawę zawetował Joe Biden). „Prawdopodobnie uzna, że kryptowaluty nie są papierami wartościowymi, i dlatego giełdy, na których się nimi handluje, nie są giełdami papierów wartościowych. A to stworzy okazję do oszukiwania inwestorów na wielką skalę" – mówił Associated Press kongresmen Partii Demokratycznej Brad Sherman, który zasiada w komisji usług finansowych.

Eksperci spodziewają się, że nadzór nad rynkiem kryptowalut może zostać przeniesiony do słabszej od SEC agencji Commodity Futures Trading Commission, która zajmuje się dziś wyłącznie tzw. rynkami futures. Wreszcie rozwiązane lub pozbawione zębów może zostać Biuro Ochrony Finansowej Konsumentów – agencja utworzona po kryzysie z 2008 r. w celu ochrony obywateli przed skutkami nadużyć branży finansowej.

Wszystko to ma służyć jednemu: ułatwić całkowitą integrację branży krypto z tradycyjnymi bankami i funduszami szukającymi zysków. „Wielką ironią jest to, że ta branża chce połączyć się z resztą systemu finansowego tak, by wspierały ją te same banki centralne, a to je kryptowaluty pierwotnie miały kwestionować" – mówiła Bloombergowi prof. Hilary Allen z American University i autorka książki „Driverless Finance". W tym kontekście warto także zauważyć, że nad bitcoinami *de facto* kontrolę mają osoby lub organizacje, które posiadają ich największą liczbę. Obecnie najwięcej bitcoinów (ok. 1 mln BTC) znajduje się w cyfrowym portfelu należącym do Satoshiego Nakamoto. Kim jest? Nie wiemy.

Przełamana bariera

Na ulicach Abu Dhabi ryczącego głośnym silnikiem żółtego lamborghini nie dało się przegapić. Jeździł nim Eric Trump, syn prezydenta elekta. Gdy 10 grudnia wysiadł z luksusowego auta w czapeczce z napisem „BTC 100K THANKS TRUMP" przed centrum, gdzie miała się odbyć konferencja Bitcoin Mena, tłum wył, jakby zobaczył zmartwychwstałą Marilyn Monroe. ↦

↦ Donald Trump wygrał wybory 5 listopada. Dokładnie miesiąc później bitcoin po raz pierwszy w swojej historii przebił poziom 100 tys. dolarów.

„Gdyby nie ataki rządu USA na krypto, nie sądzę, by moje oczy były tak otwarte na ten przemysł. Widziałem, jak was ścigają. Widziałem, jak okradają wasze konta" – mówił syn przyszłego prezydenta, nakreślając wyraźny związek między zwolennikami kryptowalut a zwolennikami jego ojca. I obiecał złote czasy dla jednych i drugich, gdy Trump obejmie urząd.

Na pewno jest spora szansa, że będą to bardzo dobre czasy dla jego rodziny. Jeszcze podczas kampanii Donald Trump ogłosił rozpoczęcie rodzinnego projektu kryptowalutowego, World Liberty Financial, który ma oferować usługi pożyczkowe i handlowe. Jego najstarszy syn, Don Jr, przekonywał wówczas, że to alternatywa dla systemu bankowego, który jest „tradycyjnie wrogi konserwatystom". Oczywiście natychmiast pojawiły się wątpliwości, czy takie działania kandydata na prezydenta są etyczne. A wątpliwości stały się jeszcze większe, gdy już po wyborach okazało się, że największym inwestorem w rodzinny projekt Trumpów (30 mln dolarów) jest pochodzący z Chin Justin Sun oskarżony w USA o manipulacje i oszustwa... na rynku kryptowalutowym. Nikt nie zadał sobie jednak trudu, by wątpliwości w jakikolwiek sposób rozwiać.

Świat się dzieli

Ameryka pod rządami Donalda Trumpa i jego „krypto-sojuszników" może wkrótce znieść zabezpieczenia wybudowane wokół rynku kryptowalut, ale reszta świata raczej nie zamierza iść tą ścieżką. W Unii Europejskiej z początkiem tego roku weszły w życie wszystkie postanowienia Rozporządzenia MiCAR (część z nich obowiązywała już w 2024 r.). Nakładają one na firmy obracające kryptowalutami obowiązek uzyskania licencji, posiadanie dostatecznych rezerw kapitałowych chroniących środki klientów czy publikowania podczas emisji aktywów „białej księgi", zawierającej kluczowe informacje dotyczące m.in. ryzyka związanego z inwestycją. Wreszcie, firmy takie są zobowiązane do monitorowania podejrzanych transakcji i identyfikacji użytkowników w celu przeciwdziałania praniu brudnych pieniędzy. Karą za niestosowanie się do tych reguł może być zakaz działalności w UE.

Jeszcze dalej idące ograniczenia wprowadziły Kanada, Argentyna, Turcja czy Zjednoczone Emiraty Arabskie. Tajlandia zakazała handlu dobrami cyfrowymi „nieposiadającymi jasnego celu czy wartości". Trzy lata temu Chiny zdelegalizowały na swoim terytorium handel kryptowalutami, tłumacząc to „praniem pieniędzy, nielegalnym zbieraniem środków, oszustwami, piramidami finansowymi oraz innym nielegalnym i kryminalnym działaniem" (co nie znaczy, że Chińczycy w kryptowaluty nie inwestują – traktują je jako bezpieczniejszą i bardziej dochodową alternatywę dla coraz bardziej chwiejnych chińskich banków i giełd; Reuters podaje, że między rokiem 2022 a 2023 chiński rynek kryptowalut zarejestrował transakcje na łączną kwotę 86 mld dolarów).

Klimat na inwestycje

Oprócz pojawiania się (poza Ameryką) kolejnych zakazów i regulacji, za branżą ciągnie się jeszcze jeden problem, który może się przerodzić w potężny kryzys. Według danych Międzynarodowego Funduszu Walutowego, „kopanie" kryptowalut (czyli wykorzystywanie mocy obliczeniowej komputerów do wykonywania obliczeń uwierzytelniających transakcje, w zamian za co użytkownicy są nagradzani nowo „wyprodukowanymi" pieniędzmi) odpowiada za 2 proc. globalnego zużycia energii oraz niemal 1 proc. światowych emisji gazów cieplarnianych. Każda transakcja przeprowadzona za pomocą bitcoina wymaga ilości prądu, jaką statystyczny Pakistańczyk czy Ghańczyk zużywa w ciągu trzech lat. A prognozy Międzynarodowej Agencji Energetycznej wskazują, że do 2027 r. zużycie energii całej branży kryptowalut wzrośnie niemal dwukrotnie i wówczas będzie ona odpowiedzialna za zużycie, jakie ma dziś Japonia, piąty najbardziej energochłonny kraj świata.

Jednym z proponowanych rozwiązań jest podatek od kopania kryptowalut. Opłata, której wprowadzenie zaproponowano podczas ostatniego szczytu klimatycznego, miałaby wynosić 0,045 centa

EAST NEWS

David Chaum, twórca cyfrowych pieniędzy. 1995 r.

Krótka historia kryptowalut

1983 kryptograf David Chaum w ramach pracy doktorskiej tworzy założenia eCash – pierwszej anonimowej cyfrowej waluty. Pierwsza transakcja ma miejsce w 1994 r.

1998 stworzenie terminu „kryptowaluta".

1999 powstaje Napster, pierwsza wielka sieć P2P. Takie sieci pozwalają tysiącom komputerów współpracować bez centralnego serwera. Napster służył głównie do piractwa, ale założenia P2P pozwoliły potem stworzyć sieci, na których opierają się kryptowaluty.

2008 Satoshi Nakamoto publikuje dokument opisujący działanie systemu Bitcoin.

2009 pierwszy przelew za pomocą bitcoina – Nakamoto przesyła kryptografowi Halowi Finneyowi 10 BTC.

2010 pierwszy zakup za bitcoiny: Laszlo Hanyecz z Florydy kupuje za pośrednictwem forum internetowego 2 pizze z dostawą. Płaci 10 tys. bitcoinów (dziś byłyby warte miliard dolarów).

2011 Bitcoin osiąga wartość 1 USD. W tym samym roku działalność rozpoczyna Silk Road – anonimowe targowisko pozwalające użytkownikom kupować i sprzedawać niemal wszystko za pomocą kryptowalut. Szybko zmienia się w największy w sieci rynek narkotyków, broni i innych zakazanych towarów.

2011 pojawia się pierwsza konkurencyjna kryptowaluta, litecoin.

2012 rusza Coinbase, największa na świecie giełda kryptowalut.

na zużytą kilowatogodzinę. Pomysłodawcy twierdzą, że zyski – szacowane na 5 mld dolarów rocznie – mogłyby pomóc w walce ze skutkami globalnego ocieplenia, jednocześnie motywując kryptoinwestorów do przerzucenia się na czystsze źródła energii.

W Ameryce Donalda Trumpa i Republikanów dominujących w Kongresie to oczywiście nie ma szansy przejść. I najmniejszą przeszkodą jest to, że nowy-stary prezydent chce wycofać Stany Zjednoczone z porozumienia klimatycznego. „Kiedy członkowie Kongresu boją się, że z dnia na dzień ktoś wyda dziesiątki milionów dolarów na wymierzone w nich kampanie, wola robienia tego, co słuszne, szybko znika" – mówiła magazynowi „The New Yorker" Katie Porter, kongresmenka z Kalifornii, która stała się podczas niedawnej kampanii celem ataków ze strony branży krypto. Skutecznych – straciła urząd. „To był pokaz nagiej politycznej siły, którego celem było wpływanie na decyzje podejmowane w Waszyngtonie" – twierdzi Porter. Inny rozmówca magazynu związany z branżą krypto podsumował to jeszcze dosadniej: „Jeśli jesteś pro-krypto, pomożemy ci. Jeśli jesteś przeciwko nam, rozerwiemy cię na strzępy".

Złoto w chmurze

Rząd Stanów Zjednoczonych posiada ponad 200 tys. BTC (ich wartość przekroczyła niedawno 2 mld dolarów). Zostały skonfiskowane w toku rozmaitych spraw karnych (dzięki względnej trudności w śledzeniu takich transakcji, od początku kryptowaluty stały się ulubionym środkiem płatniczym rozmaitych organizacji przestępczych). W Nashville Trump zapowiedział, że nie wyprzeda nic z tego majątku. Z otoczenia przyszłego prezydenta dobiegają jednak głosy, że USA w ciągu najbliższych pięciu lat powinny skupić z rynku kryptowaluty warte co najmniej 100 mld dolarów, a następnie przetrzymywać je przez co najmniej dwie dekady. To sprawiłoby, że amerykański rząd stałby się jednym z głównych graczy na tym rynku. Projekt takiej ustawy, przygotowany przez republikańską senator Cynthię Lummis, już czeka.

Ten pomysł, jak podkreśla w komentarzu redakcyjnym Bloomberg, „wygląda na największe kryptowalutowe oszustwo, jakie dotąd widziano". Aby utworzyć rezerwę w zasadzie bezużytecznych dla państwa tokenów, rząd musiałby zadłużyć się bądź dodrukować dolary, napędzając inflację i osłabiając dolara. A rezerwa – dziś warta 100 mld, za 20 lat równie dobrze może być warta 100 bln, co 100 dolarów. Lummis zaproponowała, by projekt sfinansować sprzedając złoto z rezerw federalnych. A to sprowadza cały federalny rząd USA do roli nałogowego hazardzisty w kasynie.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

2013 pierwsza „bańka" bitcoinowa wywołana zamknięciem przez FBI serwisu Silk Road – wartość waluty spada o 83 proc. i nie wraca do poprzedniego poziomu przez dwa lata.

2015 powstaje ethereum, dziś druga po bitcoinie najważniejsza kryptowaluta.

2017 bitcoin osiąga wartość 20 tys. dolarów...

2018 ...po czym jego wartość spada o 80 proc. Zaczyna się „pierwsza zima krypto".

2021 dogecoin, waluta stworzona jako żart, zwiększa wartość o 20 tys. procent w ciągu roku. Bitcoin osiąga cenę 64 tys. dolarów. Bańka pęka w 2022 r. Wartość rynku kryptowalut spada z niemal 3 bilionów dolarów do 800 miliardów.

2022 Bankructwo FTX, jednej z największych giełd kryptowalut. Śledczy ustalają, że założyciel, Sam Bankman-Fried, traktował ją jako osobistą skarbonkę. Zostaje skazany na 25 lat więzienia za kradzież ponad 1,7 mld dolarów inwestorów.

2024 Donald Trump uruchamia własną firmę z branży krypto, World Liberty Financial.

2025 cena bitcoina po raz pierwszy przebija 100 tys. dolarów. © AK, WB

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Miłość braterska

„W dniu, w którym zginął mój brat, Józef, ojciec zszedł z łóżka. [Odtąd] siedział i spał na podłodze. Nie tylko to: jak widziałem swoich [przyrodnich] braci, każdego z nich siedzącego obok swoich [rodzonych] braci, a ja siedziałem sam, to mi łzy płynęły z oczu" – te słowa włożył w usta Beniamina wczesnośredniowieczny midrasz, wyjaśniający kulisy biblijnego wersu Rdz 43, 30. Przypomnijmy: ze względu na głód w Kanaanie, Jakub wysyła swoich synów po aprowizację do Egiptu. Przy ojcu pozostaje tylko najmłodszy – od zaginięcia Józefa beniaminek – „by go nie spotkała przygoda" (Rdz 42, 4; Cylkow). Wicekról Egiptu znajduje jednak sposób, by starsze rodzeństwo płci męskiej przywiodło doń jego jedynego rodzonego brata (zob. Rdz 42, 18-20).

Nierzadko skupiamy się tak bardzo na Józefie – głównym bohaterze kilkunastu rozdziałów Księgi Rodzaju – że prawie nie zawieszamy myśli na Beniaminie. Ile lat mógł mieć ten chłopczyk, kiedy synowie przynieśli Jakubowi unurzaną w koźlęcej krwi wielobarwną szatę? Biblia nie daje nam bezpośrednio odpowiedzi, dopiero tradycja stara się poskładać fakty – i wygląda na to, że zniknięcie jedynego rodzonego brata stało się udziałem ośmiolatka. Do ponownego spotkania dochodzi wiele lat później w Egipcie: „I podniósł [Józef] oczy swoje, i spostrzegł Binjamina, brata swego, syna matki swojej, i rzekł: »Czyż to ten brat wasz najmłodszy, o którymście mówili mi?«. I rzekł: »Oby ci był Bóg miłościw, synu mój!«. I pospieszył Josef, bo zawrzała miłość jego ku bratu swojemu, i chciał się wypłakać; i poszedł do komnaty, i płakał tam" (Rdz 43, 29-30).

Artyści zwykle odmalowują tę scenę, przedstawiając Beniamina jako chłopca. Ale ma on wówczas już dziesięciu synów i niedawno przekroczył trzydziestkę! Starożytny midrasz wkłada w usta braci rozmowę dotyczącą dzieci. Józef wpierw chce się dowiedzieć od Beniamina, czy ma on już potomków, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, pyta o ich imiona. Znamy je wszystkie z Rdz 46, 21: „A synowie Binjamina: Bela, i Becher, i Aszbel, Gera i Naaman, Echi, i Rosz, Muppim, i Chuppim i Ard". Józef sonduje znaczenie tych imion i okazuje się, że bez wyjątku nawiązują etymologicznie do jego własnej sytuacji życiowej. Niesamowite: zaginiony brat żył więc cały czas w myślach półsieroty, wychowywanego przez pogrążonego w głębokiej żałobie ojca. ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca:
Bóg z krwi i kości

„Pójdź do Jezusa, do niebios bram, / W Nim tylko szukać pociechy nam / On nas napoi krwią swoich ran (...) Słuchaj Jezu, jak Cię błaga lud / Słuchaj, słuchaj, uczyń z nami cud". A Bóg, przez Izajasza, tak odśpiewuje: Jeruzalem, „nie będą już mówić o tobie Opuszczona (...) lecz będą cię nazywać Moja Ukochana (...) Jak młodzieniec poślubia pannę, tak twoi synowie poślubią ciebie, i jak oblubieniec raduje się oblubienicą, tak twój Bóg rozraduje się tobą".

A zatem, jeśli już trzeba Boga szukać, to nie u „niebios bram", ale w tym wszystkim, co tu i teraz się dzieje. „Modląc się zaś, nie paplajcie jak poganie, zdaje się im bowiem, że w wielomówstwie ich wysłuchani zostaną" – radzi Jezus. Modlitwa zatem nie może polegać na zatrudnianiu Boga w charakterze pomocnika. Dlatego żeby stać się chrześcijaninem, najpierw trzeba stać się ateistą lub agnostykiem. Ignacy z Loyoli radzi: Działaj tak, jakby wszystko zależało od ciebie, ale trzymaj się Boga, gdyż wtedy twoje działanie nie pójdzie na marne. Czyli żyj, jakby Boga nie było, ale podchodź do świata, jak doń podchodzi Bóg. A jak podchodzi, doskonale obrazuje opowiadanie o weselu w Kanie Galilejskiej. Oto Bóg, przez człowieka, ratuje od zniszczenia radość z życia. Tam też ma swój początek Kościół. Począł się na weselu przy hektolitrach wina.

Tylko uważajmy na tłumaczy. W wydaniu interlinearnym Nowego Testamentu mamy: „i kiedy staną się pijani", ale w Lekcjonarzu: „a gdy się napiją". Ponoć jakiś ksiądz abstynent na kazaniu o galilejskim weselu miał powiedzieć, że co prawda Pan Jezus przemienił wodę w wino, ale tego Mu się nie pochwala. Zapomniał biedak albo nie doczytał, o co Jezus prosił Boga dla uczniów i dla nas. Ojcze: „Nie proszę, abyś ich zabrał ze świata, lecz abyś ich ustrzegł od złego". Uroczystość Narodzenia Pańskiego o tym nam właśnie przypomina.

Tu, na ziemi, nie jesteśmy „wygnańcami Ewy", ziemia wbrew jej i naszej brzydocie nie jest „łez padołem". Papież Franciszek zachęca, zwłaszcza teologów, by pamiętali, że Jezus jest człowiekiem, i nie dziwili się, że czegoś mógł nie wiedzieć, wątpić w coś, denerwować się, że kogoś zrugał i obraził. Był człowiekiem z krwi i kości, i o tym przypomina Kościołowi na każdej mszy. Tam, gdzie ludzie, tam Bóg. Jego szczęściem są ludzie, a świat Jego domem. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Lekcja dla nas

„Gdy Jezus przebywał w jednym z miast, zjawił się człowiek cały pokryty trądem. Gdy ujrzał Jezusa, upadł na twarz i prosił Go: Panie, jeśli zechcesz, możesz mnie oczyścić" (por. Łk 5, 12-16). Medytując nad tą Ewangelią, dobrze jest zobaczyć najbliższy kontekst: naszą perykopę poprzedza wydarzenie powołania pierwszych uczniów: Piotra i Andrzeja oraz Jakuba i Jana. Dotychczasowym rybakom Jezus zapowiada, że „odtąd" zaczną się uczyć łowić ludzi. I oto przeżywają pierwszą lekcję.

Zauważmy najpierw, komu Jezus pomaga: trędowatemu, potem paralitykowi (zob. Łk 5, 17-26) oraz celnikowi Lewiemu (Łk 5, 27-32) – wykluczonemu, choremu oraz kolaborantowi. To są priorytety, których muszą się nauczyć przyszli apostołowie. Jeśli ich nie podejmą, czy Kościół, który stworzą, będzie na pewno Kościołem Jezusa Chrystusa?

Po drugie: „wyciągnął rękę i dotknął go, mówiąc: Chcę, bądź oczyszczony". Kluczowe jest tu „dotknięcie" – prosty gest o ogromnym ładunku treści. To najpierw deklaracja bliskości. Oznacza też wyjście ze swoich granic komfortu i bezpieczeństwa, aż po wzięcie czyjegoś dramatu na siebie (oczywiście na tyle, na ile jest to możliwe).

Po trzecie: „Przykazał mu, żeby nikomu nie mówił", ale dodał: „złóż ofiarę (...) na świadectwo dla nich". U Łukasza oznacza to przede wszystkim pokorę Jezusa. I zwrócenie uwagi bardziej na moc świadectwa niż paplaniny.

I czwarte – znowu kluczowe: „usuwał się na pustkowie i tam się modlił". W tym zdaniu Łukasz dokonuje największej zmiany redakcyjnej, zwłaszcza w stosunku do Marka (zapis Mateuszowy – Mt 8, 2-4 – w ogóle nie wspomina o odejściu Jezusa na pustynię). U Marka Jezus „musi" się wycofać na pustynię („nie mógł już jawnie wejść do miasta"; Mk 1, 45), gdyż uzdrowiony trędowaty wszędzie i wszystkim rozpowiada o tym, co Jezus mu uczynił. U Łukasza Jezus idzie na pustynię nie po to, by się odsunąć od ludzi, ale by się przybliżyć do Ojca. Ewangelista używa tutaj greckiego słowa proseuchomai, które oznacza również „wielbić", „adorować". Jezus odnajduje się więc w takiej samej postawie wobec Boga, w jakiej ku Niemu zwrócił się trędowaty. W postawie zależności, posłuszeństwa, ale i zaufania, miłości. To z niej ostatecznie rodzą się Jezusowa misja i Jego odniesienie do ludzi. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

Każdy człowiek powinien postępować według swoich możliwości.

ABBA ARSENIUSZ

Ćwicz duszę dniem i nocą. Żywi się bowiem ona miarowym wysiłkiem.

SENEKA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (19-26 I)

2. niedziela zwykła: Iz 62, 1-5; Ps 96; 1 Kor 12, 4-11; J 2, 1-11;
Poniedziałek: Hbr 5, 1-10; Ps 110; Mk 2, 18-22;
Wtorek: Hbr 6, 10-20; Ps 111; Mk 2, 17-18;
Środa: Hbr 7, 1-3. 15-17; Ps 110; Mk 3, 1-6;
Czwartek: Hbr 7, 25 – 8, 6; Ps 40; Mk 3, 7-12;
Piątek: Hbr 8, 6-13; Ps 85; Mk 3, 13-19;
Sobota: Dz 22, 3-16 lub Dz 9, 1-22; Ps 117; Mk 16, 15-18;
3. niedziela zwykła: Ne 8, 2-4a. 5-6. 8-10; Ps 19; 1 Kor 12, 12-30; Łk 1, 1-4; 4, 14-21.

Karol Nawrocki przed spotkaniem w Radiu Plus. Warszawa, 9 stycznia 2025 r.

SCENARIUSZE DLA POWYBORCZEJ POLSKI

Rezultat wyborów prezydenckich może mieć większe znaczenie niż tych z jesieni 2023 roku. I to niezależnie od tego, czy uda się je przeprowadzić spokojnie, bez prawnych turbulencji, czy też przyczynią się one do dalszej dezintegracji polskiego społeczeństwa.

MAREK KĘSKRAWIEC, PIOTR ŚMIŁOWICZ

Znamy co prawda datę wyborów prezydenckich, ale nie wiemy, czy ich wynik zaakceptują wszystkie siły polityczne oraz w jaki sposób zostanie ostatecznie podjęta decyzja o uznaniu ich legalności. W tej sprawie ma zdecydować Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych w Sądzie Najwyższym, stworzona przez PiS i obsadzona życzliwymi mu neosędziami. Co prawda marszałek Szymon Hołownia zaproponował projekt ustawy, wedle którego o ważności wyborów miałby zdecydować cały SN, ale nie ma on żadnych szans na wejście w życie.

W obozie Koalicji Obywatelskiej najwięcej obaw budzi scenariusz, w którym kwestionowana Izba pod jakimś pretekstem unieważni wybory w razie wygranej Rafała Trzaskowskiego. Jednak ta perspektywa nie do końca jest korzystna dla PiS i Karola Nawrockiego, bo oznacza, że 6 sierpnia obowiązki prezydenta (łącznie z prawem do podpisywania ustaw) przejmie na dłuższy czas marszałek Hołownia. Jest też możliwość, że wybory minimalnie wygra Nawrocki, a wiadoma izba SN uzna je za ważne, odrzucając protesty większości parlamentarnej. Wówczas KO posłuży się zapewne argumentem o niekonstytucyjności Izby Kontroli i decyzji neosędziów. Wtedy istotną rolę do odegrania będzie miał Hołownia, który zorganizuje lub nie zaprzysiężenie Nawrockiego, stawiając być może swoje warunki przed podjęciem decyzji.

Jeśli wygra Trzaskowski

Zostawmy jednak na boku najgorsze scenariusze i na początek przyjmijmy, że majowe wybory zostaną formalnie rozstrzygnięte, a wygra w nich obecny faworyt Rafał Trzaskowski. Wtedy z kopyta ruszy proces domykania zmian, jakie zapoczątkowało powołanie rządu Donalda Tuska, pamiętającego dobrze ohydne nagonki, prowadzone przez żołnierzy Jarosława Kaczyńskiego.

Marcin Duma, prezes agencji badawczej IBRiS, uważa, że po ewentualnym zwycięstwie obecnego prezydenta Warszawy rozliczenia z PiS nadal będą jednym z kluczowych elementów strategii premiera, ale większą rolę odegrają tu sądy, o ile koalicji uda się spełnić obietnicę uporządkowania najważniejszych instytucji wymiaru sprawiedliwości. Wówczas sędziowie i prokuratorzy zyskaliby większy spokój – dziś oglądają się za siebie, nie wiedząc, kto naprawdę ma w ich środowisku władzę, oraz obawiając się, że do rządzenia powróci poprzednia ekipa. Zbytnia nadgorliwość na polu rozliczeń z PiS mogłaby skończyć się szykanami, np. przeniesieniem do odległych ośrodków.

Z Trzaskowskim w Pałacu nie będzie problemu z przeprowadzeniem zmian legislacyjnych, które blokował Andrzej Duda. Uchwalona zostanie nowa ustawa o KRS i SN, rozwiązująca problem neosędziów, Trybunał Konstytucyjny wyjdzie z paraliżu, Rada Mediów Narodowych ulegnie likwidacji, a prezydent straci uchwalone przez PiS rzutem na taśmę uprawnienia, choćby przy wyborze prokuratora krajowego. Nie będzie już żadnych przeszkód, by realizować główne obietnice wyborcze.

Niepokój budzą jednak słabe notowania rządu; zwycięstwo Trzaskowskiego oczyściłoby więc złą atmosferę, a dla większości społeczeństwa, nie angażującego się na co dzień w politykę, stałoby się sygnałem stabilizacji. – Tyle że nie będzie już wtedy na kogo zrzucać winy i opowiadać, jak to Polska by się rozwijała, gdyby nie ten hamulcowy Duda, który zresztą podpisał wielokrotnie więcej ustaw niż zawetował – przypomina prezes IBRiS.

Duma nie obawia się, że nikła porażka Nawrockiego wywoła niepokoje społeczne (przy scenariuszu nieuznania wyborów przez partię Kaczyńskiego). – Mieliśmy już podobne zdarzenia w przeszłości, jak kwestionowanie zwycięstwa Kwaśniewskiego nad Wałęsą albo Dudy nad Trzaskowskim. Takie wzmożenia w końcu się wypalają, tak jak obrona przez PiS Kamińskiego i Wąsika albo protesty w Sejmie, gdy ta sama partia demolowała system prawny. Nie do końca jednak wiemy, co się stanie, jeśli Izba Kontroli w SN orzeknie, że wybory nie były równe; to może rozhuśtać nastroje. Społeczeństwo jeszcze bardziej się zdezintegruje, rozdarte między dwa ekstremizmy, w dodatku cisnące na polityczne centrum, by jasno się opowiedziało za którąś ze stron.

Demony uruchomią demony

Prof. Jarosław Flis, socjolog z UJ, jest zdania, że po ewentualnym zwycięstwie Trzaskowskiego koalicja zderzy się z dwiema reakcjami jej elektoratu. – Ci najbardziej radykalni będą przeć do jeszcze mocniejszego dociśnięcia PiS, a ludzie mniej zaangażowani, którzy po prostu nie chcą powrotu starego układu, będą uważać, że są sprawy ważniejsze i koalicja ma się wreszcie nimi zająć. Premier zaś powinien przestać patrzeć do tyłu i zostawić te sprawy władzy sądowniczej. Dziś Tusk i KO wchodzą w buty swych poprzedników, uważając, że skoro są u władzy, to mogą wszystko.

Zdaniem prof. Flisa ciągłe powtarzanie, że walczy się z demonem, uruchamia własne demony, np. arogancji. Widać to choćby przy sprawie PKW, gdzie wyrazicielem stanowiska rządzących stał się obciążony polityczną przeszłością Ryszard Kalisz, były minister spraw wewnętrznych w niesławnym rządzie Marka Belki.

Jaką ostatecznie politykę zastosuje koalicja wobec PiS, zależy od tego, co w kampanii zrobi Trzaskowski. Jeśli przyjmie strategię „na miękko" i wygra wybory, to zwycięży drugi scenariusz. Jeśli odniesie sukces strategią „na twardo", będzie to sygnał, że aktualną linię trzeba utrzymać. – Na takie pomysły trzeba jednak uważać, bo jeśli koalicja będzie działać wedle zasady: „słychać wycie? znakomicie", to może w końcu podzielić losy PiS – uważa Flis, przewidując jednocześnie, że w przypadku układu, w którym prezydent i premier są z tego samego ugrupowania, Tusk może bardziej naciskać na koalicjantów, co zrodzi nowe napięcia. Ich poziom będzie zapewne zależeć od wyniku kandydatów Trzeciej Drogi oraz lewicy w pierwszej turze.

Skala przewagi

Przy założeniu, że wybory wygrywa Trzaskowski, ważnym elementem będzie też skala przewagi nad Nawrockim. Przy nieznacznej – możemy zderzyć się z nieuznaniem wyniku wyborów przez PiS, np. wtedy, gdyby partia sugerowała fałszerstwa, została rzeczywiście pozbawiona funduszy i próbowała dowodzić, że Nawrocki nie miał równych szans, a kwestionowana izba w SN stanęłaby po jego stronie.

Jeśli jednak nie dojdzie do paraliżu decyzyjnego, to w scenariuszu wygranej Trzaskowskiego PiS znalazłby się w defensywie. Może się nawet obawiać, że Tusk będzie chciał doprowadzić do takiego osłabienia tej formacji, by już więcej nie mogła rządzić, a może nawet się rozpadła. Ewentualne zwycięstwo PiS ↦

TOMASZ RADZIK / EAST NEWS

↦ w kolejnych wyborach oznaczałoby niechybnie odwrócenie wahadła, i to w radykalny sposób. Z zapełnianiem więzień politykami KO włącznie.

Kilka koalicji w grze

To jednak odległy scenariusz. Najskuteczniejszym sposobem przetrwania PiS przy prezydencie z KO byłoby namówienie ugrupowań tworzących Trzecią Drogę do „zdrady" Tuska. Dziś jest to „political fiction". Nikt nie jest tym zainteresowany, gdyż obecny sojusz doszedł do władzy na fali ostrej krytyki PiS. Elektorat KO, Polski 2050 i lewicy, a w nieco mniejszym stopniu PSL, jest przepełniony głęboką niechęcią do formacji Kaczyńskiego i stosowanych przez nią metod podczas 8-letnich rządów.

Wizja ta jest nierealna też dlatego, że prezes PiS buduje tożsamość partii na konflikcie z całym światem, więc represje ze strony rządzących mogą być w przyszłości korzystne. Kłopot w tym, że ciężko sobie wyobrazić, by PiS kiedykolwiek odzyskał pełną większość w Sejmie. Kaczyński od formacji z nim współpracujących wymaga podzielania jego wizji państwa, co kończy się zwykle anihilacją tych, którzy się na tę współpracę zdecydują. Wie to Konfederacja i PSL, który pamięta, jak PiS tępił ludowców, przejmując większość ich elektoratu na wsi.

W przypadku polityków i wyborców lewicy trwała wojna z PiS to „oczywista oczywistość", ale i dla elektoratu Polski 2050 jakiekolwiek konszachty z PiS byłyby nieakceptowalne. – To jest niemożliwe – potwierdza wiceminister obrony Paweł Zalewski, zresztą dawny polityk PiS i PO. – Szliśmy do wyborów, jak cała nasza koalicja, z jasnym hasłem odsunięcia Kaczyńskiego od władzy.

– Moje wartości moralne i zasady są skrajnie odmienne od postaw ludzi PiS. Nikt u nas nie byłby w stanie współpracować z nimi – przekonuje też szef klubu parlamentarnego Polski 2050 Paweł Śliz.

Czasem w polityce dzieją się jednak rzeczy niespodziewane. Przecież przed wyborami w 2005 r. nikt nie oczekiwał koalicji PiS z Samoobroną i LPR. Dlatego trudno wykluczyć sytuację, w której po wygranej Trzaskowskiego PiS znajdzie się z czasem w tak głębokiej defensywie, iż zaproponuje warunki w normalnych okolicznościach nieakceptowalne. Na przykład premiera z PSL, Hołownię jako marszałka Sejmu do końca kadencji, akceptując też brak wpływu na resort sprawiedliwości czy służby specjalne.

Ten scenariusz ma jednak minimalne szanse, by się ziścić, choć argumentem w przypadku Trzeciej Drogi może być dzisiejsza polaryzacja, która działa przeciwko mniejszym ugrupowaniom. Mogą więc pojawić się argumenty, że paradoksalnie wejście w koalicję z PiS będzie jedynym sposobem na przezwyciężenie duopolu. Zresztą poseł PiS i były rzecznik partii Radosław Fogiel twierdzi, że jego ugrupowanie jest w stanie porozumieć się z każdym, komu zależy na Polsce i Polakach. Tyle że dla zawarcia takiego układu konieczne byłoby odejście na emeryturę Kaczyńskiego, z którym zdecydowana większość naszego świata politycznego nie ma ochoty uczestniczyć w żadnych grach. Co ciekawe, niejeden działacz PiS zdaje sobie z tego sprawę; można nawet usłyszeć głosy o istnieniu w partii grupy zainteresowanej porażką Nawrockiego, która chce ją wykorzystać do obalenia Kaczyńskiego i wymuszenia zmiany pokoleniowej.

Jeśli wygra Nawrocki

Zdecydowana większość polityków PiS jest jednak zdania, że do zmiany układu w obecnym Sejmie może dojść tylko po zwycięstwie Nawrockiego. Posłowie KO przyznają nawet, że jego sukces oznaczałby dla nich polityczną katastrofę. W tej sytuacji mogą przychylić się do idei przyspieszonych wyborów parlamentarnych, by ograniczyć straty.

Marcin Duma nie uważa, by ewentualne zwycięstwo Karola Nawrockiego oznaczało rewolucję na politycznej scenie. – Nie grozi nam chaos, choć na pewno wybrany w powszechnych wyborach prezydent reprezentujący PiS będzie sygnałem, że wraca stare, a rząd nie zdąży wykazać się sprawczością i naprawić wymiaru sprawiedliwości, zwłaszcza zakończyć paraliżu w Trybunale Konstytucyjnym i konfliktu wokół Sądu Najwyższego, gdzie ma zapaść decyzja certyfikująca wynik wyborów – przypomina prezes IBRiS. Jego zdaniem nie wiadomo, jak wtedy postąpiłaby wobec nas Komisja Europejska, dziś dająca Tuskowi w kwestii wymiaru sprawiedliwości spory kredyt zaufania. Nie wiadomo też, co przy takim klinczu stanie się z aspiracjami Polski, by odgrywać większą rolę w Europie, jak zostanie rozwiązany konflikt o nominacje dla ambasadorów, a przede wszystkim – jak spójna okaże się koalicja rządząca.

Zdaniem prof. Flisa, zwycięstwo Nawrockiego może zmusić premiera do otrzeźwienia i zmiany strategii, kosztem polityki w stylu „jeszcze więcej tego samego". Choć na razie nie wygląda na to, by Tusk miał jakiś plan B, to w przyszłości może być zmuszony znaleźć swojego następcę w KO lub oddać gabinet Kosiniakowi-Kamyszowi (równocześnie kuszonemu przez PiS), który będzie starał się o coś na kształt rządu zgody narodowej, dogadującego się jakoś z nowym prezydentem. – Scenariusza przejścia Kosiniaka na stronę Kaczyńskiego nie przewiduję. W koalicji musiałoby być bardzo źle, aby PSL poszedł w ramiona PiS, jak mucha na spotkanie z pająkiem. Poza tym w partii Kaczyńskiego nie ma żadnej refleksji, że w czasie 8-letniej epoki u władzy zrobili coś źle. Deklaracje, że żałują niewystarczającego uśmiechania się do PSL i Konfederacji, trudno uznać za szczere. Ta mentalność utrudnia sojusze – uważa socjolog z UJ.

Politycy PiS wierzą jednak, że koalicja rządząca, pozbawiona możliwości uchylania wet Nawrockiego, straci poparcie, impet i wiarę w utrzymanie władzy. W związku z tym koalicjanci Tuska z PSL mogą zmienić front choćby dlatego, by nie „iść z nim razem do więzienia". Wtedy możliwa byłaby zmiana sojuszy nawet w obecnym Sejmie; w tym kontekście najczęściej wskazuje się na układ PiS-Konfederacja-PSL. – Do ich elektoratów i dołów partyjnych jest nam blisko, natomiast z establishmentem poselskim bywa różnie. Jeśli wygra Nawrocki, będzie to sygnał wielkiej słabości Tuska i kompromitacji jego misji ledwie po półtora roku. Racjonalnie będzie go opuścić – mówi poseł PiS Zbigniew Kuźmiuk, zresztą dawny polityk PSL.

W PiS twierdzą, że od niektórych posłów PSL otrzymują już sygnały, że

RDC POLSKIE RADIO
DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC.
Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Płock 101,9 FM

wspólna koalicja jest dopuszczalna. – Teraz na pewno nie wchodzi to w rachubę, ale w polityce nigdy nie mówi się nigdy – przyznaje poseł Marek Sawicki, który wśród ludowców uchodzi za najbardziej sceptyczną osobę wobec obecnego układu sojuszy.

W KO wielu dobrze pamięta, iż PSL w przeszłości był tzw. partią obrotową, potrafiącą odnaleźć się w różnych konfiguracjach, i nawet teraz dla pewnej części PSL wariant koalicji z PiS mógłby okazać się atrakcyjny, gdyby obecny układ popadł w totalny kryzys sondażowy. – U nich wciąż aktualne jest powiedzenie: „Kto wygrał wybory? Nasz koalicjant" – mówi jeden z posłów KO, dodając, że partyjne doły PSL są konserwatywne (przeciwne aborcji i związkom partnerskim) oraz pazerne na władzę, więc mariaż z Kaczyńskim umiałyby sobie zracjonalizować. Tym bardziej w sytuacji, jeśli premierem miałby zostać ktoś z PSL. – Dla wielu kluczowych polityków PSL byłoby to obraźliwe, ale dla aktywu terenowego już nie – przyznaje.

Bez Konfederacji ani rusz

Zdaniem prof. Antoniego Dudka taki wariant mógłby się ziścić tylko wtedy, gdyby notowania rządu i samego PSL poszły mocno w dół, a działacze obalili Władysława Kosiniaka-Kamysza, który postawił na obecny układ. Kolejnym warunkiem takiej zmiany musiałaby stać się obecność w sojuszu Konfederacji. W szeroko rozumianym obozie PiS są siły, które temu sprzyjają, choćby Andrzej Duda, który niedawno zaprosił na spotkanie Sławomira Mentzena, ale wciąż nie udzielił jednoznacznego wsparcia Nawrockiemu.

Jednak sama Konfederacja może być najmniej zainteresowana wchodzeniem do koalicji rządowej, bo w partii wierzą, że czas gra na korzyść tego ugrupowania z uwagi na rosnącą niechęć do Ukraińców i obawy przed niekontrolowaną imigracją. Pewnie nieprzypadkowo, w formie zachęty i badania prawdziwych intencji, w przestrzeni publicznej pojawiło się ostatnio nazwisko Krzysztofa Bosaka jako premiera w układzie PiS-Konfederacja-PSL.

W tym kontekście ważne jest, kto zajmie trzecie miejsce, z jakim wynikiem i jak się zachowa przed drugą turą. Jeśli np. Mentzen zdobyłby 15-20 proc., a Szymon Hołownia wspólnie z Magdaleną Biejat dostali razem mniej głosów niż kandydat Konfederacji – realne są przetasowania. – Dziś to wygląda mało prawdopodobnie, ale przy ewentualnych powyborczych zawirowaniach możliwy jest zarówno układ PiS-Konfederacja-PSL, jak też KO-Trzecia Droga-Konfederacja – uważa Marcin Duma, który nie wyklucza również pojawienia się na ostatniej prostej czarnego konia, w rodzaju Pawła Kukiza (dziś mówi się o Krzysztofie Stanowskim), który w 2015 r. zdobył niemal 21 proc., choć zgłosił swą kandydaturę na trzy miesiące przed wyborami, a na miesiąc przed nimi miał ledwie kilka procent poparcia.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Także prof. Flis jest zdania, że istotną kwestią stanie się to, kto będzie w prezydenckim wyścigu trzeci i czy zdobędzie 15 proc., czy też 9. Sądząc po sondażach Konfederacji, jej kandydat wcale nie musi być na podium, ale gdyby do tego doszło, a na dodatek Sławomir Mentzen uzyskał dużo lepszy wynik niż Szymon Hołownia i Magdalena Biejat – koalicja ma problem. Zobaczymy wtedy, co stanie się przed drugą turą i jak KO potraktuje partnerów w sojuszu. Tu znaczenie będzie miała też różnica między Trzaskowskim i Nawrockim.

– Jeśli wygrałby kandydat niezwiązany z obozem rządzącym, czyli Nawrocki albo Mentzen, to przynajmniej rok zajmie przetrawienie efektu tej sytuacji, zanim dojdzie do jakiegoś tąpnięcia. Ale tak naprawdę bez wyborów parlamentarnych, być może przygotowanych już przez rząd tymczasowy, nie dojdzie do zmian – mówi Krzysztof Bosak, którego zdaniem obecna koalicja jest zdeterminowana, by trwać razem mimo kiepskich notowań rządu.

Bosak uważa, że sojusz Konfederacji z PiS jest nierealny nie tylko z uwagi na różnice programowe, ale i dlatego, że w przypadku zwycięstwa Nawrockiego PiS będzie zapewne stawiać warunki nie do przyjęcia. Zarazem dobry wynik Mentzena, czyli jego trzecie miejsce, umocni Konfederację w perspektywie kolejnych wyborów, więc partia raczej poczeka z boku na swój czas; słaby wynik jej kandydata wzmocni szanse na wejście ugrupowania w alianse z PiS i PSL.

Hołownia zawalczy o przetrwanie

Bardzo mało prawdopodobne jest zwycięstwo w wyborach Hołowni lub Biejat. Tym niemniej ich wyniki w pierwszej turze mogą determinować kolejne scenariusze. Trzecie miejsce Hołowni i relatywnie dobry wynik, porównywalny z tym w roku 2020 (13,9 proc.), zmniejszy szanse na rozpad koalicji 15 października, umocni w niej Polskę 2050 i przesądzi o dalszym sojuszu z PSL. Kiepski wynik może skończyć historię Trzeciej Drogi – większość klubu pójdzie do KO, a kilku posłów do PSL. Sam Hołownia zapewne pogodzi się z porażką i być może pożegna z polityką. W zmianę frontu przez niego nikt nie wierzy.

Jest jeszcze Magdalena Biejat. Jej słaby wynik nie ucieszy Włodzimierza Czarzastego, czującego na plecach oddech młodszych liderów, utrudni mu też objęcie jesienią fotela marszałka. W miarę dobry wynik kandydatki lewicy to z kolei większe szanse na utrzymanie lewicy jako niezależnego bytu, a nie w pełni zależnego od KO. Ewentualna rywalizacja Biejat z Adrianem Zandbergiem, jeśli ten wystartuje, będzie testem, gdzie naprawdę są sympatie lewicowego elektoratu.

Scenariuszy wyborczych jest bez liku i kto wie, czy nie zwycięży taki, o którym nikt jeszcze nie wspomniał. Do maja wciąż daleko.

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC, PIOTR ŚMIŁOWICZ

Zysk z wyzysku

ANNA MIKULSKA, RAFAŁ WIETOSZKO

Jeszcze parę lat temu najbardziej powszechne były przypadki eksploatacji seksualnej cudzoziemców, teraz „króluje” praca przymusowa. Cierpią głównie Kolumbijczycy.

Półtoramilionowa Barranquilla leży na północy Kolumbii, nad Morzem Karaibskim. Słynie z wysokich temperatur oraz barwnego karnawału. Jednak 26-letni Pablo postanowił przenieść się stamtąd do o wiele zimniejszej Polski. Nie widział dla siebie innej opcji.

– W całej Kolumbii strasznie ciężko o pracę. Na dodatek płaca minimalna to w przeliczeniu 1,2 tys. zł – mówi nam podczas rozmowy przez WhatsApp. – Niedawno minął rok, odkąd wylądowałem w Warszawie, to był pierwszy wyjazd z mojego kraju. Wybrałem Polskę, bo mąż mojej kuzynki już tu był – wspomina.

Podobało mu się. Zwłaszcza śnieg. Ludzie też byli całkiem mili.

Pierwszą pracę Pablo dostał w zakładzie mięsnym na Śląsku, z polecenia krewnego. – Było jak w piekle. Przerwa w ciągu dnia obejmowała 15 minut, z czego zostawało 8, bo resztę zajmowało dojście do stołówki i powrót – mówi. Czas pracy wynosił 12 godzin dziennie, od poniedziałku do soboty. Płacili 16 zł za godzinę, bez żadnej umowy.

Wspólnie z Pablem pracowali też inni Kolumbijczycy, Argentyńczycy, Ukraińcy oraz Gruzini. To nic wyjątkowego – w Polsce zatrudnia się ludzi z najróżniejszych państw, często rekrutowanych przez agencje zatrudnienia. Według ostatnich danych, na koniec 2023 r. pozwolenie na pracę miało 1,53 mln cudzoziemców (co nie oznacza, że każda z tych osób aktualnie przebywa w Polsce). To o 261 tys. więcej niż na koniec 2022 r. Żadne inne państwo w UE nie wydaje tylu zezwoleń na pobyt dla obcokrajowców.

Źle ci? Drzwi otwarte

Agencję Leadtrust Pablo poznał dzięki koledze z Kolumbii, który pracował wcześniej w tym samym zakładzie. Odszedł z niego, a w nowym miejscu zarabiał więcej, bo 24 zł za godzinę pracy przy wieprzowinie. – Po zachętach rekruterów zdecydowałem się na zmianę, dałem im też mój paszport – opowiada Pablo.

Pracę rozpoczął w listopadzie 2023 r. w Zakładach Mięsnych „Zakrzewscy” w Kosowie Lackim, między Warszawą a Białymstokiem. – Zrobiłem badania lekarskie, za które agencja pobrała ode mnie 400 zł, ale nigdy nie otrzymałem wyników. Później wzięli jeszcze 700 zł za załatwienie dokumentów, w tym karty pobytu. Jej też nie dostałem – opowiada.

Pablo pokazuje umowę zlecenie z Leadtrust HR, zawartą na dwóch stronach po polsku i po hiszpańsku. Zapisano w niej, że jako pakowacz ręczny zarobi 24 zł brutto za godzinę. Miało ich być 160 w miesiącu, co dawało ok. 3800 zł brutto. W kontrakcie nie było mowy o karach, ale potem okazało się, że za nieobecność w pracy agencja odejmuje 500 zł. – Nawet jeśli byłeś chory, poszedłeś do lekarza i okazałeś zaświadczenie. Dotyczyło to wszystkich – twierdzi Pablo, zapewniając, że wypłata, którą pracownicy ostatecznie dostawali, nie była zgodna z tym, co ustalono. Potwierdza to też inny pracownik, mający dziś status ofiary handlu ludźmi (pracował w różnych agencjach), a także Kolumbijka, która dostała połowę pensji za miesiąc pracy.

– Jeśli komuś nie zgadzało się wynagrodzenie, to ludzie z agencji mówili: „Jak ci źle, to drzwi otwarte. Możesz spadać” – dodaje Pablo, który przy odbiorze dzielonej na transze wypłaty otrzymywał rachunki do podpisania. Na jednym z nich, z 19 grudnia 2023 r., widnieje kalkulacja – 1360 zł wypłaty, minus 700 zł na rzecz „opłaty za rozpoczęcie procesu legalizacji pobytu”.

Pablo odszedł w lutym ub. roku i – jak twierdzi – nie otrzymał pieniędzy za ostatni miesiąc, chociaż pracował każdego dnia, nie licząc niedziel. – W marcu miałem dostać brakujące pieniądze, roz-

mawiałem nawet z właścicielem agencji. Umówionego dnia nie odbierał jednak telefonu. Próbowałem w kolejnym miesiącu, ale dopiero w czerwcu otrzymałem przelewem tysiąc złotych – opowiada Pablo, pokazując kolejne wiadomości oraz listę swych obecności w pracy.

Agencja odpowiadała też za zakwaterowanie pracowników; Pablo spędził zimę w domu bez ogrzewania. Inny pracownik, 26-letni Gabriel z La Dorada koło Bogoty dodaje: – Agencja pobierała od nas 600 zł miesięcznie za nocleg w pięcioosobowym pokoju. Kolejne pieniądze poszły na odzież ochronną i zezwolenie na pobyt, chociaż nigdy nie dostałem potwierdzenia, że złożono wniosek. Pracowałem po 7 dni w tygodniu, w jednym z nich przepracowałem 252 godziny, ale agencja zapłaciła mi tylko za 200. Po trzech miesiącach mnie zwolnili, bez wypłaty całego wynagrodzenia, po czym wyeksmitowali – twierdzi.

Pieniądze „pod stołem"

Outsourcing to udostępnianie pracowników (często cudzoziemskich) firmie zlecającej usługę, jednak za ich wynagrodzenie odpowiada rekrutująca agencja. Niestety, w Polsce nie ma przepisów, które by taką działalność szczegółowo regulowały, nie ma nawet obowiązku wpisu do Krajowego Rejestru Agencji Zatrudnienia (KRAZ). Na początku listopada było ich tam 8,5 tys. – zajmowały się pośrednictwem pracy, doradztwem personalnym czy pracą tymczasową.

– Agencje zatrudnienia od dekady uczyły się, w jaki sposób można obchodzić przepisy, tak by migrantów nie dotyczyła ustawa o pracownikach tymczasowych lub Kodeks pracy – mówi Magdalena Madzia, działaczka partii Razem, na co dzień pracująca w dziale finansowym firmy zatrudniającej cudzoziemców. Z jej informacji wynika, że niektórzy właściciele agencji płacą pracownikom mniej, niż się zobowiązali, zawyżając opłaty za legalizację pobytu, ubranie robocze, zakwaterowanie i jedzenie. Kary zaś są przeważnie uznaniowe, zdarzają się nawet za zbyt częste korzystanie z toalety czy przerwę za długą o jedną minutę. Na papierze najczęściej nie ma jednak po nich śladu.

Rezygnacja z pracy rzadko wchodzi w grę, bo przybyszom brakuje pieniędzy na bilet powrotny, a agencja grozi wstrzymaniem procedur legalizacji pobytu, co w konsekwencji może oznaczać deportację. W ten sposób cudzoziemiec, licząc, że uda mu się odzyskać zaległe pieniądze, staje się uzależniony od agencji.

– To jest układ, który opłaca się wszystkim poza pracownikami. Państwo dzięki temu ma zapewnione ręce do pracy, a firmy zyskują pracowników tańszych niż Polacy. Agencje zarabiają dzięki ich pracy, a te nieuczciwe mają dodatkowe pieniądze z niewypłaconych godzin. Oszczędzają też na składkach ZUS i podatkach, dzięki pieniądzom wypłacanym „pod stołem" – mówi Magdalena Madzia, zaznaczając, że istnieje też wiele agencji, które działają uczciwie.

Fundacja La Strada w 2023 r. pomogła 295 osobom wykorzystanym przez polskie firmy, z czego ponad jedną trzecią stanowili Kolumbijczycy. Według rządowych danych to właśnie wśród nich odnotowuje się najwięcej ofiar handlu ludźmi – liczba ta urosła od jednej osoby w 2019 r. do 125 w 2023 r. Na drugim miejscu są Gwatemalczycy (75 osób).

Prawo, odległość, język

Patologię na rynku pośrednictwa pracy zaczęto dostrzegać w 2015 r., gdy w wyniku aneksji Krymu przez Rosję do Polski zaczęły docierać duże grupy Ukraińców, a potem Gruzinów. Z czasem pojawili się też pracownicy z krajów Azji (m.in. Nepalczycy), a ostatnio głównie z Ameryki Łacińskiej, gdzie zarobki też są marne. Nieznajomość języka i lokalnego prawa plus ogromna odległość od domu ułatwia ich wykorzystywanie. Niektóre agencje obiecują więc, że w ciągu tych trzech miesięcy załatwią legalizację pracy, tymczasem cały proces trwa miesiącami, czasem nawet rok.

15 sierpnia ub. roku polskie MSZ wprowadziło przepisy, zgodnie z którymi Kolumbijczycy chcący pracować u nas muszą mieć wizę pracowniczą. Przyjazdy rzekomo turystyczne (do 90 dni bez wizy) odbywają się nadal, choć nowe prawo nieco komplikuje sprawę agencjom.

– Jestem pewien, że sytuacja ulegnie zmianie w przypadku obywateli krajów Ameryki Łacińskiej – mówi mł. insp. Jarosław Kończyk, naczelnik Wydziału do Walki z Handlem Ludźmi w Biurze Kryminalnym Komendy Głównej Policji. – Po 15 sierpnia Polska już nie jest dla nich tak atrakcyjna, poza tym zaczynają być odczuwalne efekty akcji informacyjnych prowadzonych na miejscu. Coraz więcej mamy jednak przypadków z Azji Centralnej, np. z Uzbekistanu.

Kończyk przyznaje, że policja dociera do poszkodowanych zazwyczaj przez organizacje pozarządowe, ale bywają też bezpośrednie zgłoszenia, i to nawet od osób mających u siebie kłopoty z organami ścigania – tak wielka jest czasem desperacja. – Wiele zmieniło się ok. czterech lat temu, wcześniej najbardziej powszechne były przypadki eksploatacji seksualnej, teraz dzieje się to w związku z pracą przymusową. Tyle że granica między pracą przymusową a oszustwem czy łamaniem praw pracowniczych jest płynna i każda sprawa wymaga osobnej interpretacji – mówi Kończyk.

Gabriel z Kolumbii znalazł Leadtrust w mediach społecznościowych, gdzie podobnych ofert jest pełno, m.in. Na TikToku. Na facebookowych grupach migranci dzielą się z kolei informacjami, które agencje warto polecić, a których unikać, jednak bywa też, że rekruterzy sami szukają taniej siły roboczej.

„Skontaktował się ze mną pracownik agencji pracy. Zaskarbił sobie moje zaufanie, był z mojego miasta, posługiwał się tym samym dialektem" – mówi młoda kobieta z Maracaibo w Wenezueli, bohaterka krótkiego dokumentu La Strady „Ugrzęznąć w Polsce". Agencja w naszym kraju zabrała jej paszport, strasząc, że jeśli pójdzie na policję, zostanie deportowana. Dzięki fundacji jest dziś w Polsce legalnie i ma status ofiary handlu ludźmi. ↦

JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

Emigranci z Azji i Europy Wschodniej na plantacji truskawek w okolicy Płońska, woj. mazowieckie. 27 maja 2020 r.

Z internetowej ankiety La Strady, przeprowadzonej wśród migrantów hiszpańskojęzycznych, wynika, że oprócz problemów z wypłatami, dokumentami i warunkami mieszkaniowymi, są jeszcze przypadki znęcania się albo niezapowiedziane przenosiny do innego miasta.

– Nikt mi nie powiedział, że będę musiał nosić w lodowatym pomieszczeniu skrzynki z zamrożonym mięsem. Nie robiłem tego, na co się umówiliśmy i za ile się umówiliśmy. Do tego było okropnie głośno, a nie mieliśmy słuchawek wygłuszających – opowiada Pablo i wysyła wideo, na którym raz po raz uderza plastikowymi, czerwonymi skrzynkami o metalowy stół, żeby wypadły z nich zamarznięte kawałki mięsa.

Małgorzata uruchamia lawinę

Pokrzywdzonych obywateli Kolumbii poznajemy dzięki pragnącej zachować anonimowość Małgorzacie. Od ponad roku angażuje się w pomoc pracownikom nieuczciwych agencji; dotarła już do dziesiątek Kolumbijczyków. W kwietniu zgłosiła się do biura partii Razem w Bielsku-Białej i tak poznała Magdalenę Madzię. Jak przekonują, po pismach wysłanych do PIP, urzędów wojewódzkich, wreszcie po rozmowach z samym Leadtrust, ostatecznie udało się wywalczyć po tysiąc złotych dla 25 osób.

Obie próbowały też uruchomić kontrolę agencji przez różne instytucje. Ostatecznie Wojewódzki Urząd Pracy w Poznaniu w sierpniu wykreślił z KRAZ Leadtrust HR. Powodem były zaległości składkowe i podatkowe. Z rejestru usunięte są również Leadtrust i Leadtrust DPS, wszystkie pod zarządem tego samego prezesa.

Poseł Maciej Konieczny z Razem w sierpniu ub. roku wysłał zapytanie do MSWiA w sprawie nielegalnych praktyk stosowanych wobec cudzoziemców, dopytując m.in. o spółkę Leadtrust. W odpowiedzi od wiceministra Macieja Duszczyka czytamy: „Straż Graniczna przeprowadziła czynności kontrolne z zakresu legalności wykonywania pracy przez cudzoziemców oraz powierzania wykonywania pracy cudzoziemcom na terytorium RP w stosunku do Leadtrust DPS Sp. z o.o., w wyniku których stwierdzono naruszenia polegające na nielegalnym powierzaniu wykonywania pracy przez obywateli Kolumbii. W stosunku do Prezesa Zarządu Leadtrust DPS Sp. z o.o. skierowano do sądu wniosek o ukaranie".

ARCHIWUM PRYWATNE

MAGDALENA MADZIA, DZIAŁACZKA PARTII RAZEM:

Agencje zatrudnienia od dekady uczyły się, w jaki sposób można obchodzić przepisy, tak by migrantów nie dotyczyła ustawa o pracownikach tymczasowych lub Kodeks pracy.

Rzecznik Straży Granicznej, mjr Krzysztof Grzech dodaje, że wedle polskiego prawa, kto powierza cudzoziemcowi nielegalne wykonywanie pracy, podlega karze grzywny od 1000 zł do 30 000 zł.

Zdarza się, że cudzoziemcy podpisują umowy zlecenia, ale faktycznie wykonują pracę etatową: w określonym miejscu i czasie, pod kierownictwem pracodawcy. – Mają często te same obowiązki, co Polacy zatrudnieni bezpośrednio przez dany zakład na umowie o pracę. W takiej sytuacji outsourcing to tak naprawdę gra pozorów i dyskryminacja – mówi Madzia.

Jej zdaniem głównym problemem walki z tą patologią jest opieszałość i brak kontroli ze strony państwa. Samo czekanie na reakcję ze strony PIP, które doprowadziło do usunięcia z ewidencji Leadtrust HR, ciągnęło się miesiącami.

Polska zaczęła walczyć

O współpracę z Leadtrust zapytaliśmy Zakłady Mięsne „Zakrzewscy" – firmę, w której pracował Pablo. Przedstawiciele spółki w mailowej odpowiedzi potwierdzają, że zatrudniają u siebie pracowników z Ameryki Południowej: „w przypadku, gdy na rynku lokalnym proces rekrutacyjny zawodzi". Czytamy też, że: „Zasady współpracy z podmiotami trzecimi objęte są tajemnicą przedsiębiorstwa" – to najważniejsza część odpowiedzi na pytanie o to, czy stawki ich wynagrodzeń oraz umowy są takie same jak Polaków wykonujących te same obowiązki.

Na pytanie, czy do spółki docierały skargi na to, jak agencja traktuje Kolumbijczyków, firma odpowiada: „Posiadamy ograniczony wpływ na kształtowanie zasad i warunków współpracy pomiędzy podmiotami trzecimi i ich kontrahentami".

Niedawno polski rząd zapowiedział zaostrzenie walki z nieuczciwymi agencjami. W opublikowanej w październiku strategii migracyjnej „Odzyskać kontrolę, zapewnić bezpieczeństwo" władze zamierzają zmodyfikować model ich funkcjonowania w trybie pilnym. Autorzy zwracają uwagę na outsourcing pracowniczy, „który de facto polega na omijaniu reżimu prawnego". Lekarstwem ma być modyfikacja zasad wpisywania agencji do KRAZ, przyspieszone procedury usuwania z rejestru, a także wyższe kary.

O dostrzeżeniu problemu świadczy też zapowiedź Marcina Staneckiego, głównego inspektora pracy. W listopadzie zadeklarował, że w celu eliminacji „skrajnego wyzysku, niosącego znamiona pracy przymusowej" – inspektorzy będą zwracać uwagę na legalność zatrudnienia cudzoziemców, warunki ich pracy i wynagrodzenia.

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej przygotowało z kolei projekt ustawy, w którym jest m.in. obowiązek zatrudniania cudzoziemców w oparciu o umowy o pracę, ograniczenie outsourcingu (do zarejestrowanych agencji pracy tymczasowej) czy zdigitalizowanie

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

procedur wydawania zezwoleń na pracę. Przepisy miały obowiązywać od 1 stycznia 2025 r., lecz jak na razie trwają spory między ministerstwami m.in. o warunki kontroli w firmach.

Epilog

Zwróciliśmy się z prośbą o komentarz do prezesa Leadtrust, Łukasza Bejnar-Bejnarowicza. „Nie są mi znane tego typu przypadki" – odpowiedział mailem na pytanie o niewypłacone lub zaniżone wynagrodzenia dla pracowników Leadtrust HR. Zaprzeczył, by stosowano wobec nich jakiekolwiek kary, oraz oświadczył, że „Spółka nie prowadzi i nie odpowiada za procedury legalizacji pobytu, ponieważ nie jest stroną tych postępowań (...) Wsparcie formalnoprawne w tym zakresie zapewnia zewnętrzny, wyspecjalizowany podmiot (kancelaria)".

Bejnarowicz twierdzi, że zagraniczni pracownicy sami często „porzucają" z dnia na dzień swe obowiązki (motywowani lepszymi ofertami) i nie komunikują się już w żaden sposób z poprzednim pracodawcą. Prezes zapewnia też, że nie powinni mieć umów o pracę, lecz umowy zlecenia: „W tych sytuacjach, o które Pani dopytuje, nie występuje żaden stosunek podporządkowania, pracy pod bezpośrednim nadzorem i kierownictwem".

Gabriel znalazł pracę w Gdańsku i zapewnia, że traktują go dobrze. Pablo pracuje w wytwórni pasz i mięsa pod Olsztynem; zarabia 23 złote za godzinę. Czasem dzień pracy wynosi 8 godzin, czasem 12, ale zdarza się i 14. – Nie narzekam. Czuję się w miarę szczęśliwy, to dobry czas – mówi. Udało mu się wynająć mieszkanie, nie musi już dzielić domu z innymi pracownikami.

Obaj nadal są zatrudniani przez agencje, które znaleźli w mediach społecznościowych – jako Latynosi bez znajomości języka nie mają innych szans. Pablo ma nadzieję, że w końcu uda mu się odłożyć tyle pieniędzy, by wrócić do Kolumbii i tam zrealizować swoje marzenie: kupić mieszkanie na wynajem i otworzyć sklep z obuwiem sportowym.

© ANNA MIKULSKA, RAFAŁ WIETOSZKO

Imiona bohaterów zostały na ich prośbę zmienione.

TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

Zgodnie z polskim prawem, właściciel psa musi mieć go pod stałą kontrolą w trakcie spaceru. Bydgoszcz, 3 lutego 2023 r.

Szczeki i krzyki

MAREK RABIJ

W trwającej od lat wojnie polsko-polskiej rozgorzała kolejna bitwa. Tym razem o miejsce psów w przestrzeni publicznej.

Drodzy, strzelający fajerwerkami, sąsiedzi. Dziękuję za kolejnego szampańskiego sylwestra, który spędziłam na podłodze w sypialni, przytulając mojego umierającego ze strachu psa. Mam nadzieję, że kac potrzyma was dziś do późna. Urwanych przez race palców i wypalonych oczu nie życzę. Nie jestem tak bezmyślna jak wy" – taki post pojawił się w noworoczny poranek w jednej z krakowskich grup sąsiedzkich na Facebooku.

Na odzew nie trzeba było długo czekać. „Nie ma za co. To nasze podziękowanie za wiecznie obsrane chodniki" – odpisał któryś z sąsiadów. Jego odpowiedź wywołała osiemdziesiąt trzy reakcje. Trzydzieści dziewięć wyrażało poparcie, reszta dezaprobatę. Internetowe wzmożenia trudno oczywiście traktować poważnie, ale przywołana wymiana zdań zdaje się dobrze oddawać rozkład nastrojów w polskim społeczeństwie, coraz mocniej skłóconym o to, co i gdzie wolno, a czego i gdzie nie wolno robić z psem. Albo – czego i gdzie zakazać w przestrzeni publicznej z uwagi na dobrostan zwierząt.

Jak do tego doszło w kraju, w którym – jak wynika z danych GUS – więcej rodzin ma dziś psa niż dziecko?

Awantura o Basię

Jak przystało na charta, Basia każdego ranka biega po łąkach na obrzeżach Nowej Huty. Od blisko ośmiu lat, tą samą, dobrze jej znaną plątaniną ścieżek. Półtora roku temu opodal wyrosło jednak osiedle bloków, z których mieszkańcy o poranku spieszą na pętlę autobusową skrótem przez łąki. Basia jest łagodna i ciekawa ludzi, jak większość dobrze ułożonych psów, które od człowieka nie zaznały niczego złego. Biega jak to chart, czyli szybko. Ludzie też biegną, bo rano każdemu zależy na czasie. Gdy wpadają ↦

↦ na Basię, albo gdy zdyszana Basia wpada na nich, część reaguje strachem. Niektórzy złością, a nawet agresją.

– Bo pies powinien być na smyczy – ironizuje Sebastian, opiekun Basi, naśladując przy tym ton łąkowych interlokutorów. – Kiedy tłumaczę, że chart potrzebuje dużo ruchu i na smyczy prowadzać jej nie mogę, najczęściej słyszę, że w takim razie powinienem się wyprowadzić pod miasto. Problem w tym, że osiem lat temu, kiedy kupowaliśmy Basię, tu żadnego miasta nie było. To ono przyszło do nas, nie my do niego. Rozumiem oczekiwania, że pod Wawelem pies, zwłaszcza tak duży, powinien iść na smyczy. Ale tutaj? Jeden przechodzień na kwadrans, za to prawdopodobieństwo awantury na poziomie 30 proc. – żali się Sebastian.

W latach 2022-2023 w Polsce wybudowano 459 772 mieszkania. Licząc ostrożnie po 25 lokali na jeden budynek, otrzymamy ponad 18 300 nowych adresów mieszkalnych, powstałych głównie na obrzeżach, gdzie grunty budowlane są tańsze niż w centrach, nierzadko poza administracyjnymi granicami metropolii. W ten sposób miasta, z typowym dla nich kodeksem społecznych zachowań i oczekiwań wobec zwierząt domowych, wkraczają na obszary, po których psy hasały dotychczas swobodnie, często samopas, nie budząc tym niczyjego niezadowolenia. Albo na odwrót – do miasta przeprowadzają się osoby, dla których biegający bez kontroli Azor czy Saba jest wręcz naturalnym elementem krajobrazu.

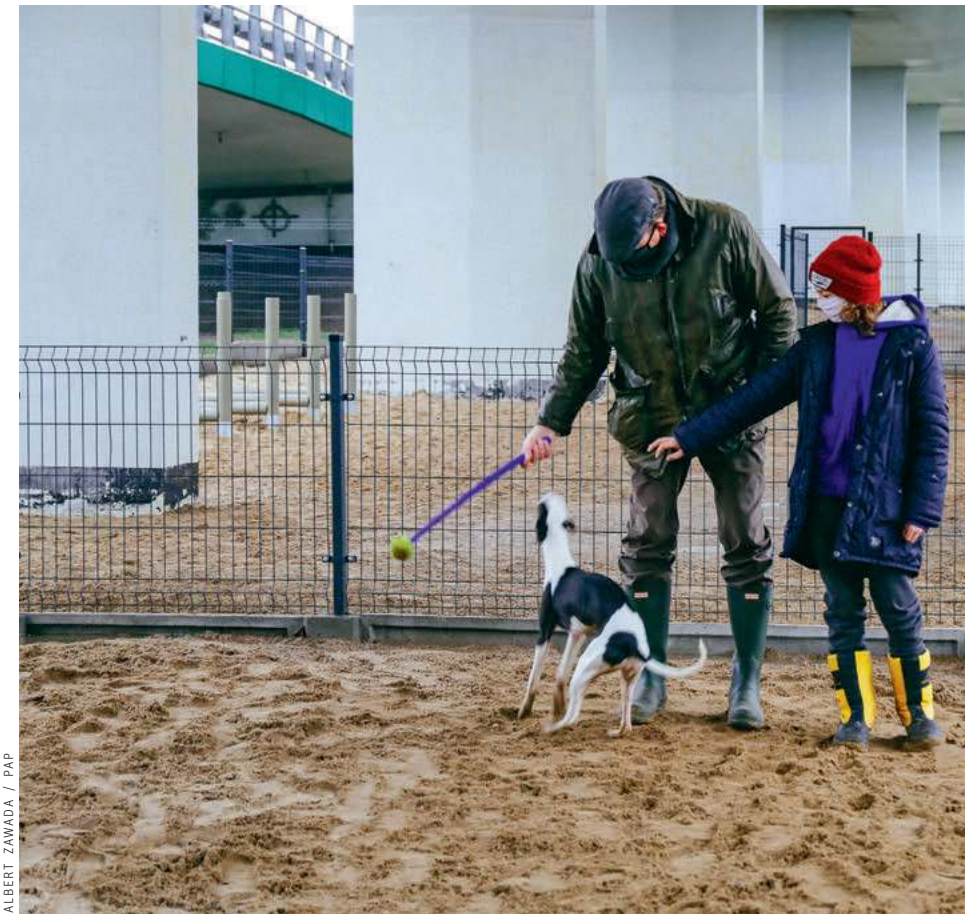

ALBERT ZAWADA / PAP

Proszę nie podchodzić

Zula Przybylińska, behawiorystka z ponad 20-letnim stażem, mieszkająca od lat na wsi kilkadziesiąt kilometrów od Krakowa (wraz z ośmioma psami i koniem uratowanym z rzeźni), widzi fundamentalną różnicę w podejściu do psów na wsi i w mieście. – Bez względu na to, czy w danym domu jest pies czy nie, nie zdarzyło mi się jeszcze, żeby na wsi ktoś źle zareagował na jego obecność. Nie jestem socjolożką, ale wydaje mi się, że w wiejskich społecznościach, nawet z uwzględnieniem zmian, jakie w nich ostatnio zaszły, obecność zwierząt wśród ludzi nadal uchodzi za naturalną. Tu pies może podejść praktycznie do każdego, także dlatego, że w małych społecznościach ludzie znają wszystkie zwierzęta. W mieście obcy pies to niemal zawsze zagadka. W Krakowie systematycznie zdarzają mi się sytuacje, kiedy ktoś reaguje pretensjami na sam widok zbliżającego się zwierzęcia. I ma do tego pełne prawo – podkreśla Przybylińska.

Zgodnie z polskim prawem, właściciel psa musi mieć go pod stałą kontrolą w trakcie spaceru. Przepisy nie precyzują jednak, na czym ma ona polegać, w granicach tej definicji mieści się więc także sytuacja, kiedy dobrze ułożony pies reaguje na odwołanie przez właściciela. Niektóre gminy, jak Kraków, do ogólnopolskich zapisów dodają swoje warunki, nakazujące na przykład, by podczas spaceru po rzadko uczęszczanych terenach spuszczony ze smyczy pies miał nałożony kaganiec. W praktyce większość takich restrykcji pozostaje martwym przepisem. Gminy nie mają jak ich wyegzekwować. Psiarze zaś „wiedzą swoje". Przybylińska: – Typowa sytuacja na spacerze w mieście. Idę z moimi psami. Z oddali zbliża się inny, a kilkadziesiąt metrów za nim widzę opiekuna, który z daleka krzyczy, żeby się nie bać, bo jego pies jest łagodny. Jako środowisko notorycznie łamiemy zasadę, że nie podchodzi się z psem do kogoś, kto sobie tego nie życzy. Nieważne, że twój pies jest łagodny jak baranek i na co dzień lgnie do ludzi. Może akurat trafić na lękliwego osobnika, który zareaguje agresją. Albo na przechodnia, który w przeszłości został ciężko pogryziony i ma odtąd uraz do psów.

Na fali pet boomu

Portretując na początku 2020 r. populację polskich psów i ich relacje z ludźmi, weterynarze Joanna Wilczyńska i Paweł Wojciechowski podkreślali, że szczekanie słychać nad Wisłą najczęściej na wsi. Z przeprowadzonego trzy lata wcześniej badania „Populacja psów i kotów w gospodarstwach domowych w Polsce" wynikało, że psa miało tam wówczas aż 62 proc. rodzin, podczas gdy w miastach powyżej 500 tys. mieszkańców ten sam odsetek nie przekraczał 33 proc. Średni wiek polskiego właściciela psa oscylował natomiast w przedziale 30-40 lat, z nieznaczną nadreprezentacją kobiet oraz wyraźną przewagą osób z dyplomem wyższej uczelni. Bez względu na płeć czy wykształcenie, większość z nich obruszyłaby się na opisanie swojej relacji z psem jako stosunku własności. Aż 85 proc. Polaków uważało zwierzęta za członków rodziny, choć nie wykluczało to oczekiwań, że będą one na jej rzecz wykonywać okre-

Po pandemii w Polsce przybyło ponad ćwierć miliona psów. Dog Park, Warszawa, 5 stycznia 2021 r.

ślone zadania, głównie związane z pilnowaniem domu (życzyło sobie tego aż 44 proc. badanych). Pomimo nacisku powszechnie kładzionego na stróżowanie, Polacy wybierali jednak głównie rasy średnie (5-12 kg). Spośród psów wiejskich większość, bo 61 proc., żyła w budzie lub zewnętrznym kojcu, ale i w miastach nie należało to do rzadkości: taki los spotkał tutaj aż 31 proc. psów.

Przywołując badania z 2017 r., cytowana wyżej para weterynarzy podkreślała coś jeszcze – powszechne lekceważenie potrzeb zwierząt. Choć 37 proc. ankietowanych deklarowało, że chętnie spędza czas w towarzystwie psa, to tylko 20 proc. za oczywistość uznawało codzienny długi spacer, podczas którego zwierzę może zrealizować naturalne potrzeby związane z ruchem i eksploracją terenu.

Osiem lat później odsetek takich odpowiedzi mógłby okazać się jeszcze niższy. W Polsce – jak wynika z najnowszego raportu federacji FEDIAF zrzeszającej europejskich producentów żywności dla zwierząt – na koniec 2022 r. mieliśmy 8 109 000 psów. Tylko od końca roku 2020, kiedy w Europie rozpoczął się *pet boom*, czyli wywołana pandemią fala zainteresowania posiadaniem zwierząt domowych, w polskich domach przybyło aż 259 tys. psów. A dokładniej – w polskich mieszkaniach, bo pandemiczny *pet boom*, reakcja na *lockdown*, był zjawiskiem w głównej mierze wielkomiejskim. To w miastach najdotkliwsze były ograniczenia w poruszaniu się, które w pewnym momencie poskutkowały wręcz nadpodażą ogłoszeń osób chętnych do darmowych spacerów z psami.

Tu *lockdown* w pewnym sensie nie dobiegł końca.

Słychać wycie

– Jakiś czas temu zostałam poproszona o konsultację do dwóch yorków. Luksusowy dom na przedmieściach Krakowa. Kiedy spytałam, gdzie pieski chodzą na spacer, właściciele wyjaśnili, że oba yorki nie wychodzą z domu, bo się boją. Na pytanie o miejsce, w którym załatwiają potrzeby, gospodyni zaprowadziła mnie w pobliże dwóch gustownych kuwet – wspomina Zula Przybylińska.

Zwierzęcy behawioryści i pracownicy schronisk są zgodni: w okresie pandemii na psa zdecydowało się wiele osób nieprzygotowanych na wyzwanie, jakim może być mieszkanie pod jednym dachem ze zwierzęciem. W ręce kompletnie niedoświadczonych opiekunów trafiały nawet osobniki ras trudnych, jak choćby pierwotne husky, które w pandemii cieszyły się dużym wzięciem z uwagi na ich zamiłowanie do długich spacerów. Część z nich ląduje teraz w schroniskach. Dla innych opiekunowie rozpaczliwie szukają pomocy, bo przyzwyczajony do stałej obecności ludzi pies nagle zaczął demolować mieszkanie lub wyje godzinami ku rozpaczy sąsiadów. Łagodne pieski-maskotki nagle okazują się agresywne wobec gości, bo w okresie szczenięcym nie miały okazji socjalizować się z obcymi ludźmi. Kundelki przygarnięte ze schroniska zaczynają uciekać na każdym spacerze, czym budzą irytację nierozumiejących psiej psychiki właścicieli, którzy za to noszą w sobie przekonanie, że pies, któremu zapewnili dom, powinien „okazać im wdzięczność”. *Pet boom* wybuchł Polsce w twarz.

– Na to wszystko nakłada się zaś jeszcze typowa polska cecha, jaką jest traktowanie psa w niezwykle ambicjonalny sposób – mówi Zula Przybylińska. – Bywam na szkoleniach i konsultacjach w wielu krajach Europy. Nigdzie opiekunowie nie reagują równie nerwowo na prośby czy sugestie dotyczące zachowania psa. Zwrócenie uwagi często kończy się odpowiedzią, żeby zająć się własnym zwierzakiem.

W ten trend idealnie wpisał się tuż po Nowym Roku Marek Sawicki z PSL, który na antenie radiowej „Jedynki” zdystansował się od osób gustujących w sylwestrowych pokazach fejerwerków, ale głównie po to, żeby przy okazji skrytykować pomysłodawców obywatelskiego projektu ustawy, która zakazywałaby m.in. trzymania psów na łańcuchu. „Fanaberią jest to, że psy trzymane w mieście w kawalerkach są przez pięć dni niewyprowadzane na spacer, są zamknięte na dwudziestu paru metrach kwadratowych. Obrońcy zwierząt tych osób dręczących zwierzęta w miastach nie widzą, tylko uczepili się łańcuchów” – grzmiał Sawicki.

Pies w wielkim mieście istotnie coraz częściej bywa tematem zastępczym. Nie nadaje się na symbol statusu społecznego – bo co to za wyróżnik, który można znaleźć w dwóch trzecich polskich domów – może za to z powodzeniem wystąpić w roli figury w sporze ideologicznym. Niesprzątnięte psie kupy, w dużych miastach problem już raczej marginalny, mogą posłużyć za wygodny argument przeciw sąsiadowi w sporze na zebraniu wspólnoty mieszkaniowej. Masz psa? Na pewno po nim nie sprzątasz.

Dla pokolenia 20-30-latków pies bywa z kolei demonstracją wyboru drogi życiowej, w której nie ma miejsca na dziecko, co jednocześnie nie przeszkadza części takich osób traktować psa niemal jak dzidziusia (niektórzy używają wręcz terminu „psiecko”), przebierać na spacery i nosić niemal ciągle na rękach. Osobliwym poligonem, na którym coraz częściej dochodzi do starć między takimi farbowanymi a prawdziwymi „rodzicami”, stają się place zabaw, na które zgodnie z polskim prawem nie wolno wprowadzać psów. Dla części psich opiekunów place stanowią idealne miejsce na spacer czy trening posłuszeństwa. Są przecież czyste, ogrodzone i bezpieczne.

©℗ MAREK RABIJ

Autor ma dwa psy

TOMASZ

Stawiszyński: *Przykazania TWWW*

Wiadomość przyszła z nieznanego adresu, z tajemniczego serwera. Mało brakowało, a nie wydobyłbym jej z przepastnych zasobów folderu „Niechciane”*. Traf (a może to było coś więcej?) chciał jednak, że w ostatniej chwili ją odnalazłem. Styl był nad wyraz enigmatyczny. Nadawca tak samo zagadkowy, jak adres i serwer. „Pisze pan dużo – w pierwszym zdaniu od razu przeszedł do rzeczy – o spiskach i tajnych lożach. Chciałbym więc zwrócić pańską uwagę na jedno z najliczniejszych dziś i najpotężniejszych tajnych towarzystw na świecie. Najtajniejsze z najtajniejszych, tak bowiem tajne, że jego członkowie wcale nie zdają sobie sprawy ze swojej doń przynależności. Zarazem wszyscy postępują ściśle wedle instrukcji, którą pozwalam sobie panu udostępnić: dziesięciu przykazań TWWW. Kto jest ich autorem? Kto je stworzył i skodyfikował? Najprostsza odpowiedź brzmi: nikt. Nikt, a jednocześnie wszyscy. Nic więcej już nie powiem, instrukcję posyłam poniżej, a co pan z nimi raczy zrobić, to jest już wyłącznie pańska sprawa i odpowiedzialność. Pozdrawiam serdecznie, Życzliwy”.

Faktycznie, „Życzliwy” nigdy się potem nie odezwał, a kilkukrotne próby pisania na adres nadawcy kończyły się zwrotem z informacją „user unknown”. Długo zastanawiałem się, co począć z przekazanymi przez niego instrukcjami. Długo też myślałem o tym tajemniczym towarzystwie, na którego istnienie tak bardzo chciał zwrócić moją uwagę. Początkowo wzbraniałem się przed uznaniem jego teorii, ale później stopniowo dochodziłem do wniosku, że najpełniej i najlepiej wyjaśnia ona fenomeny rozgrywające się dookoła. Przede wszystkim w mediach społecznościowych, ale nie tylko. Media społecznościowe to przecież zaledwie podłoże, żyzna gleba, na której rozwijają się istniejące skądinąd tendencje i cechy. Dlatego postanowiłem w końcu upublicznić te rewelacje. Być może niektórzy rozpoznają w nich zjawiska, które obserwowali dotąd w sieci i w życiu. Inni znowu zorientują się, że są członkami TWWW – Towarzystwa Wzajemnego Wirtualnego Wzmożenia – choć nigdy świadomie się doń nie zapisywali. Cóż, to może być w każdym razie dobry moment, żeby wreszcie rozważyć, czy chcą być jego członkami.

A teraz już *ad rem*, do przykazań.

- **PIERWSZE:** nie czytaj tego, co komentujesz. Polegaj wyłącznie na ocenie tych, którzy już to skomentowali. Powtarzaj opinie najbardziej emocjonalnie rozgrzane. Jeśli w ogóle, czytaj co najwyżej nagłówki i leady. Jest tam wszystko, co ci potrzebne, żeby zająć słuszne stanowisko.
- **DRUGIE:** nie zawracaj nurtu, płyń z nim. Nie pisz niczego, co mogłoby zakłócić już istniejącą atmosferę oburzenia i wzmożenia. Wzmacniaj ją, intensyfikuj, ale nie próbuj osłabiać, bo wtedy nurt może porwać i ciebie. Niejednego już porwał, pamiętaj.
- **TRZECIE:** strzeż się dysonansu poznawczego. Nigdy nie kontroluj swoich reakcji na treści, które budzą w tobie jakiekolwiek wątpliwości. Potępiaj, śmiej się, szydź i kpij z każdego, kto mówi coś, czego się w twoim gronie nie mówi i nie uważa – aż ostatni cień wątpliwości się rozwieje.
- **CZWARTE:** ignoruj argumenty, deprecjonuj argumentującego. Nie przyjmuj do wiadomości niczego, co sprzeciwia się twoim poglądom. Każda dyskusja to wojna, w której liczy się najdrobniejszy przyczółek. Nie wolno ci oddać nawet skrawka.
- **PIĄTE:** podążaj śmiało od miłości do nienawiści. Jeśli ktoś, kogo wcześniej kochałeś za to, że mówił to, co myślisz, zaczyna mówić coś innego, masz pełne prawo, żeby go teraz znienawidzić. I żeby – to jasne – swoją nienawiść dobitnie wyrazić głośno.
- **SZÓSTE:** dziel ludzi na mądrych i przyzwoitych oraz degeneratów i głupców. Ty oczywiście zawsze znajdujesz się w pierwszej grupie. Pamiętaj, że każdy, z kim się nie zgadzacie, jest człowiekiem zdeprawowanym i złym albo, w najlepszym razie, niespełna rozumu. Jedyną zatem reakcją ludzi przyzwoitych może być gniew, potępienie, pogarda i śmiech.
- **SIÓDME:** bądź bezlitosny dla degeneratów i głupców, nigdy nie okazuj im współczucia. Pamiętaj, że źli i głupi ludzie są źli i głupi w stu procentach. I zawsze są sami sobie winni. Jeśli więc spotyka ich gniew, pogarda, szyderstwo albo inna forma potępienia, znaczy to niechybnie, że sobie na to zasłużyli. Ich sprawa, ich problem, nie twój. „Och jaki biedny”, „no rzeczywiście, jaki wrażliwy” – oto przykładowe zwroty, jakich możesz użyć, kiedy ktoś taki zacznie się nad sobą użalać.
- **ÓSME:** plotkuj, obmawiaj, wyzłośliwiaj się publicznie na ich temat, nawet jeśli są to twoi znajomi. Nie przejmuj się, że będzie im przykro, kiedy to przeczytają, ostatecznie sami tego chcieli.
- **DZIEWIĄTE:** pamiętaj, że zawsze masz rację. Zawsze robisz rzeczy słuszne, nigdy się nie mylisz, nie miewasz złych intencji, nie bywasz niesprawiedliwy, agresywny, chamski czy nienawistny. Afekty nigdy cię nie ponoszą, każde twoje szyderstwo jest na miejscu, każda nagonka, w której bierzesz udział, moralnie słuszna, a poglądy, które żywicie ty i twoi towarzysze, zawsze i jedynie prawdziwe.
- **DZIESIĄTE:** sprawdzaj stale, co się aktualnie mówi i myśli, powtarzaj to głośno i posłusznie, bo ani się obejrzysz, a sam zostaniesz uznany za głupiego lub złego. A to przecież najgorsze, co by cię mogło spotkać, nieprawdaż? ©

* *Okoliczności, w jakich zetknąłem się z tajnymi przykazaniami TWWW, zostały zmienione, a wszelkie podobieństwa do osób i zdarzeń są wyłącznie nieprzypadkowe.*

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguł na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.

NOWA PRENUMERATA

PROSTO DO MOJEGO DOMU

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA
Kwartał – 12 wydań	170 zł
NOWOŚĆ Półroczna – 26 wydań	**320 zł**
Rok – 52 wydania	590 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	500 zł
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	110 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	690 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	600 zł

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty cyfrowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Ceny prenumeraty łączonej (prenumerata drukowana i dostęp cyfrowy) nie ulegają zmianie.
Sprawdź pełną ofertę na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

„TYGODNIK POWSZECHNY" SUWERENNY DZIĘKI TOBIE

FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN / OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OPINIE

Z BOGIEM I NIE TYLKO

Widziałem wszystkie filmy Patryka Vega. I ten ostatni o Putinie też. Jedne obejrzałem z przyjemnością. Inne były gehenną. Polacy go pokochali. A potem porzucili. Dlaczego?

MICHAŁ WALKIEWICZ

Besaleel, namaszczony przez Boga rzemieślnik, który podczas obozowania na górze Synaj zbudował Arkę Przymierza i Namiot Spotkania, nie jest najgorętszym nazwiskiem w Wikipedii. Lecz nawet on miał swoje pięć minut sławy. Kiedy jego biblijne imię przyjął polski reżyser Patryk Vega, słupki oglądalności strony wystrzeliły pod sufit. Przez chwilę obaj byli popularniejsi od Mojżesza.

Nie była to jedyna atrakcja tamtego wieczoru. Po serii kasowych porażek oraz autobiografii, z której wynikało, że Polska jest dla niego za ciasna, Patryk „Besaleel" Vega zapowiedział film o Władimirze Putinie. Jako posiadacz monopolu na prawdę, mówił o „wiwisekcji duszy" rosyjskiego dyktatora. Słuchaliśmy o obrazach Caravaggia oraz ikonach Andrieja Rublowa; o „Zbrodni i karze" Dostojewskiego oraz o aniołach i demonach wędrujących ulicami Petersburga niczym u Bułhakowa. A wszystko to już po rosyjskiej napaści na Ukrainę, która zamieniła podobne wizje w wyjątkowo delikatną – formalnie i moralnie – materię. Jak szaleć, to szaleć?

Dziś, gdy „Putin" zarabia już w polskich kinach, wypadałoby zapytać, jaki jest właściwie cel tej wiwisekcji? Biorąc pod uwagę impet, z jakim Vega przestawił zwrotnicę w rodzimym kinie, namiętność, z jaką Polacy rzucali się na jego filmy, oraz skalę rejterady, gdy zaczął już zjadać własny ogon, zaryzykuję stwierdzenie, że chodzi o powrót do łask masowego widza. Ale to ja. A filmy Vegi oglądaliśmy przecież wszyscy.

Dekada Vegi

Podczas gdy większość polskich filmowców podąża utartą ścieżką „szkoła – debiut – jakoś to będzie", w ciągu ostatnich dwóch dekad Vega pokonał drogę, o której można by nakręcić hollywoodzką biografię. Ta nakręcona przez niego, „Niewidzialna wojna" z 2022 roku, jest spowiedzią człowieka, który nigdy tak naprawdę nie przegrał

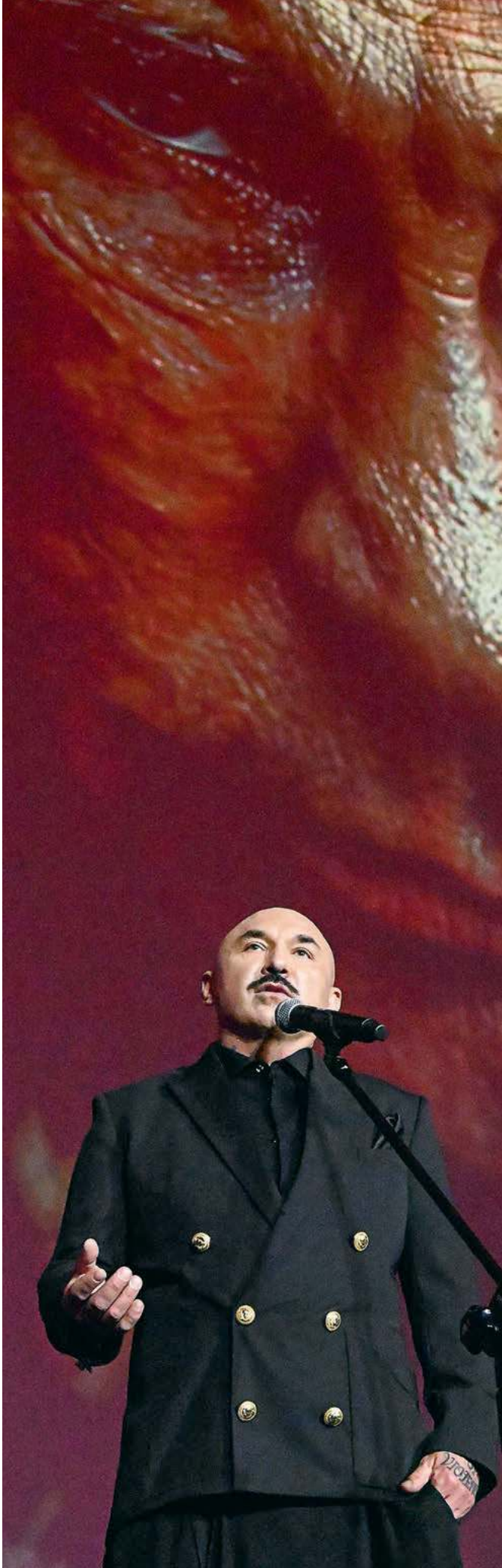

RADOSŁAW NAWROCKI / FORUM

– ani w życiu, ani w kinie. Ale nawet jeśli życie traktuje się jako część planu boskiego, a kino biznesowego, takie konkluzje bywają ryzykowne.

Na przełomie wieków, jako uczeń dokumentalistów Andrzeja Fidyka i Marka Millera, początkujący scenarzysta, a także twórca serialu „Prawdziwe psy", Vega był stałym bywalcem komendy stołecznej policji. Nakręcił wówczas świetnego „Pitbulla" (2005), podwójną demitologizację etosu służb mundurowych oraz importowanego na potęgę po transformacji kina sensacyjnego. Później osiadł na mieliznach gatunkowej konfekcji. Za sprawą komedii „Ciacho" (2010) oraz „Last Minute" (2013), a także nieudanego requela (czyli trochę rebootu, a trochę sequela) „Hans Kloss. Stawka większa niż śmierć" stał się synonimem nie tyle złego smaku (na to jeszcze przyjdzie pora), co zawiedzionych nadziei.

W myśl zasady „jeden krok wstecz, dwa kroki naprzód" powoli wracał do kina, które przyniosło mu sławę. Filmy kręcił za pieniądze swoje oraz prywatnych inwestorów, co – wbrew hollywoodzkiej logice kolektywnej pracy nad tekstem – zamieniło go w faceta, dla którego każdy pomysł jest równie dobry. Najpierw były „Służby specjalne" (2014), a później kolejne odsłony „Pitbulla": „Nowe porządki" i „Niebezpieczne kobiety" (2016), dzięki którym stał się jednoosobową armią w służbie kina kręconego błyskawicznie, niechlujnego formalnie, schlebiającego najniższym gustom, ale też bezpretensjonalnego, szalonego konceptualnie, buchającego narracyjną energią.

Następne kasowe hity, czyli „Botoks" (2017), „Kobiety mafii" (2018) i „Polityka" (2019), były impregnowane na krytykę. Ponieważ większość filmów przemontowywał na seriale, mógł zarabiać na „dwóch frontach", komercyjnie niespełnione produkcje zaś, w rodzaju „Plag Breslau" (2018), okazywały się wyjątkami potwierdzającymi regułę. „Pan Pasikowski wie o polskich widzach coś, czego ja nie wiem" – mówił Andrzej Wajda, kiedy w połowie lat 90. krytycy pastwili się nad „Psami", a widzowie przebierali się na ulicach za Franza Maurera. Vega dowiedział się o nas jeszcze więcej niż Pasikowski.

I jeszcze: ilu polskich twórców filmowych można definiować poprzez „wczesny", „środkowy" i „późny" okres twórczości? Wajdę, Zanussiego, Pasikowskiego? Vegę na pewno.

Zaorać motłoch

Vega był już i ludowym trybunem, i synonimem filmowego obciachu. Dziś jest niewiadomą. Choć ktoś, kto obejrzał choćby zwiastun „Putina", wie doskonale, że nie jest to „wielka niewiadoma".

Jego zderzenie z krytyką filmową przybierało zazwyczaj formę sarkastycznych połajanek – wymierzonych i w niego, i w tzw. „zwykłego widza". Z uwagi na kasowe sukcesy dziennikarze nie widzieli, którą ręką wyprowadzać ciosy. Część tłukła w „motłoch", pogłębiając otchłań między intelektualną elitą a odbiorcą spragnionym rytualnego doświadczenia. Inni zajmowali pozycje ostatnich sprawiedliwych. Smagali wprawdzie Vegę bacikiem ironii, ale też „analizowali fenomen", przyglądali się socjologicznym aspektom jego kina. W myśl zasady, że nie warto obrażać się na rzeczywistość, uznawali go za zło konieczne; za drzazgę pod paznokciem, którą wypadałoby wyszarpnąć w tzw. „kulturowym dyskursie".

Gdybym sam miał się określić, mówiłbym raczej o tym, że Vega jest obietnicą bez pokrycia. Nie tylko ja po sukcesie „Pitbulla" i całkiem niezłych „Służb specjalnych" zacząłem się zastanawiać, kto ↦

Patryk Vega podczas premiery filmu „Putin". Warszawa, 9 stycznia 2025 r.

↦ właściwie zrzucił skórę. Biznesmen? Cyniczny socjotechnik? Facet z uchem do dialogów, ale bez talentu reżyserskiego? Ten ostatni raczej nie. Skoro ze skrawków prawdy i fikcji fastrygował tak odrębne – zwłaszcza na tle bitych od sztancy produkcyjniaków – historie, to przecież nie może być oszustem. Prawda?

Kaci i Katon

Przed dekadą Vega był u szczytu popularności. Przez jego plany zdjęciowe wędruje korowód gwiazd: od Zbigniewa Zamachowskiego i Agaty Kuleszy po słynną „Luz Marię", czyli Angie Cepedę oraz znanego z „Domu z papieru" Enrique'a Arce. Ludzie gnają do kin całymi tłumami. Trzy miliony widzów na „Pitbullu. Niebezpiecznych kobietach". Dwa i pół na „Botoksie". Dwa na „Kobietach mafii". W kategorii wpływów z kas dwie pozycje Vegi lądują w dziesiątce najbardziej dochodowych filmów po 1989 roku – i to z uwzględnieniem dystrybuowanych międzynarodowo koprodukcji, „Pianisty" oraz „Twojego Vincenta".

Krytycy sarkają, studenci filmoznawstwa umawiają się na „ironiczne" seanse, memosfera pracuje na szóstym biegu. Ulica mówi o Vedze i mówi Vegą, a sceny z filmów trafiają w popkulturowy obieg. Bogusław Linda pyta „dziada", ile ten zarabia w weekend. Maja Ostaszewska obiecuje, że zrobi swojemu facetowi kanapki z ogórkiem. Sanitariusze ratują mężczyznę, który kopuluje z psem. Facet w stroju niedźwiedzia jeździ na rowerze marki Romet.

Popularność jego kina opiera się na prostym mechanizmie. Vega podnosi z ulicy albo wycina z tabloidu temat, a potem podsyca społeczny gniew. Ludzie wybaczają mu blagę oraz artystyczną nijakość samych filmów, gdyż potwierdza to, co już wiedzą, czego się domyślają albo w co bardzo chcieliby wierzyć. Głównie o Polsce. W obiektywie reżysera to kraj na krawędzi implozji, drenowany przez bogaczy, przeżarty korupcją na każdym instytucjonalnym poziomie; węzeł gordyjski interesów mafijnych, politycznych i kościelnych. Politycy kradną, lekarze zabijają nienarodzone dzieci, sąsiedzi łypią spod byka, pies szczerzy kły – pewnie ma coś do ukrycia. Ci, którym jeszcze nie przetrącono kręgosłupa, wkraczają do akcji. Tłuką po gębach, filozofują, raz zachowują się jak Jason Bourne, kiedy indziej jak Schopenhauer. Niewiele mogą jednak zdziałać w tak robaczywym kraju.

Dziennikarze stroją sobie żarty, przytaczają historyjki, ironizują. Że Vega naprawdę nazywa się Krzemieniecki. Że na drugie ma Seba. Że nie robi dubli. Że statyw przehandlował za drona. Że do jazd kamerowych używa deskorolki. Że chwali się nowym lamborghini. A ludzie? Wchodzą na fora, piszą o prawdzie, o riserczu, o wypruwaniu podszewki tematów, chwalą twórcę za obywatelską postawę.

Reżyser tymczasem uparcie czerpie z tej naszej studni bez dna. Wyciąga z niej policjantów, lekarzy, polityków, kiboli, pedofilów, SKOK Wołomin, aferę podkarpacką. Rzuca oskarżenia, prawi o ryzyku zawodowym, o zagrożonym życiu. Przede wszystkim jednak – pozwala nam umościć się bezpiecznie we własnej głowie i ocenić „świat za oknem" z pozycji moralnej wyższości. Niemal wszystko w jego ustach brzmi tak samo dobrze, bo i sam Vega jest trochę tu, a trochę tam. Niby człowiek z kamerą, bogacz, członek elity, ale też „swojak", tajniak z ludu na salonach, facet zamrożony w wiecznym, rebelianckim geście.

Koniec balu

Tym większe zaskoczenie, że kilka lat później miłość prostego człowieka się kończy. A wraz z nią przeświadczenie, że Vega reprezentuje interes „motłochu". Twórca kręci za coraz większe pieniądze, ale efekt jest coraz bardziej groteskowy. Mówi o satanistach-pedofilach w Meksyku, o seks-maszynach w pandemii, o Bogu we własnym sercu. Z autobiograficznej „Niewidzialnej wojny" wynika, że wymyślił „Matriksa" przed Wachowskimi, a po kamerę kazał mu sięgnąć sam Stwórca. Staje się kimś, kogo Polacy średnio lubią: moralistą. „Zdroworozsądkowe" spojrzenie na Polskę? Jak najbardziej! Katon Młodszy? Zapomnij.

Resztę jego kariery można opowiedzieć w konwencji telegramu, odmierzają ją kolejne artystyczne i kasowe porażki: „Bad Boy", „Pętla", „Small World". A także skandale (jak medialny odpór po dokumencie o pedofilskich siatkach „Oczy diabła") oraz zapowiadane projekty (pod względem ich ilości może się równać jedynie z Quentinem Tarantino). Nawrócenie i powrót do Boga, o których chętnie opowiada prasie, odbijają się na jego kinie w sposób tak transparentny, że klucz biograficzny staje się jedyną metodą interpretacyjną. Kolejny „Pitbull" jest dosłowną adaptacją Księgi Wyjścia, gdzie stary mądry policjant referuje swojemu synowi dekalog. „Miłość, seks i pandemia" to z kolei uwspółcześniona przypowieść o siewcy, o czym informuje w filmie ksiądz na ambonie. W finale „Niewidzialnej wojny" czuć już tylko gorycz. I zapowiedź „samowygnania": podróży ku oświeceniu, czyli ku jeszcze większym pieniądzom i jeszcze ambitniejszemu kinu.

Waga ma znaczenie

Widziałem wszystkie filmy Patryka Vegi. Niektóre po dwa razy. Jedne obejrzałem z przyjemnością. Inne były gehenną. Niektóre polecam ludziom spragnionym kina eksploatacji. Innych nie traktuję w ogóle jako kina, to raczej doświadczenie z pogranicza skeczu oraz wsobnego performensu. Gdy mówię o tym w towarzystwie, czuję, że to wstydliwe wyznanie, choć mam wrażenie, że dwie rzeczy nie podlegają dyskusji.

Po pierwsze, Vega dał poszaleć rodzimym aktorkom, uwięzionym dotąd w komediach romantycznych oraz zgrzebnych pogrobowcach kina moralnego niepokoju. Nawet jeśli ich postaci były cieniutkie jak kalka, mogły postrzelać z kałasznikowów, pomachać piłami łańcuchowymi, porzucać mięchem; mogły stać się częścią większej narracji o zwrocie rodzimego kina w stronę kobiet, a przy okazji – ludowymi bohaterkami publiczności rozczarowanej Polską.

Po drugie, reżyser miewał pomysły z tych najdzikszych. No bo jak inaczej nazwać fakt, że w „Niewidzialnej wojnie" Rafał Zawierucha gra szczupłego Vegę, a gdy bohater przybiera na wadze, wciela się w niego zupełnie inny aktor (choć wciąż mówiący głosem Zawieruchy)? Albo opowieść o Jarosławie Kaczyńskim z filmu „Polityka" rozegrana w konwencji homoerotycznej komedii kumpelskiej: prezes spaceruje po Żoliborzu, puszcza kaczki na stawie i wodzi tęsknym wzrokiem za swoim masażystą. Gdyby obejrzeć tę nowelkę w próżni, przypominałaby kameralne kino niezależne. Zestawiona z barokowymi, pełnymi niewybrednych gagów historiami Bartłomieja Misiewicza, premiera Morawieckiego i ojca Rydzyka jest jak odprysk szalonej wyobraźni. W polskim kinie takiej wyobraźni, najzwyczajniej w świecie, brakuje.

Z VEGĄ BEZ RYZYKA

MATERIAŁY PRASOWE X3

▪ **PITBULL** (2005) Fabularny debiut Vegi i wciąż jego najlepszy film – choć, wbrew obiegowej opinii, nie jedyny udany. Przetrąceni przez życie i uwalani egzystencjalnym brudem stołeczni gliniarze mówią językiem, którego wcześniej w polskim kinie nie słyszeliście. I którego Vega, na dobre i na złe, stał się mistrzem.

▪ **SŁUŻBY SPECJALNE** (2014) Pierwszy zwrot przez rufę w karierze. I od razu coś, co dla odmiany dało się oglądać. Pomijając kontrowersyjne wątki w rodzaju zamachu na Andrzeja Leppera, to całkiem przyzwoity, polifoniczny thriller z dobrymi rolami Olgi Bołądź i Janusza Chabiora.

▪ **PLAGI BRESLAU** (2018) Siódma woda po „Siedem", ale z dyskretnym wrocławskim kolorytem. Zrealizowany z myślą o nieistniejącej już platformie Showmax film nie był hitem, lecz wstydu Vedze nie przyniósł. Okazał się też chyba jego najdojrzalszą opowieścią o tzw. ludowym gniewie.

Płaciliśmy za te wariactwa wystarczająco długo, by wiedzieć, że mówią więcej o nas niż o reżyserze. I nic nie jest tego jaskrawszym przykładem niż jedyny „Pitbull", którego Vega nie nakręcił, czyli ten w reżyserii Władysława Pasikowskiego. Po premierze zgodnie podkreślano, że mieliśmy do czynienia z lepszym filmem, który oglądało się znacznie gorzej.

Coś jest na rzeczy. „Środkowe" filmy Vegi ogląda się na jednym wdechu, choć składają się z miliona gagów; z wyłowionych z magmy języka potocznego perełek można się śmiać, nawet jeśli trafiają do przegródki z patohumorem. Nad formą zaś łatwo przejść do porządku dziennego, skoro nie o formę wcale chodzi. Vega, chwalący się często swoim socjologicznym wykształceniem, znalazł klucz do serca masowego odbiorcy, ponieważ bezbłędnie zdiagnozował hierarchię naszych potrzeb względem kina. Filmowe rzemiosło znajduje się na niej bardzo nisko. Synergia tematu i narracyjnej werwy – na samym szczycie.

Co z tym „Putinem"?

W „Putinie", o którym można mówić wyłącznie za pomocą wielkich kwantyfikatorów, wszystkie te „recepty na sukces" powracają ze zdwojoną mocą. Rozpoczynają go nawet nie jeden, a dwa cytaty. Ten ważniejszy, z „Raju utraconego" Johna Miltona, brzmi: „Umysł jest swoim własnym panem. I sam potrafi niebem uczynić piekło, a piekłem – niebo". Czyli jednak – wiwisekcja.

Jesteśmy w niedalekiej przyszłości, w jednym z moskiewskich szpitali. Tarzający się we własnych fekaliach Putin dostaje raport ze stanu świata: Stany Zjednoczone walą się w gruzy, kryzys paliwowy zamienia Wielką Brytanię w kraj rowerów, a na Ukrainie wciąż rządzą sataniści. Chwilę później wsiadamy do wehikułu czasu i lecimy przez całe życie dyktatora. Putin walczy o życie w betonowej dżungli, jeździ taksówką, urabia Jelcyna, likwiduje kolejnych politycznych oponentów. Duchy dzieciństwa oraz diabły z piekielnego leja wdzierają się do jego głowy i prowadzą psychomachię, a Dolina Niesamowitości pochłania nasze zmysły. Nałożona na aktorskie ciało technologia *deepfake* zamienia Putina – dosłownie – w kukiełkę historii.

Vega przekonuje, że nie chciał relatywizować medialnej optyki. Pragnął pokazać Putina jako ułomnego, zakompleksionego człowieka i uspokoić tym samym ludzi żyjących w czasie wielkich politycznych turbulencji. Ja będę się upierał, że to nawet gorzej. Po pierwsze – stoi za tym mylne przekonanie, że wszystkich dyktatorów da się zmierzyć jedną miarą (co, jeśli trzymamy się badań psychologicznych, jest prawdą tylko do pewnego stopnia). Po drugie – jeśli coś pozwala nam wstawać z łóżka bez strachu, to raczej jest to przeświadczenie, że wszystkie ruchy na geopolitycznej szachownicy są elementem nieprzeniknionej gry. Wizja człowieka „takiego jak my" pochylonego nad atomowym guzikiem to jednak czysty egzystencjalny horror. I nikogo raczej nie uspokoi.

„Putin" – w kontrze do dotychczasowych filmów Vegi – mówi chyba więcej o nim samym niż o nas. Sprzedany na ponad 60 międzynarodowych rynków, przemontowywany w zależności od lokalnych potrzeb i nakręcony po szumnej obietnicy „nowego rozdania", jest kolejną odsłoną biznesowego planu. Jasne, jest to plan, który może imponować. Ambicji też łatwo pozazdrościć. To na ich ołtarzu składane jest kino.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

JAK SIĘ ROZWIEŚĆ PO KATOLICKU

Wokół procesów stwierdzających nieważność małżeństwa narosło wiele mitów.
W jaki sposób Kościół uznaje, że małżeństwo nigdy nie zaistniało?

TEKST IGNACY DUDKIEWICZ

ILUSTRACJA KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

Wydawało się, że mój przypadek jest prosty. Były dokumenty, świadkowie, adwokat kościelny mówił: małżeństwo zawarte nieważnie – opowiada Maria. – Ostatecznie sąd też tak orzekł. Nie rozumiem tylko, czemu trwało to prawie 7 lat i wiązało się z tyloma formalnościami.

– Krótka piłka. Znajomy ksiądz z sądu popchnął sprawę, po pół roku było po wszystkim. A jeśli małżeństwo było zawarte ważnie? Nie interesuje mnie to. Nowa partnerka chciała ślubu kościelnego – mówi Piotr.

To dwie skrajności. Ale wielu osobom starającym się o stwierdzenie nieważności małżeństwa towarzyszy niepewność.

Co mówią liczby

Sprawy o stwierdzenie nieważności małżeństwa w Kościele w Polsce to olbrzymia część pracy sądów kościelnych. Co czwarty wyrok w Europie stwierdzający nieważność małżeństwa zapada w naszym kraju. Na świecie liczba podobnych spraw spada. W Polsce – ustabilizowała się na wysokim poziomie: w 1989 r. wniesiono ich nieco ponad 1 tys., w 2006 – ponad 3 tys., obecnie – około 5 tys. rocznie.

Wyraźny wzrost rozpoczął się mniej więcej 25 lat temu, co wiązać można z rozwojem dostępu do informacji, a także publicznymi wiadomościami o osobach, które zdecydowały się na taki krok. To wciąż działa. – Niektórzy klienci są przekonani, że nie mają szans. Ale przypadek Jacka Kurskiego sprawił, że wiele osób pomyślało: „Skoro on, po 30 latach i przy trójce dzieci, wygrał sprawę, to chyba każdy ma szansę” – mówi dr Michał Poczmański, adwokat kościelny. Podkreśla przy tym, że widział tamten wyrok: – To, co zostało w nim opisane, mogło faktycznie mieć miejsce i zakładam, że ma oparcie w dowodach. Postępowanie prowadzone było sprawnie, ale nie szczególnie szybko – ocenia.

O czym świadczy wciąż duża liczba spraw?

– Między innymi o błędach, jakie są popełniane już wcześniej. Proboszczowie, dokonujący badań kanonicznych, nie wychwytują przesłanek, które czynią małżeństwo nieważnym, a niekiedy je ignorują. Znam przypadki, gdy proboszcz miał wiedzę o okolicznościach, które potencjalnie mogłyby powodować nieważność małżeństwa, a jednak zgodził się na jego zawarcie – odpowiada dr Poczmański. – Jeden mężczyzna powiedział przed proboszczem, że nie chce mieć dzieci. Ksiądz odpowiedział, że ślubu nie będzie. A mężczyzna, szturchnięty przez narzeczoną, której w ogóle nie powinno przy tym być, powiedział: „To jednak chcę”. Po kilku latach wszyscy spotkali się w sądzie kościelnym.

Przeszkody dla ważności

Żeby małżeństwo było zawarte nieważnie, musi zajść jedna z trzech przesłanek. Pierwsza możliwość to przeszkody zrywające. Dotyczą np. wieku, pokrewieństwa między narzeczonymi czy złożonych ślubów zakonnych, ale też uprzedniej i trwałej niezdolności do aktu seksualnego. Druga przesłanka to wady formy kanonicznej, które dotyczą osoby duchownego obecnego przy sakramencie i formalności. Takie sprawy to jednak absolutna mniejszość.

Olbrzymia większość postępowań jest jednak prowadzona na podstawie trzeciej przesłanki, mówiącej o wadach zgody małżeńskiej. Ich również jest wiele. Znajdziemy wśród nich doprowadzenie do ślubu podstępem czy zawieranie małżeństwa pod warunkiem, choć najczęściej wskazywane są inne: wprowadzenie w błąd co do istotnej cechy (np. złego stanu zdrowia psychicznego czy posiadania długów), nieszczere składanie przysięgi małżeńskiej czy przymus i bojaźń (np. zawarcie małżeństwa wskutek nieplanowanej ciąży). Największa liczba spraw prowadzona jest na podstawie kanonu 1095 Kodeksu Prawa Kanonicznego, który stanowi, że nie są w stanie ważnie zawrzeć małżeństwa m.in. ci, którzy „z przyczyn natury psychicznej nie są zdolni podjąć istotnych obowiązków małżeńskich”.

Kościelni adwokaci przyznają, że to sformułowanie jest pojemne. Mieszczą się w nim zjawiska odnoszące się do życia seksualnego (np. nimfomania, homoseksualizm czy fetyszyzm), osobowości (np. narcyzm czy niedojrzałość emocjonalna), relacji (np. zbyt silna zależność emocjonalna od rodziców czy przyjaciół), uzależnień i wiele innych. Żeby uznać je za przeszkodę do zawarcia małżeństwa, muszą występować najpóźniej w momencie ślubu oraz mieć trwały i ciężki charakter. Jak tłumaczy Katarzyna Kasztelan, adwokat kościelny: – Z niedojrzałością trwałą, o ciężkim charakterze, wynikającą z zaburzeń i uniemożliwiającą podjęcie obowiązków małżeńskich nie należy mylić choćby niedojrzałości związanej z wiekiem, która nie skutkuje nieważnością małżeństwa. Rozróżnieniu tych spraw ma służyć proces, w tym opinia biegłego.

Zbierane są więc zeznania stron (męża i żony), świadków, analizowane dokumenty i dowody, a także powoływani biegli psychologowie.

Ludzkie historie

Piotr, którego do procesu nakłoniła nowa partnerka, nie jest przypadkiem odosobnionym. Adwokaci spotykają się ze sprawami, gdy stroną jest mężczyzna, choć w praktyce ich klientkami są kobiety. – Ania załatwiała dokumenty, znalazła adwokata, ustalała z nim szczegóły. Ja tylko podpisywałem, mówiłem, jak było, i płaciłem – przyznaje Piotr. Wygrał, wskazując na silne relacje z rodziną oraz zatajone częściowo długi.

Nad Natalią partner się znęcał jeszcze przed ślubem. Upokarzał, bił, gwałcił. Zaszła w ciążę. Pod presją zgodziła się na ślub. Gdy uciekła z córką, nie myślała o kościelnym procesie – wystarczał jej cywilny rozwód. Po kilku latach weszła w nowy związek, urodził się syn. Postanowiła zerwać wszystkie więzy z byłym mężem. Chciała też doświadczyć ślubu kościelnego z człowiekiem, z którym jest szczęśliwa. Wygrała.

Maciej przegrał. Jest zresztą przekonany, że jego małżeństwo było ważne. – Magda, niewiele mogąc mi udowodnić, wzięła całą odpowiedzialność na siebie, wskazując na swoją niedojrzałość. Sąd kościelny to kupił, ale nałożył na nią klauzulę zakazującą kolejnego zamążpójścia, uznając, że te przeszkody nie ustały. Odwołujemy się – opowiada.

Sprawa Marii wydawała się oczywista. Kobieta bardzo pragnęła dzieci. Po kilku latach starań i diagnoz mąż przyznał, że już przed ślubem wiedział, że jest bezpłodny. – To był szok i potężna krzywda. Długo się podnosiłam – opowiada. – Wiedziałam, że to koniec. A kiedy znalazłam nowego partnera, zaczęłam się zastanawiać, czy da się stwierdzić nieważność małżeństwa. Bardzo tęskniłam za Eucharystią...

Motywacje osób decydujących się na proces są skrajnie różne. Jedni chcą prowadzić życie zgodne z nauczaniem Kościoła, przystępować do sakramentów. ↦

Drudzy myślą o procesie jako „kościelnym rozwodzie", sprawie do załatwienia. Jeszcze inni traktują to jako formę zadbania o siebie przez zerwanie ostatnich więzi z byłym partnerem. Albo odgrywają się na byłym mężu czy żonie.

Ale na proces o stwierdzenie nieważności małżeństwa sakramentalnego decyduje się tylko ok. 5 proc. osób, które uzyskują rozwód cywilny. Część wie, że nie ma szans. Innym nie zależy. Maleje też udział ślubów konkordatowych w ogólnej liczbie zawieranych małżeństw. Istnieje wreszcie grupa osób, również wierzących, które nie chcą, by Kościół instytucjonalny osądzał, jak wyglądało i wygląda ich życie.

Błędy i mity

– Wokół procesów narosło wiele mitów. Niekiedy w przestrzeni publicznej mówi się o nich prześmiewczo. Niepotrzebnie. To procesy ważne, poważnie prowadzone i dotykające istotnej sfery życia osób, których dotyczą – mówi Kasztelan.

Często też bywają błędnie rozumiane.

Nie jest to „rozwód kościelny", a więc rozwiązanie ważnie zawartego małżeństwa. Nie jest to też „unieważnienie", bo Kościół nie ma mocy „cofania" sakramentów. Proces ma ustalić, czy w momencie ślubu małżeństwo mogło być ważnie zawarte. Jeśli nie, stwierdza się, że nigdy nie zaistniało.

Proces nie koncentruje się też na przyczynach rozpadu związku. – Niektórzy mylnie uznają fakt rozpadu wspólnoty małżeńskiej za wystarczający dowód na nieważność małżeństwa. To błąd. Istnieją przypadki, w których moralne zaniedbania i słabości małżonków, do czego można zaliczyć np. niedochowanie wierności, powodują zerwanie wspólnoty ważnie zawartego związku – tłumaczy ks. dr Dariusz Brzegowy, wiceoficjał sądu biskupiego diecezji tarnowskiej. – Celem procesu jest zbadanie zdolności danej strony, bądź obydwu, do zawarcia związku małżeńskiego najpóźniej w momencie jego zawarcia. To, co doprowadziło do rozpadu wspólnoty małżeńskiej, jest ważne dowodowo, jednak pierwszorzędnym celem postępowania nie jest ustalenie, kto i w jakim stopniu przyczynił się do rozbicia wspólnoty, tylko stwierdzenie, czy w momencie zawierania małżeństwa nadawał się on do jej stworzenia – wyjaśnia.

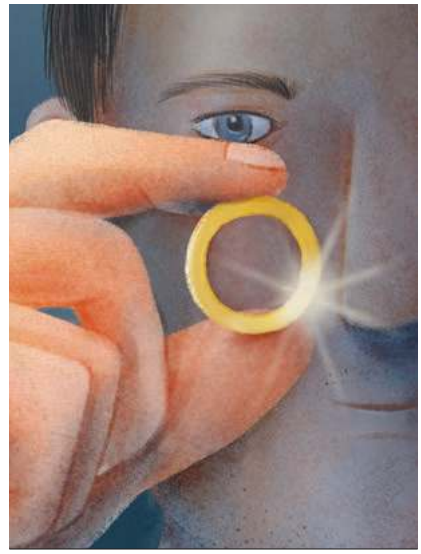

Nie jest to „rozwód kościelny", a więc rozwiązanie ważnie zawartego małżeństwa. Ani jego „unieważnienie": Kościół nie ma mocy **„cofania" sakramentów.**

Proces nie jest też jedyną drogą do rozwiązania małżeństwa w Kościele rzymskokatolickim. Możliwe jest uzyskanie papieskiej dyspensy, jeśli małżeństwo zostało zawarte, lecz niedopełnione – w praktyce: nie doszło do aktu seksualnego.

– Ale przekonanie, że pojawienie się w małżeństwie dzieci, zamyka drogę do procesu, to mit wynikający właśnie z pomylenia procesu o stwierdzenie nieważności małżeństwa ze staraniami o papieską dyspensę – tłumaczy dr Poczmański.

Sąd sądowi nierówny

– Jeśli sędziowie uzyskają moralną pewność co do zaistnienia nieważności małżeństwa, małżeństwo zostanie uznane za nieważne. Tam, gdzie przesłanek do stwierdzenie nieważności nie ma, mamy wyrok negatywny – mówi Kasztelan.

Liczby jednak zastanawiają. Z danych opracowanych przez Kancelarię Kanoniczną Michał Poczmański widać, jak odmienne w różnych diecezjach są odsetki pozytywnych (stwierdzających nieważność małżeństwa) wyroków w stosunku do ogólnej liczby spraw. I tak, w latach 2017 i 2020, w diecezji drohiczyńskiej pozytywnych wyroków było odpowiednio 89 i 92 proc., w ełckiej 91 i 92 proc., a przemyskiej 95 i 92 proc. Zdarza się jednak, jak w diecezji legnickiej w 2020 r., że pozytywne są wszystkie wyroki. A w tych samych latach w diecezji świdnickiej pozytywnych rozstrzygnięć było 40 i 36 proc., w radomskiej – 37 i 52 proc., a w płockiej – 44 i 48 proc.

Skąd te rozbieżności?

– Aby orzec nieważność małżeństwa, sędziowie muszą osiągnąć pewność moralną, to znaczy taką, która wyklucza każdą rozumną wątpliwość. Jeżeli wątpliwość co do nieważności pozostaje, należy wyrokować za ważnością związku – tłumaczy ks. Brzegowy. – Jeśli w danym sądzie jest bardzo dużo wyroków negatywnych, to warto zapytać, czy oficjał nie przyjmuje zbyt pochopnie spraw, które nie rokują wyniku pozytywnego. Każda sprawa winna być przyjmowana w perspektywie udowodnienia ewentualnej nieważności. Jeżeli takich przesłanek nie ma w punkcie wyjścia, skargę należy oddalić, aby nie obciążać sądu.

– Gdy zaś liczba wyroków pozytywnych w danym trybunale jest bardzo wysoka, tzn. przekracza 90 proc., rodzi się uzasadnione pytanie, czy nieważność małżeństwa nie jest tam orzekana zbyt łatwo, w oparciu o prawdopodobieństwo, a nie na bazie pewności moralnej. Trudno przyjąć, chociażby ze statystycznego punktu widzenia, aby tak wiele spraw kończyło się zasłużonym wyrokiem pozytywnym – dodaje ks. Brzegowy, oceniając, że „niebudzącą jego wątpliwości jest sytuacja, gdy odsetek spraw zakończonych orzeczeniem nieważności wynosi około 80 proc.".

Wiele osób dostrzega te rozbieżności. Niekiedy wierny może wybrać, w jakim sądzie złoży sprawę (np. gdy mieszka w jednej diecezji, a ślub brał w innej). W takich sytuacjach ludzie radzą się w internecie, gdzie będą mieć większe szanse. Bo praktyka orzecznicza sądów kościelnych w Polsce jest niejednolita, co ma źródło zarówno w formacji kościelnych sędziów, jak i w prawie kanonicznym, które pewnych pojęć nie dookreśla. A także w specyfice procesu, którego celem jest ustalenie okoliczności, stanów

psychicznych i kształtu relacji w momencie zawarcia małżeństwa, a więc niekiedy wiele lat wstecz. Często trudno więc o jednoznaczne dowody. Kasztelan zastrzega: – Każdy sędzia musi działać na podstawie materiału dowodowego oraz w granicach prawa. Oczywiście, w tych granicach, jak w każdym systemie prawnym, istnieje pewna sfera interpretacji. Gdy są wątpliwości jej dotyczące, można złożyć apelację.

Inny adwokat kościelny podkreśla jednak, że biegły psycholog ma na ogół około godzinę na zbadanie danej osoby i wydanie opinii o jej stanie psychicznym sprzed 15 lat. Również pamięć stron oraz świadków bywa zawodna. Wiele więc zależy od sędziów. – Rozbieżności w procedurach, ale przede wszystkim w podejściu sędziów w sądach kościelnych w różnych diecezjach, rzeczywiście występują – przyznaje dr Poczmański. – Pewnie tak nie powinno być, ale jest. W niektórych diecezjach o stwierdzenie nieważności małżeństwa jest nieco łatwiej, w innych trudniej. Bo o ile prawo jest uporządkowane, wiadomo, jakie są podstawy na przykład do stwierdzenia niezdolności psychicznej do podjęcia obowiązków małżeńskich, to jednak zawsze pozostaje to w sferze oceny.

To zaś potęguje niepewność.

Niczego nie można przewidzieć

Wierny często nie wie, ile proces potrwa i z czym będzie się wiązał. Niektóre sprawy są przewlekane, ludzie niekiedy czują się wręcz przeczołgiwani, gdy są wzywani do przedstawiania kolejnych dowodów, a i tak stwierdzenie nieważności w danym sądzie uzyskać trudno. W innych miejscach sprawy, zwłaszcza proste, są załatwiane sprawnie. „Po co mielibyśmy robić pani dodatkowe problemy?”– usłyszała od sądowego urzędnika Natalia.

Procesy trwają więc od kilku miesięcy do nawet 5 lat (średnio około 2-3 lata). Wiele zależy od stopnia skomplikowania sprawy, dostępności dowodów, tego, czy świadkowie przychodzą na przesłuchania, obłożenia sądu pracą.

Od 2015 r. istnieje możliwość procedowania w trybie skróconym, tzw. 45-dniowym, w którym sędzią jest biskup. To jednak skrajnie odosobnione przypadki. Aby móc skorzystać z tego trybu, sprawa musi być oczywista, by móc ją rozstrzygnąć bez

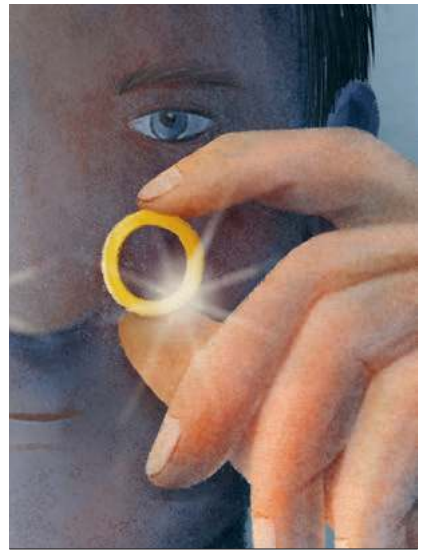

Sprawa Jacka Kurskiego nie tylko dowiodła, że są **„równi i równiejsi”.** Huczność drugiego ślubu stała się też powodem oskarżeń o „publiczne zgorszenie”.

dogłębnego postępowania, potrzebna jest też pełna współpraca stron. Większość z najbardziej popularnych tytułów, na podstawie których orzekana jest nieważność małżeństwa, wymaga jednak zbadania. – Procesów skróconych jest bardzo mało, bo choć dużo jest spraw łatwych, to tych oczywistych już o wiele mniej – konkluduje dr Poczmański.

W trakcie procesu nie ma rozpraw. Po przyjęciu skarga jest przesyłana drugiej stronie, aby mogła zająć stanowisko. Jeśli tego chce, zeznania składają obie strony. Przesłuchiwani są też świadkowie, a sąd zbiera dowody: dokumenty, zaświadczenia, listy itd. Może też powołać biegłego. Następnie dochodzi do publikacji akt i w tym momencie strony mogą jeszcze uzupełnić materiał dowodowy. Obrońca węzła małżeńskiego, którego rolą jest wskazanie okoliczności wspierających tezę o ważności małżeństwa, przedstawia własne uwagi. Po mowach końcowych sąd wydaje wyrok, od którego apelację mogą złożyć zarówno strony, jak i obrońca węzła. Kiedyś do stwierdzenia nieważności małżeństwa potrzebne były wyroki dwóch sądów. Obecnie rozstrzygający może być już wyrok pierwszej instancji, o ile nikt nie złoży apelacji.

– Zmiany wprowadzone przez papieża Franciszka, w tym jednoinstancyjność procesów, skróciły postępowania. To dobrze, bo ludzie, którzy chcieli unormować swoje życie i musieli czekać na to kilka lat – a tak się zdarzało przy procesach dwuinstancyjnych w niektórych diecezjach – tylko na tym cierpieli – komentuje dr Poczmański. I dodaje: – Niektórzy są tak bardzo pewni tego, że ich małżeństwo zostało zawarte nieważnie, że nie wierzą ani mnie, ani wyrokom sądów. Lamentują na Kościół, na kolejne instancje, są przekonani, że zostali skrzywdzeni i jeśli to deklarują, nie muszą już niczego udowadniać. A to tak nie działa. To poważne procesy, z poważnymi postępowaniami dowodowymi. I gdy ktoś przychodzi, pytając, „ile musi zapłacić, żeby jutro był pozytywny wyrok”, to widzę, że nie chodzi mu o prawdę, ale o załatwienie sprawy. Takich spraw nie biorę.

Równi i równiejsi

A co po wyroku? Niekiedy jednej stronie (a czasem obu) sądowa klauzula zabrania zawarcia kolejnego związku małżeńskiego. Dzieje się tak, gdy ktoś doprowadził do ślubu podstępem, albo w dalszym ciągu nie chce brać ślubu w Kościele katolickim lub mieć dzieci, tudzież gdy powód nieważności pierwszego ślubu nie ustał, co oznaczałoby nieważność kolejnego związku. Z tym boryka się Magda, była żona Macieja. Z kolei Piotr przedstawił dowody na spłatę długów oraz opinię od psychoterapeuty, że poradził sobie z problemami w relacjach z rodzicami.

Przy zawieraniu kolejnego małżeństwa zalecana jest też powściągliwość, zwłaszcza gdy w pierwszym związku były dzieci. Sprawa Jacka Kurskiego odbiła się szerokim echem nie tylko dlatego, że chodziło o postać znaną i kontrowersyjną, ale także ze względu na huczność drugiego ślubu, który w ocenie niektórych kanonistów i ogólnym odbiorze spełniał kryteria publicznego zgorszenia i tworzył wrażenie, że są „równi i równiejsi”. – Niektórzy myślą, że mają znajomości w kościelnym środowisku, które pomogą im w osiągnięciu pożądanego przez nich wyroku, albo ↦

↦ przyspieszeniu sprawy. Ale realnie to nic nie znaczy – ocenia dr Poczmański.

Historia Piotra dowodzi, że to się jednak rzeczywiście zdarza. Do nadużyć w procesach o stwierdzenie nieważności małżeństwa dochodziło zawsze. Z tego właśnie powodu Benedykt XIV, w 1741 r., gdy sądy niezwykle łatwo wydawały wyroki pozytywne, ustanowił urząd obrońcy węzła małżeńskiego.

Wiele spraw jest traktowanych równo – nawet jeśli toczą się powoli lub są prowadzone rygorystycznie, to jednakowo dla wszystkich w ramach diecezji.

Ale problemy istnieją. Dlatego osoby wnoszące skargi nie wiedzą, czego się spodziewać, bo ich los często zależy od linii orzeczniczej przyjętej w danej diecezji czy przez konkretnego sędziego. System bywa nieprzewidywalny: czasem i gdzieniegdzie działa mechanicznie, sprawnie rozpatrując kolejne sprawy, nawet jeśli w oparciu o luźną interpretację przepisów, w innych procesy są uciążliwe i długotrwałe, nawet gdy nie budzą wątpliwości prawnych. Zdarzają się mechanizmy kumoterskie, oparte na znajomościach i załatwianiu; istnieje też przekonanie, że niektórym wolno więcej.

Są również wierni, którzy czują się skrzywdzeni stwierdzeniem nieważności swojego małżeństwa z powództwa drugiej strony i żyją z poczuciem, że – jak mówił mi Maciej – sąd zamienia się w „maszynkę do olewania doktryny", a „nierozerwalność to pic". Gdy pytam o to Piotra, zgadza się, choć on akurat z tego się cieszy. Z kolei inni latami czekają na rozstrzygnięcie swoich spraw i czują się krzywdzeni i przeczołgani, mimo że dysponowali mocnymi dowodami.

– Rósł we mnie bunt, że Kościół instytucjonalny, sam trawiony tyloma problemami, rości sobie prawo do oceniania mojej historii, wyborów, sytuacji intymnej i osobistej. Był moment, że chciałam to rzucić i po prostu żyć po swojemu – opowiada Maria. – Zagryzłam zęby. Czy słusznie? Jeszcze nie wiem. © IGNACY DUDKIEWICZ

Autor jest redaktorem naczelnym Magazynu „Kontakt" i autorem książki „Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem".

Wnuki Maritaina

PIOTR ZYGULSKI, TEOLOG I FILOZOF:

Dlaczego personalizm? Bo to „trzecia siła", pomiędzy indywidualizmem a kolektywizmem. I alternatywa dla społeczeństw masowych, tak dziś rozpowszechnionych.

EDWARD AUGUSTYN: Jest Pan „wnukiem Maritaina"? Tak przynajmniej czytam w internecie.

PIOTR ZYGULSKI: I to jednym z wielu. „Nipoti di Maritain" (wnuki Maritaina) to włoski projekt, który zaczął się dwanaście lat temu jako blog i profil społecznościowy grupy studentów zadających prowokacyjne pytania. Reprezentowali tzw. katolików posoborowych, których wtedy, w ostatnim roku pontyfikatu Benedykta XVI, było niewielu we włoskiej infosferze cyfrowej, zdominowanej przez małe, ale aktywne grupy katolików, spoglądających nostalgicznie wstecz na liturgię trydencką czy Josepha De Maistre'a. Cztery lata później, gdy zaczynałem studia teologiczne, poprosili mnie, bym koordynował działalność ich cyfrowego magazynu.

Został Pan, mówiąc wprost, jego redaktorem naczelnym.

Zaproponowałem, by witrynę, obfitującą w studenckie żarty i prowokacje, zamienić w magazyn internetowy, i uporządkowałem jego strukturę. I tak to trwa.

Kim są pozostałe „wnuki"?

W redagowaniu magazynu, co cały czas jest aktywnością nieodpłatną, wspomaga mnie kilkanaście osób, wyłącznie świeckich, którzy dziś liczą od 30 do 44 lat. Założycielami byli Lorenzo, dziś 36-letni dentysta, i Niccolò, 34-letni doktor filozofii. Oni są też zastępcami redaktora naczelnego. Zespół tworzą ludzie różnych zawodów: lekarze, prawnicy, inżynierowie, psycholodzy, aktorzy. Także nauczyciele religii, jak ja czy Filomena, jedyna – nad czym ubolewam – kobieta w naszym gronie. Zresztą wyjątkowo wszechstronna, bo poza studiami teologicznymi ma też wykształcenie literackie i historyczne.

Zaciekawiło mnie, dlaczego młodzi włoscy katolicy obrali za patrona francuskiego filozofa, zmarłego pół wieku temu?

Jacques Maritain łączył w mistrzowski sposób wiarę z aktywnością na rzecz demokracji i obroną praw człowieka. Dla nas jest symbolem „innego katolicyzmu" – niewykorzystywanego politycznie do obrony konfesyjnych interesów i niezafiksowanego na „nienegocjowalnych wartościach". Postanowiliśmy przypomnieć jego postać i myśl, ale też zainicjować publiczną debatę nad najważniejszymi i bardzo współczesnymi tematami w jego duchu.

Maritain żył i działał w zupełnie innym świecie. Jak go chcecie dziś naśladować?

Nie to jest naszym zamiarem. Wnukostwo, przybrane czy naturalne, nie polega wcale na rygorystycznym naśladowaniu dziadków. Choć oczywiście wnuki w pewien sposób ich przypominają. Ale pozwalamy sobie na swobodę w niemumifikowaniu otrzymanego dziedzictwa.

A tak konkretnie? Na czym polega Wasza oryginalność?

Choćby na stymulowaniu dyskusji w Kościele na różne, trudne tematy, bez szczególnej dyplomacji, że tak powiem, a więc w sposób otwarty, zapraszając wszystkie strony, przezwyciężając polaryzację i trzymając się z dala od hejtu, tak powszechnego w mediach społecznościowych. Gdy magazyn powstawał, niewiele było takich miejsc we włoskim internecie. Dziś, za pontyfikatu Franciszka, sytuacja wygląda już inaczej. Nawet media głównego nurtu, oficjalne, jak „Avvenire" czy „Osservatore Romano", poświęcają więcej miejsca tzw. granicznym stanowiskom. W Kościele

DOMENA PUBLICZNA

Jacques Maritain. Francja, około 1930 r.

zaszła zmiana. „Nipoti di Maritain" byli jednymi z pionierów tej kultury.

Maritain to przede wszystkim personalizm. Ale w języku włoskim to słowo nie kojarzy się dobrze.

To prawda. Wiąże się z nim, niestety, pewne nieporozumienie, dość rozpowszechnione także we współczesnych słownikach. W potocznym rozumieniu personalizm to synonim egocentryzmu, egoizmu czy „indywidualnej pretensji". Zresztą już w 1948 r. Emmanuel Mounier, w dziele „Qu'est-ce que le personnalisme?", wyjaśnił, że personalizm nie jest „prostą reinkarnacją indywidualizmu" – wręcz przeciwnie: „stoi na antypodach narcyzmu, indywidualizmu, egocentrycznego kultu". Z tego powodu wolał łączyć „personalizm" z przymiotnikiem „wspólnotowy".

Czym jest „personalizm" dla Was? Jak go definiujecie?

Personalizm nie jest zdefiniowaną doktryną czy systemem, choćby dlatego, że osoba ludzka jest – nawet dla niej samej – niewyczerpaną tajemnicą.

Spróbujmy go jednak przedstawić.

W najszerszym sensie personalizm to nurt, który w centrum swojej refleksji umieszcza osobę ludzką, we wszystkich jej wymiarach. Ta „niejednowymiarowość" ma szczególne znaczenie, co zauważył choćby Herbert Marcuse, marksistowski socjolog i ideolog studenckiej rewolty '68 roku.

Marksizm nie kojarzy się zbytnio z personalizmem.

Był bliski dla wielu humanistów obszaru marksistowskiego, ale to prawda – w najbardziej znanym znaczeniu odnosi się do kręgu myślicieli chrześcijańskich, którzy w okresie międzywojennym podjęli idee antypozytywistyczne, zwracając się ku egzystencjalizmowi i chrześcijańskiemu spirytualizmowi Henri Bergsona, Charles'a Peguy i Nikołaja A. Bierdiajewa. Szczególnie nabrało to znaczenia po kryzysie 1929 r., który położył kres „szalonym latom dwudziestym". Środowisko personalistów powstało wokół francuskiego czasopisma „Esprit", założonego w 1932 r. przez Emmanuela Mouniera.

Personalizm z jednej strony przeciwstawiał się materializmowi, tak w sensie burżuazyjnego indywidualizmu, jak i marksistowskiego kolektywizmu, z drugiej – „fałszywym spirytualizmom", opartym na tożsamości, które odwoływały się do najniższych, szowinistycznych i rasistowskich instynktów. Czyli, mówiąc krótko, faszyzmowi, z którym przecież sprzymierzyła się też pewna część katolików, sądząc błędnie, że będzie lepszy niż propozycje progresywne.

Personaliści chcieli być alternatywą i dla komunizmu, i dla faszyzmu?

Tak, a także dla liberalizmu. Personalizm był proponowany jako „trzecia siła", pomiędzy indywidualizmem a kolektywizmem. Można powiedzieć, że pełnił – i nadal to robi – funkcję krytyczną wobec nadejścia społeczeństw masowych o różnych orientacjach, w tym społeczeństw indywidualistycznych, konsumenckich, społeczeństw samotności.

Rozumiem, że Pana zdaniem, i całego Waszego środowiska, personalizm ma również dziś ważną rolę do spełnienia.

Paul Ricoeur powiedział w 1983 r., że jeśli nawet „umiera personalizm, wraca osoba". Mocno to dziś dostrzegamy. Uznanie centralnej pozycji osoby ludzkiej to klucz do krytycznego odczytania wielu współczesnych kwestii, jak choćby problemów ze sztuczną inteligencją (AI), kryzysu ekologicznego, neoliberalnej technokracji czy ograniczeń demokracji przedstawicielskiej, a raczej tych resztek, jakie po niej zostały. Ostatnie numery naszego magazynu poświęciliśmy takim tematom jak homotransfobia, ekologia, neuronauki, rodzicielstwo, kres życia, kryzys demokracji, populizm, przyszłość Unii Europejskiej, znaczenie tradycji w katolicyzmie czy religijny analfabetyzm.

Na czym polega personalistyczne spojrzenie na homofobię?

Przede wszystkim w dostrzeżeniu osoby z jej niepodważalną godnością. Myślę zresztą, że jest to spójne z tym, co mówi papież Franciszek: słuchać, co ma do powiedzenia druga osoba, nie oceniać jej, nie osądzać, przekonać się, czego ta osoba doświadcza w swoim życiu i w swoim sumieniu, przez które przemawia do niej Bóg. Nikt nie ma prawa deptać doświadczenia drugiej osoby. ↦

O szacunku dla osób homoseksualnych mówi Katechizm Kościoła Katolickiego.

Tak. Sprzeciwia się wszelkiej dyskryminacji osób, także ze względu na ich tożsamość i orientację uczuciową lub seksualną. Myślę, że my, jako laboratorium teologiczno-moralne, możemy pokazać, co to znaczy w odniesieniu do konkretnej osoby, którą spotykamy na swej drodze. Co zrobić, by poczuła się włączona w życie Kościoła, była jego pełnoprawnym członkiem.

Wierzycie, że możecie na nowo wpłynąć na życie społeczne, polityczne i kościelne?

Wiele osób wie, że personalizm mocno odcisnął się na doktrynie społecznej Kościoła katolickiego i wpłynął na Sobór Watykański II (wystarczy wspomnieć „Dignitatis humanae" i „Gaudium et spes"). Ale mało znany jest fakt, że poprzez „ojców założycieli" Republiki Włoskiej, którzy czytali Mouniera i Maritaina, wpłynął też na konstytucję naszego państwa.

A odpowiadając na pańskie pytanie. Tak – takie sobie stawiamy zadania jako „nipoti di Maritain". Chodzi nam nie tylko o filozoficzne dyskusje, „na łamach" naszego internetowego czasopisma, ale też o zaangażowanie w życie własnych parafii czy stowarzyszeń i ruchów katolickich.

Jakiś przykład?

Choćby z ostatniego okresu, gdy objęliśmy patronatem czuwania modlitewne przeciwko homotransfobii w Kościele. Są one organizowane w wielu parafiach przez wspólnoty katolików LGBT+. Jest ich we Włoszech około 40, w wielu diecezjach. Najstarsza w Mediolanie, powstała w 1980 r., ponad dwadzieścia lat ma też wspólnota z Florencji, której biskup nadał status „grupy diecezjalnej". W tych czuwaniach bierze zresztą udział wielu biskupów, choćby z Palermo, Reggio Emilia, San Severo, Kalabrii, San Giovanni Rotondo – wymieniam z pamięci. Także kard. Matteo Zuppi z Bolonii, przewodniczący włoskiego episkopatu, bierze udział w spotkaniach katolików LGBT+. Czuwania modlitewne są organizowane w kościołach katolickich, ale mają wymiar ekumeniczny, bo biorą w nich udział także pastorzy Kościołów protestanckich czy nawet rabin. Przyłączyliśmy się do tej inicjatywy, wiele osób z naszej redakcji w nich uczestniczy.

Czy jesteście też środowiskiem o jasno określonych poglądach politycznych? Mówiąc wprost – katolicką lewicą?

Na pewno bliżej nam do ruchów wzywających do zdecydowanej interwencji publicznej w celu przezwyciężenia nierówności gospodarczych i społecznych. Ale nie we wszystkim jesteśmy jednomyślni i zgodni. W spojrzeniu na niektóre, nawet ważne tematy zdania prezentowane przez środowisko „wnuków Maritaina" bywają niejednorodne. Na przykład jeśli chodzi o przyszłość Unii Europejskiej. Jedni z nas chcieliby jej wzmocnienia, w nadziei na większą solidarność między narodami, inni wręcz przeciwnie – uważają ją za niereformowalny, technokratyczny i neoliberalny twór, daleko wykraczający poza aspiracje ojców założycieli. W ostatnich latach różniliśmy się też w kwestii oceny polityki włoskiej czy europejskiej, ale nasz mały projekt dialogu, jakim jest cyfrowy magazyn, wciąż nas jednoczy. Widzę też, że dzięki tym różnym spojrzeniom jakość naszej dyskusji ciągle rośnie.

©℗ Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN

PIOTR ZYGULSKI – *urodzony w 1993 r. w Genui w polsko-włoskiej rodzinie, jest absolwentem ekonomii (Genua), filozofii (Perugia) oraz doktorem teologii (Florencja), badającym idee eschatologiczne w chrześcijaństwie i islamie. Od 2021 r. uczy religii, filozofii i historii w szkołach ponadpodstawowych oraz teologii w Wyższym Instytucie Nauk Religijnych św. Michała Archanioła w Foggii. Członek zwyczajny Włoskiego Stowarzyszenia Teologicznego. Należy do świeckiego bractwa Małych Braci od Gościnności Karola de Foucauld (Piccoli Fratelli dell'Accoglienza).*

Turowicz personalista

BISKUP KAROL WOJTYŁA, pisząc w 1963 r. wstęp do pierwszej książki Jerzego Turowicza „Chrześcijanin w dzisiejszym świecie", zwięźle charakteryzuje jego formację: „Tomizm, personalizm, katolicka nauka społeczna – przy pewnej osobistej już predylekcji do zagadnień kultury". Rzeczywiście, niesłychanie ważny dla myślenia wieloletniego redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego" okazał się właśnie personalizm.

TEN WYBÓR nietrudno uzasadnić. Po okropnościach wojny potrzebna była koncepcja, która odnosiłaby się realistycznie do ówczesnej sytuacji, a jednocześnie optymistycznie do przyszłości. Egzystencjalizm, z jego wrażliwością na tragizm ludzkiego losu, skazujący na skrajny indywidualizm, do tego się nie nadawał. Marksizm, przyniesiony do Polski na bagnetach – tym bardziej. Personalizm proponował drogę środka. Kładąc nacisk na najwyższą wartość osoby, jednocześnie podkreślał, że osoba rozwija się we wspólnocie. „Chodzi też o to – pisał Turowicz – że personalizm jest doktryną, która żąda najlepszych warunków pełnego rozwoju dla każdej osoby ludzkiej, a więc przekreśla egoizm indywidualizmu". Współbrzmi to dobrze z chrześcijaństwem, ale też daje kryterium do krytycznego patrzenia na wszelkie wspólnoty, również kościelne.

W KSIĄŻKACH ułożonych z artykułów Turowicza znajdziemy portrety ludzi dla niego szczególnie ważnych. Są wśród nich obaj wybitni europejscy personaliści. O Emmanuelu Mounierze pisał: „W dziejach cywilizacji chrześcijańskiej, jak każdej zresztą cywilizacji, są jednostki, które w sposób doskonały wyrażają jakąś najważniejszą świadomość swego pokolenia, wyprzedzając swoją epokę i kształtując świadomość pokoleń następnych". Jacques'owi Maritainowi poświęcił kilka tekstów – m.in. wstęp do opublikowanej w 1988 r. antologii jego prac.

©℗ ARTUR SPORNIAK

ELMIRA / ADOBE STOCK

Ciało jest niewinne

KS. JACEK PRUSAK SJ

To nie z cielesnością mamy problemy, tylko z tym, co z cielesnością robi kultura masowa.

Tytuł „Gender w gabinecie. Rozmowy o ciele, płci i relacjach" sygnalizuje, na jakich problemach społecznych w obliczu kryzysu zdrowia psychicznego koncentrują się w wywiadzie rzece dziennikarka Katarzyna Sroczyńska oraz prof. Barbara Józefik – ceniona psycholożka i psychoterapeutka z Krakowa. Nadmieńmy, że prawie połowa mieszkańców Europy (46 proc.) w ciągu ostatnich 12 miesięcy doświadczyła poważnych problemów emocjonalnych lub psychospołecznych, takich jak depresja lub niepokój. Wśród osób wierzących – a takich mamy w Polsce wciąż dużo – problemy te wiążą się także z konfliktogennym przeżywaniem religijności.

Ciało, płeć, relacje

Początkowo miała to być „seria rozmów o kobietach widzianych z perspektywy gabinetu terapeutycznego, w dodatku oczami psychoterapeutki wrażliwej na kwestie wnoszone przez nurt feministyczny i studia genderowe", a kolejne ich spotkania „miały być poświęcone córkom, siostrom, partnerkom, przyjaciółkom, żonom, matkom i babciom". Ten schemat nie zadziałał. Choć jest to książka o doświadczeniu kobiet opowiadanym przez kobiety, nie jest to ich monolog.

Ostateczny kierunek rozmów wyznaczyły tytułowe hasła: ciało, płeć i relacje. „Ciało, które bywa uprzedmiotawiane, i ciało czujące, z którym jest się w kontakcie. Płeć, która budzi dziś tyle emocji i sporów definicyjnych – która stała się też przestrzenią wolności i wyboru, w jakiej młodzi ludzie rozgrywają coraz częściej kryzysy dojrzewania. I relacje, za którymi – w dobie epidemii samotności i powoływania ministerstw, które mają z tym problemem walczyć – tylu tęskni. Więzi, które nie stają się więziami, lecz doświadczeniami przynoszącymi bezpieczeństwo, bliskość i zrozumienie".

Książka podejmuje więc kwestie zaburzeń odżywiania oraz postrzegania ciała, zaburzeń więzi i regulacji emocji, temat tożsamości płciowej i jej zaburzeń, problematyczne zachowania dzieci i nastolatków oraz trudności relacyjne osób dorosłych – rodziców, opiekunów, małżonków i partnerów. Poruszając różne kwestie medyczne i psychologiczne, prof. Józefik unika żargonu terapeutycznego, co sprawia, że o ludzkich problemach mówi się ludzkim językiem. Z drugiej strony w przekonujący sposób pokazuje, jak kultura tworzy tło dla rozwoju zaburzeń.

Terapia zastępuje religię

Większość Polaków ma na temat psychoterapii stereotypowe wyobrażenie, wykreowane przez media, widząc w niej rozmowę z psychoterapeutą, który mniej lub bardziej przypomina freudowskiego analityka. Jedną z najsilniejszych stron tej książki jest pokazanie podejścia systemowego, identyfikującego problemy nie tyle w jednostce, co w grupie. Systemowa terapia rodzin jest bowiem nie tylko mało znaną społecznie formą terapii, ale też metodą stosunkowo rzadko praktykowaną przez samych terapeutów. Powody tego stanu rzeczy są różne ↦

↦ i trafnie wskazuje je prof. Józefik, pokazując również, jak można je przezwyciężyć.

Przerzucanie odpowiedzialności za rozwiązanie systemowych problemów na jednostkę czy na rodzinę nie tylko nie pomaga w radzeniu sobie z kryzysem psychicznym, który w naszej części świata ma dziś postać epidemii społecznej, ale go pogłębia. Rozmówczyni oddaje głos dzieciom, nastolatkom i ich pierwszoplanowym opiekunom, a czytelnicy sami ocenią, na ile trafne są stwierdzenia tych pierwszych, że ich rodzice zachowują się, jakby nigdy nie byli dziećmi albo jakby nigdy nie dorośli. Ocenią też, na ile za kiepskim samopoczuciem młodych osób i ich problemami stoją kiepsko czujący się rodzice i opiekunowie, przytłoczeni płynną rzeczywistością, nad którą nie mają kontroli i nie wiedzą, jak się mają do niej adaptować.

Drugim walorem książki jest przedstawienie „kultury terapeutycznej" z jej silnymi i słabymi stronami – dostrzeganymi zarówno w obrębie gabinetu, jak i w dyskursie społecznym. Europejczycy są chyba najlepiej przebadaną pod względem zaburzeń psychicznych społecznością. Z drugiej jednak strony hasła takie jak „samorozwój", „samorealizacja" i „odkrycie autentycznego »ja«" są w tej części świata adresowane szczególnie do kobiet, zmuszając je do kreowania i sprzedawania własnego wizerunku, a nie dbania o siebie. W takim wypadku dyskurs terapeutyczny staje się dyskursem opresyjnym, a psychoterapia – rynkową strategią późnego kapitalizmu.

W czasach, w których coraz więcej ludzi nie ma się na czym oprzeć, bo wszystko jest kwestionowane – autorytety, wartości, a nawet płeć – „kultura terapeutyczna" wypełnia miejsce po religii albo wchodzi z nią w konflikt. Nie było więc możliwości, by i w tej rozmowie, tak silnie uwzględniającej moc przekazu międzypokoleniowego i kulturowe dziedzictwo patriarchatu, nie pojawiły się odniesienia do religii – zwłaszcza chrześcijaństwa.

Zniuansowane analizy prof. Józefik, która nie powiela prostych „rozwiązań" głoszonych z ambon czy wygłaszanych w trakcie wieców politycznych takiej czy innej partii, mogą być olbrzymią pomocą dla osób religijnych w wyjściu poza lęki motywowane wiarą, a dotyczące „zjawisk genderowych", przede wszystkim

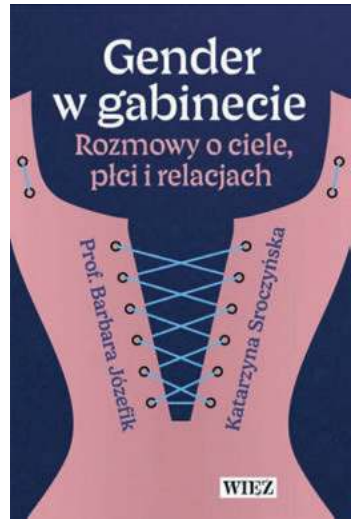

GENDER W GABINECIE. ROZMOWY O CIELE, PŁCI I RELACJACH
prof. Barbara Józefik, Katarzyna Sroczyńska, Więź, Warszawa 2024

zaś dysforii płciowej. Rozmówczyni dzieli się wieloletnim doświadczeniem klinicznym i szeroką wiedzą, wykraczającą poza kanon studiów psychologicznych i szkoleń psychoterapeutycznych, nie zapominając, że za procesami społecznymi stoją konkretne jednostki i ich cierpienie.

Stereotypowa sfera grzechu

Mówiąc o ciele jako „fundamencie naszego ja", krakowska terapeutka wzięła pod lupę poglądy Platona i św. Augustyna, sprowadzając opinie tego ostatniego do stwierdzenia „ciało to źródło grzechu". Jako klinicystka z dużym stażem, dodaje: „Jest to wątek wciąż obecny w psychoterapii, szczególnie w przypadku osób wierzących: trudność w traktowaniu ciała jako źródła przyjemności i pozostawania z nim w harmonii; trudność w myśleniu o przyjemności jako o czymś, co jest naturalne. Wciąż wiele osób przeżywa poczucie winy lub wstydu, konfrontując się z seksualnością swojego ciała".

Czy w takim razie wszystkiemu jest winien św. Augustyn? Czy chodzi o odosobnione problemy chrześcijan, którzy zmagają się z „nerwicą eklezjogenną" w psychoterapii, nawet jeśli nikt im nie postawił takiej diagnozy?

Nie ma wątpliwości, że św. Augustyn wywarł negatywne piętno na rozumieniu ludzkiej cielesności i seksualności wśród chrześcijan na Zachodzie (bo nie w prawosławiu). Trzeba jednak pamiętać, że jego poglądy były polemiką ze stanowiskami jeszcze bardziej skrajnymi, a więc manicheizmem i gnostycyzmem, a jego samego znacząco ukształtowały własne problemy z seksualnością. Nie zmienia to faktu, że chrześcijaństwo zmaga się z kwestiami cielesności i seksualności, ale jak to ostatnio wykazał wybitny historyk chrześcijaństwa i emerytowany profesor Uniwersytetu Oksfordzkiego Diarmaid MacCulloch („Lower than the Angels. A History of Sex and Christianity", Penguin Books, 2024), nie istnieje coś takiego jak „chrześcijańska teologia seksu", a św. Augustyn nie jest jej głównym bohaterem. Sama Biblia też nie dostarcza ostatecznych odpowiedzi w kwestii seksu, płci i tożsamości, tylko je jeszcze problematyzuje.

Naukowiec z Oksfordu zwraca również uwagę, że Michel Foucault, francuski myśliciel, często zresztą przywoływany przez prof. Józefik, odwoływał się w swoich pracach dotyczących zmian społeczno-ideologicznych do jednoczynnikowych wyjaśnień (represja-regulacja-definiowanie) i typowego dla kultury frankofońskiej „obsesyjnego" zainteresowania katolicką spowiedzią. Nie był więc w stanie dostrzec transformacyjnego potencjału samego chrześcijaństwa.

Książka „Gender w gabinecie" nie jest jednak rozmową o teologii czy historii chrześcijaństwa, więc nie jest to zarzut pod adresem autorek. To tylko „drobny" kontrapunkt dla tych czytelników, którzy nie sięgają po odpowiednią literaturę teologiczną.

Cielesność jako dogmat

Na zakończenie warto też przypomnieć, że cielesność – jako podstawa osobowości – to chrześcijański dogmat wiary. Chrześcijanie muszą sobie go wciąż przyswajać na nowo i głębiej rozumieć, a w tym może im pomóc zapis rozmów o ciele, płci i relacjach. Pokazują one, jak można mówić o złożonych zjawiskach w sposób prosty, ale nie upraszczający i redukujący. Kultura konsumpcyjna zastawia pułapkę, czyniąc z wiedzy towar, a z psychoterapeuty sprzedawcę usług albo „guru" dla poszukiwaczy „czegoś więcej" – w gabinecie, który zastąpił świątynię. Lektura tych rozmów pomaga to dostrzec.

© KS. JACEK PRUSAK SJ

ZUZANNA

Radzik:
Pasztet z postem

Ponoć włoszczyzna zrobiła się przed świętami droższa od mięsa. Wkrótce potem usłyszeliśmy zaś, że Polska podzieliła się pod kątem postnych praktyk na diecezje, które dały wiernym dyspensę od postu w okresie oktawy Bożego Narodzenia – tradycyjnie znaczącej czas świąteczny – i takie, które z tego obowiązku nie zwolniły. Kraj podzielił się w proporcji 25 do 15 na korzyść dyspensy. To już kolejna odsłona ulubionej katolickiej rozrywki, w której swego czasu przodował rzecznik prasowy episkopatu. Ma ona też swoją odmianę majowo-warszawską, w postaci rozważań, na którym brzegu Wisły można będzie legalnie grillować mięso w pierwszy ciepły i wolny weekend. Przede wszystkim jednak medialne komunikaty o dyspensie, która wymaga uwagi terytorialnej, ośmieszają sens postu. Ten post zresztą ma ciekawą historię, która każe stawiać wiele pytań o piątkowe niejedzenie mięsa.

Od historii zacznijmy. Poszczono we wczesnym chrześcijaństwie przed chrztem – pościł tak chrzczony, jak udzielający chrztu, a zachęcano i całą wspólnotę. Widziano też w poście uczynek pokutny, ale już Hermas w II w. próżnym postem nazywał samo ograniczenie pokarmów. Twierdził: „poszcząc tak dla Boga, nie robisz nic dla sprawiedliwości" i sugerował poszczenie o chlebie i wodzie, a przeznaczenie w ten sposób zaoszczędzonej sumy na wsparcie wdowy, sieroty lub ubogiego. Ojcowie Kościoła wyraźnie łączyli post z uczynkami miłosierdzia, a Jan Chryzostom nawoływał, by pościło nie samo podniebienie, ale oko, ucho, nogi, ręce i wszystkie członki ciała – zawsze gotowe zachować się tak, by postawę chrześcijańską udowodnić czynami.

Za to piątkowy post zawdzięczamy najpewniej Tertulianowi i jego dziełu „O poście", które powstało, gdy związany był z rygorystycznymi montanistami. U montanistów post był dyscyplinowaniem siebie, odpowiedzią na grzech obżarstwa Adama (sięgnięcie po owoc), praktyką ascetyczną przybliżającą do Boga. Montaniści pościli dwa razy w tygodniu, w środy i piątki. Choć zwyczaj wywodził się z grupy oddzielonej od ówczesnej ortodoksji, przyjął się.

Mniej znanym uzasadnieniem piątkowego postu jest zalecenie z „Didascalia Apostolorum", tekstu z pierwszej połowy III w. (ok. 230 r.), by postem zadośćuczynić za grzech bogobójstwa popełniony przez Żydów. „Pośćcie w piątek, bo wtedy naród (żydowski) zabił się, zabijając Zbawiciela" – argumentuje tekst, zgodnie z długą tradycją obarczania Żydów winą za śmierć Jezusa, która na ten naród miała sprowadzić nieszczęścia. Dodajmy – tradycją, z której Kościół wycofał się na Soborze Watykańskim II.

Rygoryzm z czasów Tertuliana podbiły jeszcze ascetyczne praktyki ojców pustyni. Post był sposobem życia anielskiego, dawał wolność od grzeszności ciała, miał sprawiać, że modlitwa będzie bardziej skuteczna. Z czasem postów, w tym surowych, zaczęło być w chrześcijańskim kalendarzu coraz więcej, a jednocześnie mnożyły się sposoby ich omijania. Podręczniki dla spowiedników wyliczały, że grzechem śmiertelnym jest w dzień postny przyjąć więcej niż 120 g pokarmu! Stąd już blisko do formalizmu, jaki reprezentuje polski Kościół dziś, dając lub odmawiając dyspensy od mięsa.

A przecież, zgodnie z prawem kanonicznym, każdy lokalny Kościół i każdy episkopat może sam określić sposób zachowania postu i wstrzemięźliwości. Można post zupełnie zastąpić uczynkami miłosierdzia, które być może lepiej oddawałyby naśladowanie Chrystusa niż placki ziemniaczane lub leniwe. Byłyby też bardziej adekwatne w dobie wegetarianizmu oraz wskazanego przez lekarzy i ekologów ograniczania spożycia mięsa.

Można by w Polsce pomyśleć zatem nad innym rozumieniem postu niż odmawianie sobie nie tak w końcu luksusowego mięsa. Solidarność z ubogimi, naśladowanie Chrystusa, walka z własnymi wadami i nałogami utrudniającymi miłość bliźniego są w tym dniu ważniejsze niż tradycyjna piątkowa jarskość. Zamiast namyślać się przy każdym konflikcie w kalendarzu, można by więc pomyśleć raz a dobrze nad głębszym może sposobem postu i nie tak bardzo narażonym na kwestionowanie, gdy akurat wypada długi weekend z grillem lub trzeba dojadać świąteczny pasztet. Zresztą, czy ktoś nam z tym każe czekać na biskupów? ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

CZY TRUMP UTOPI ŚWIAT W MORZU ROPY?

Nowy prezydent USA zapowiada skokowe zwiększenie wydobycia ropy i gazu. Chce tym ulżyć rodakom oraz utrzeć nosa geopolitycznym rywalom i aktywistom klimatycznym. Przy okazji może zachwiać budżetem Rosji. Tylko czy pomysł Trumpa jest realny?

FILIP RUDNIK

Donald Trump będzie dyktatorem. Co do tego nie można mieć wątpliwości, przecież sam to zapowiedział na jednym z wieców wyborczych. Zastrzegł przy tym, że zostanie nim „tylko na jeden dzień". Przez ten czas chce zrobić dwie rzeczy: zamknąć granice przed nielegalną migracją oraz „wiercić, wiercić i wiercić". Z angielska: *drill, drill, drill!*

Trumpowi, który obejmuje urząd w poniedziałek 20 stycznia, chodzi o odwierty wydobywcze – te, z których tryska ropa i płynie gaz. Cena tych surowców odgrywa niebagatelną rolę w tym, ile płaci się za energię i za paliwo. To zaś wpływa na grubość portfela i samopoczucie Amerykanów.

Chcąc o nie zadbać, Trump oparł swoją kampanię na znanym w Stanach haśle *„drill, baby, drill"* – to slogan zwolenników intensywnego wydobycia paliw kopalnych bez oglądania się na klimat. W świecie Trumpa to właśnie węglowodory stanowią o bogactwie Stanów Zjednoczonych. Ich zwiększona produkcja ma spowodować, że wszystko będzie tańsze. Przede wszystkim dla konsumentów krajowych.

Tyle tylko, że taka polityka rzutować będzie na cały świat.

USA wracają do światowej czołówki

Na pierwszy rzut oka logiki Trumpowi odmówić nie można. Stany Zjednoczone to energetyczny gigant, silnie oddziałujący na globalne ceny surowców. To z amerykańskich szybów naftowych wypompowuje się

MATTHEW BUSCH / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

najwięcej ropy na całym świecie. Waszyngton dzierży także miano największego eksportera LNG – gazu ziemnego w skroplonej formie, który na inne rynki dociera drogą morską.

Odzyskanie statusu węglowodorowej superpotęgi to dla USA kwestia ostatnich kilkunastu lat. Rozpoczynając w 2008 r. „rewolucję łupkową" – a więc inicjując masowe wydobycie za pomocą szczelinowania hydraulicznego – Amerykanie skokowo zwiększali produkcję ropy. W ciągu 15 lat poziom średniego wydobycia w USA wzrósł 2,5-krotnie, osiągając pułap 13 mln baryłek dziennie w 2023 r. Tym samym Stany prześcignęły dwóch najpoważniejszych naftowych konkurentów: Rosję i Arabię Saudyjską.

Z kolei tytuł najpotężniejszego eksportera LNG to sprawa jeszcze świeższa. W 2024 r. to z amerykańskich terminali odprawiono najwięcej tego paliwa. Tym samym Stany pokonały dotychczasowych liderów: Australię i Katar.

W ślad za tą gigantyczną ilością zbiorników LNG i baryłek ropy *made in USA* idzie także ogromna rola, jaką Stany odgrywają na świecie. To właśnie skroplony gaz zza oceanu pozwolił na poważne – choć wciąż niepełne – odcięcie się Europy od dostaw z Rosji. Natomiast amerykańscy producenci ropy w coraz większym stopniu wpływają na globalną podaż tego surowca, dyktując ceny i osłabiając globalną presję inflacyjną.

Amerykański kij w szprychy

To krzyżuje plany niektórym z grona państw-udziałowców globalnego rynku energetycznego. Wzrost znaczenia Stanów jako producenta ropy jest o tyle istotny, że amerykańskie baryłki trafiają na rynek poza kontrolą Organizacji Krajów Eksportujących Ropę Naftową (OPEC). To właśnie ta organizacja – na czele której stoi Arabia Saudyjska, ściśle współpracująca w tym obszarze z Rosją – koordynuje działania państw-członków OPEC (kraje z tej grupy odpowiadają za blisko 80 proc. całości globalnych rezerw ropy).

OPEC porównuje się często do kartelu, który monopolizuje rynek przez wprowadzanie limitów wydobycia ropy. Efektywność tych działań niwelują jednak kraje spoza tej grupy – poprzez zwiększanie własnej produkcji. Stany są tutaj najważniejszym graczem, ale dodatkowe baryłki trafiają na rynek również z Brazylii, Norwegii czy Kanady.

To zaś sprawia, że Arabii Saudyjskiej (ona dominuje w OPEC) coraz trudniej jest utrzymywać satysfakcjonującą cenę ropy.

Kraje OPEC tracą pozycję

W kontrze do Amerykanów, w 2022 r. kartel ogłosił cięcia w wydobyciu, aby powstrzymać spadek cen. Ta decyzja została pogłębiona kolejnymi redukcjami, przede wszystkim w wykonaniu Saudów – w ciągu dwóch lat Rijad obniżył produkcję z 11 mln baryłek dziennie do niecałych 9 mln pod koniec 2024 r. Przełożyło się to na utratę udziału krajów OPEC w rynku ropy, próżnię wypełniły bowiem baryłki spoza tej organizacji.

Frustrację na saudyjskim dworze zwiększa również to, że poszczególni członkowie kartelu toczą własną grę. Kazachstan i Rosja, choć współpracują z Saudami, to notorycznie produkują więcej, niż zobowiązali się oficjalnie.

Obniża to efektywność działań całej grupy – deklaracje OPEC o kolejnych redukcjach nie prowadzą już do poważnego wzrostu cen, bo rynek nie traktuje ich aż tak poważnie. W tej sytuacji organizacja działa ostrożnie, odkładając decyzję o zwiększeniu produkcji w obawie o dalsze spadki cen. ↦

Miasto Midland w Teksasie bywa nazywane „łupkową stolicą" – to ważny ośrodek wydobycia ropy i gazu ziemnego za pomocą metody szczelinowania. Na zdjęciu: reklama wyborcza Trumpa i pompa wydobywcza w okolicy Midland, wiosna 2020 r.

Dwie pieczenie na jednym ogniu

↦ Rosnąca pozycja Amerykanów to zła wiadomość dla każdego z członków OPEC. Jednak egzystencjalne wręcz zagrożenie stanowi dla jednego kraju – Rosji.

Spadek cen ropy to jedno z najpoważniejszych zagrożeń dla rosyjskiego budżetu – i stabilności władzy Putina. W założeniach rosyjskiego Banku Centralnego, w 2025 r. średnia cena ropy ma wynieść ok. 80 dolarów za baryłkę. Biorąc pod uwagę przecenę rosyjskiej ropy – spadek jej ceny to efekt zamknięcia zachodnich rynków – eksportowane z Rosji baryłki będą zatem sprzedawane po 70 dolarów.

Wprawdzie taka cena ropy pozwoli Rosji zbilansować budżet (i to przy założeniu, że ponad 40 proc. wydatków idzie na wojnę i aparat represji). Tyle tylko, że ta liczba może pozostać jedynie liczbą, nakreśloną w prognozach moskiewskich urzędów – tym bardziej, jeśli zapowiedzi Trumpa zostaną zrealizowane. Od września 2024 r. rosyjski surowiec jest sprzedawany za mniej niż 70 dolarów, niekiedy zbliża się do pułapu 60 dolarów za baryłkę.

Eksport poniżej tej ceny jest dla Rosji bolesny. Dopływ zagranicznej waluty staje się wówczas na tyle niski, że aby utrzymać kurs rubla, niezbędna jest wyprzedaż rezerw finansowych.

Oczywiście, Kreml może zdecydować się na celową dewaluację rubla dla zbilansowania budżetu. Taki ruch przyspieszy jednak inflację, uderzając w portfele Rosjan. Pośrednio komplikuje on również zdolność do prowadzenia wojny, choćby przez wyższy koszt importu komponentów do produkcji broni.

Zwiększenie amerykańskiego wydobycia nie tylko wpływa więc na życie Amerykanów i na pozycję Waszyngtonu, ale może stanowić kolejny element nacisku na Kreml.

Czy to koniec „rewolucji łupkowej"?

Pytaniem za milion, a nawet za miliardy dolarów jest jednak to, jak długo Waszyngton będzie w stanie utrzymać tempo wzrostu wydobycia ropy, umacniając tym swoją pozycję na rynku. Bo w 2024 r. amerykańska produkcja nie wzrastała już tak szybko jak wcześniej.

Spowolnienie to skutek wyeksploatowania amerykańskich łupków. Rosną koszty wydobycia surowca i nakład pracy z tym związany. To zaś przekłada się na rentowność przyszłych inwestycji. Wydobycie w USA wzrastało przez ostatnie 15 lat także dzięki temu, że w łupki opłacało się inwestować – właśnie za sprawą perspektywy wysokiej ceny ropy (i niskich stóp procentowych). Rewolucja łupkowa dokonywała się z udziałem małych i niezależnych firm, które ryzykowały swoim kapitałem, mając na horyzoncie obietnicę zysków.

Biznesowe kalkulacje uległy jednak zmianie, o czym świadczy trwający obecnie proces koncentracji rynku w USA. Mniejsze firmy wydobywcze są wykupywane przez gigantów, którzy mogą pozwolić sobie na ograniczenie produkcji w oczekiwaniu na lepszą cenę.

To największy problem z realizacją planu Trumpa w myśl hasła „*drill, baby, drill*". W odróżnieniu od Rosji czy Arabii Saudyjskiej, w USA polityka energetyczna nie jest funkcją działania administracji, lecz przede wszystkim mechanizmów rynkowych. Wydobycie ropy w Stanach rosło niezależnie od partyjnej przynależności lokatora Białego Domu.

Deklarując odwrót od klimatycznych obostrzeń, Trump może faktycznie wpłynąć na osłabienie regulacji; może też wprowadzić ulgi podatkowe dla branży. To jednak wymaga czasu – ropa nie potanieje od razu, a inwestorzy będą czekać na realną zmianę.

Saudowie wywrócą stolik?

Paradoksalnie, dla administracji USA problemem jest zarówno niska, jak i wysoka cena ropy. Drogi surowiec oznacza wzrost inflacji i cen benzyny. To powstrzymywało Amerykanów przed wdrożeniem surowszych sankcji na rosyjski eksport. Z drugiej strony, radykalna obniżka ceny ropy nie jest na rękę rodzimym producentom – wówczas wydobycie staje się dla nich nieopłacalne. Obniżenie ceny uderzy zatem nie tylko w rosyjski budżet, ale także w amerykańskie firmy naftowe.

Istnieje jednak szansa na to, żeby do takiej obniżki faktycznie doszło, choć wbrew woli Amerykanów. Stolik mogą wywrócić Saudowie – w wypadku, gdyby skończyła im się cierpliwość wobec krajów-oszustów wewnątrz OPEC i wobec rosnącej roli producentów spoza kartelu.

Część obserwatorów zauważa, że zainicjowana przez Saudów polityka obniżania wydobycia wewnątrz OPEC sprawiła, iż Arabia Saudyjska ukręciła na siebie bat. Zmniejszając własną produkcję, Saudowie sukcesywnie tracą rynek – w ciągu dwóch lat ich udział spadł z blisko 13,5 proc. do niecałych 11 proc. globalnego handlu ropą. Wzrost cen ropy nie rekompensuje im ponoszonych strat.

Naftowa „opcja atomowa"

W tej sytuacji Saudowie mogą zdecydować się na to, co zrobili już w przeszłości: mogą zalać świat ropą. Ostatnim razem – czyli w 2020 r. – taki ruch skutkował spadkiem cen o jedną trzecią. Przykładając tamtą sytuacją do dzisiejszych realiów, podobny ruch Saudów oznaczałby obecnie obniżkę cen do poziomu ok. 50 dolarów za baryłkę.

W takim scenariuszu oberwą wszyscy. Amerykanie będą zmagać się z nierentownym biznesem, a Rosjanie z budżetem. Natomiast dla Saudów taka sytuacja będzie stanowić rynkowe „sprawdzam": niskie ceny wyeliminują konkurencję z innych krajów, a kiedy kurz opadnie, to Rijad – jako producent dysponujący możliwością szybkiego zwiększenia swojego wydobycia – zwiększy produkcję i odzyska utraconych klientów.

Taki scenariusz to byłaby jednak naftowa „opcja atomowa". Zakładając utrzymanie dyscypliny wśród krajów OPEC, pozwoliłoby to na zwiększenie wydobycia przez kartel i oczekiwane zyski.

Czy Trump pokona opór rzeczywistości?

Jednak rynek naftowy ma to do siebie, że kalkulacje ekonomiczne są często przesłaniane przez geopolityczne animozje i buńczuczne deklaracje. Do tej drugiej kategorii należy zaliczyć zapowiedzi nowego amerykańskiego prezydenta, które najprawdopodobniej napotkają na opór rzeczywistości. Nie brakuje więc dzisiaj tych, którzy twierdzą, że Trump boleśnie się z nią zderzy.

Warto dodać pewne zastrzeżenie: w przeszłości Donald Trump już wielokrotnie udowadniał, że jest w stanie pokonywać obiektywne przeszkody. Wiarę w niezłomność jego woli zdaje się na poważnie brać część rynku i ekspertów, którzy prognozują nadpodaż ropy na skutek wzrostu jej wydobycia w USA.

Ktoś tu musi się zatem mylić.

© FILIP RUDNIK

BERND MÄRZ / IMAGO / EAST NEWS

Po ataku na jarmark bożonarodzeniowy prawicowi ekstremiści demonstrują przeciwko obcokrajowcom. Magdeburg, 21 grudnia 2024 r.

Niemcy na zakręcie

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z MAGDEBURGA

Słabnąca gospodarka i skutki nielegalnej imigracji to główne tematy przed wyborami do Bundestagu. Nieoczekiwanie w niemiecką kampanię angażuje się Elon Musk.

Po tym, jak rozpadł się rząd kanclerza Olafa Scholza, a termin przedterminowych wyborów do Bundestagu ustalono na 23 lutego, było pewne, że ta kampania będzie wyjątkowa. Wyjątkowo krótka. I wyjątkowo chłodna.

W styczniu wraz z plakatami kandydatów na ulicach pojawił się pierwszy śnieg. A kto ma ochotę na polityczną agitację przy temperaturach w okolicy zera? Na pewno nie wyborcy. Ale także partyjne „doły" jak na razie nie kwapią się do wystawiania kampanijnych stoisk w centrach miast. Na szczęście dla obu tych grup kampania ledwo co się zaczęła, a już zmierza ku końcowi. Do dnia wyborów pozostał nieco ponad miesiąc.

Można by oczekiwać, że przez tak krótki czas niewiele może się zmienić. Przez cały poprzedni rok sondaże niemal nie drgnęły. Na pierwszym miejscu od dawna plasuje się centrowo-konserwatywna CDU/CSU – chadecy mogą liczyć na ok. 30 proc. głosów. Drugie miejsce zajmuje nieodmiennie skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec (AfD), która cieszy się poparciem ok. 20 proc. wyborców. Zarówno socjaldemokraci (SPD), jak i Zieloni mogą liczyć na ok. 15 procent. Na szarym końcu są lewicowi populiści z Sojuszu Sahry Wagenknecht (BSW), liberałowie (FPD) i skrajnie lewicowa Die Linke. Te trzy partie będą potrzebować sporo szczęścia, aby przekroczyć 5-procentowy próg wyborczy.

Musk obraża i promuje

Zupełnie niespodziewanie w kampanię za Odrą postanowił zaangażować się najbogatszy człowiek na świecie: Elon Musk, właściciel koncernu motoryzacyjnego Tesla, firmy produkującej statki kosmiczne SpaceX i platformy X (dawniej Twitter). A także jeden z najbliższych dziś doradców Donalda Trumpa, który 20 stycznia po raz drugi obejmuje urząd prezydenta USA.

„Tylko AfD może uratować Niemcy" – napisał Musk na platformie X pod koniec grudnia. To był dopiero początek. Ekscentryczny i nieprzewidywalny miliarder w kolejnych dniach regularnie obrzucał inwektywami kanclerza Olafa Scholza („Olaf to błazen") i niestrudzenie promował Alternatywę.

W końcu w czwartek 9 stycznia Musk uciął sobie ponadgodzinną pogawędkę z Alice Weidel, kandydatką AfD na kanclerza; rozmowę transmitowano na żywo na platformie X. Weidel wypadła słabo, jej angielski pozostawiał dużo do życzenia. Mimo wszystko Musk dał jej dostęp do swojej ogromnej rzeszy odbiorców – ich rozmowę śledziło kilkaset tysięcy osób.

Weidel wykorzystała tę okazję, aby złagodzić wizerunek swojej partii i dotrzeć do bardziej centrowego elektoratu. Mówiła też o potrzebie powrotu przez Niemcy do energetyki jądrowej oraz o naprawie systemu edukacji.

German Angst

Poparcie Muska dla największych radykałów na niemieckiej scenie politycznej zapewne nie zmieni znacząco wyniku lutowych wyborów. Na to Niemcy są zbyt ↦

sceptyczni wobec oligarchów z Doliny Krzemowej i ekipy Trumpa. Ale takie podgryzanie w wykonaniu Muska jeszcze bardziej podkopuje poczucie własnej wartości niemieckiego społeczeństwa – i tak już mocno naruszone.

– Coraz częściej można odnieść wrażenie, że „german Angst" naprawdę istnieje – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Anne Jeschke z hamburskiego pisma „Die Zeit". Przywołany przez nią termin – dosłownie: „niemiecki strach" – to określenie, którym anglosascy komentatorzy zwykli nazywać skłonność Niemców do szybkiego popadania w pesymizm, a nawet w panikę, jeśli tylko nie wszystko idzie zgodnie z planem.

W ostatnich miesiącach Anne Jeschke analizowała nastroje w Niemczech, a te są po części sprzeczne wewnętrznie. W jednym z badań 43 proc. respondentów określiło sytuację gospodarczą jako złą. Równocześnie, przy pytaniu o własną sytuację, tę odpowiedź zaznaczyło tylko 9 proc. badanych.

Również w rozmowach, które autor „Tygodnika" prowadził w okresie świątecznym, nie można było wyczuć obaw o własną sytuację materialną. Klasa średnia wciąż ma zasoby, by w sezonie zimowym poszusować w Alpach lub wygrzać się na Wyspach Kanaryjskich. A potem rezerwować letnie wakacje i zastanawiać się, jakie nowe ubezpieczenie dokupić w nowym roku (średnio Niemiec ma ich aż sześć).

Mimo ogłaszanego zewsząd kryzysu płace wciąż są wysokie, i to nie tylko w prywatnych firmach, ale też np. w szkolnictwie, sektorze publicznym, a po części także w usługach.

Obawy klasy średniej

W języku niemieckim nie ma powiedzenia „jak spaść, to z wysokiego konia". Raczej mówi się, że „lepiej jechać na ośle, niż spaść z konia". Tyle że ten bezpieczny i cierpliwy niemiecki osioł zaszedł już tak wysoko, iż z niepokojem spogląda w dół. – W ciągu ostatnich dekad Niemcy doświadczyły bezprecedensowego rozwoju. Jesteśmy na wysokim poziomie, a upadek z bardzo wysoka może być też bardzo bolesny – mówi Anne Jeschke.

Dziennikarka uważa, że to wizja utraty obecnego poziomu życia najbardziej paraliżuje Niemców: – Do klasy średniej należy ponad połowa mieszkańców. Ta grupa postrzegana jest jako ostoja stabilności. Tworzy silne poczucie wspólnoty, wedle dewizy, że dzięki własnej pracy może sobie pozwolić na dobre i dostatnie życie. Ci ludzie boją się, że w najbliższych latach lepiej już nie będzie.

ARCHIWUM PRYWATNE x2

Anne Jeschke, dziennikarka tygodnika „Die Zeit"

Ben Krischke, publicysta berlińskiego miesięcznika „Cicero"

Jeschke nie ma wątpliwości, że kampanię zdeterminuje zastój, w jaki popadła gospodarka: – Widać obawy o miejsca pracy. Redukcje zapowiedziano w wielu obszarach przemysłu. Choć to nie oznacza, że ludzie zostaną zwolnieni z dnia na dzień. Wciąż silne związki zawodowe dbają o to, aby np. wygaszać miejsca pracy dopiero po przejściu pracowników na emeryturę.

Koniec końców jednak dobrze płatnych miejsc pracy w przemyśle będzie coraz mniej. – A po opuszczeniu swoich branż, ci ludzie raczej nie podejmą niskopłatnych prac w usługach. Pracownicy Volkswagena nie przebranżowią się masowo, by pracować w domach opieki czy sortować paczki – uważa Jeschke.

Dla większości z tych, których to dotyczy, oznacza to zatem życiową ślepą uliczkę.

Od Solingen do Magdeburga

Drugim obok gospodarki nieustającym źródłem niepokoju dla Niemców jest imigracja.

Wieczorem 20 grudnia – tego dnia, gdy Musk ogłosił swoje poparcie dla AfD – Taleb Abdul Dżawad, 51-letni obywatel Arabii Saudyjskiej, wjechał w Magdeburgu w tłum na jarmarku bożonarodzeniowym. Zginęło sześć kobiet w różnym wieku i 9-letni chłopiec. Niemal 300 osób zostało rannych, wiele wciąż przebywa w szpitalach.

Zgromadzone dotąd informacje nie pozwalają w pełni odczytać motywów mordercy. Dżawad odszedł od islamu, w mediach społecznościowych wielokrotnie krytykował kanclerz Merkel za przyjmowanie islamskich imigrantów. Istotniejsze jest jednak, że żyjąc w Niemczech od 2006 r., wiele razy groził publicznie, iż może dokonać zamachu. Tymczasem niemieckie państwo i tak przyznało mu azyl, dało prawo do pracy (pracował jako psychiatra w więzieniu). Służby ignorowały zagrożenie, jakie mógł stwarzać.

To kolejny zamach w wykonaniu imigranta – po tym, jak w sierpniu 2024 r. w Solingen Syryjczyk zabił nożem trzy osoby. Morderstwa dokonał w imieniu tzw. Państwa Islamskiego. Również w tym przypadku okazało się, że niemieckie urzędy i służby zupełnie zawiodły.

Koniec otwartych granic

Na dzień przed Wigilią AfD zorganizowała w Magdeburgu wieczór upamiętniający ofiary zamachu. „Tygodnik" był na miejscu. Na plac katedralny przyszło kilka tysięcy osób. Było dużo więcej młodych osób niż zazwyczaj na *stricte* politycznych wiecach Alternatywy. I choć w obliczu żałoby w mieście nawet radykalni politycy AfD starali się łagodzić ton przemówień, w pewnym momencie tłum spontanicznie zaczął skandować: „Abschieben!" („Deportować!").

AfD chce zmienić niemiecką politykę migracyjną o 180 stopni. Ale także prowadząca w sondażach chadecja proponuje istotne zmiany. Szef CDU Friedrich Merz, który ma największe szanse na ob-

jęcie po wyborach urzędu kanclerskiego, chce, aby policjanci zawracali nielegalnych imigrantów już na granicy, czyli także do Polski. Imigranci, którzy dwukrotnie popełnią czyn karalny, musieliby opuścić kraj. Znacznie zwiększona ma zostać liczba deportacji. Dostęp do niemieckiego obywatelstwa, ułatwiony przez rząd Scholza, miałby zostać znów utrudniony.

Politycy CDU/CSU nie wykluczają też, że w obliczu upadku reżimu Asada ci Syryjczycy, którzy uzyskali w Niemczech azyl (to ponad 700 tys. osób), powinni wrócić do ojczyzny.

Kres hegemonii lewicy?

Ben Krischke jest publicystą konserwatywnego miesięcznika „Cicero", który ukazuje się w Berlinie. Nadchodzące wybory i kampanijne spory widzi w szerszej perspektywie końca pewnej epoki. – Wszędzie tam, gdzie w Niemczech wywierany jest wpływ na opinię publiczną, dominują pozycje lewicowe. W szkołach i na uniwersytetach, w dziennikarstwie, w kulturze. Według badań 80-90 proc. dziennikarzy ma poglądy lewicowe. Dawniej antyestablishmentowe opinie stały się już dawno głównym nurtem – mówi Krischke w rozmowie z „Tygodnikiem".

Redakcja „Cicero" stawia tezę, że czas tej lewicowej hegemonii właśnie się kończy. Główny zarzut formułują tak: polityka prowadzona w czasach Merkel i Scholza oparta była na dogmatach humanitaryzmu, ratowania klimatu, praw mniejszości. Jednocześnie działania rządu Niemiec były coraz bardziej oderwane od potrzeb szerokich mas i prowadziły do coraz poważniejszych ingerencji w wolny rynek, a także w życie codzienne.

Do buntu wyborców przeciw szeroko pojętej lewicy w ostatnich latach doszło już we Włoszech, Holandii i oczywiście w USA. Niemal symboliczna dla Niemiec jest też obecna sytuacja w Austrii: kanclerzem w Wiedniu może zostać po raz pierwszy w historii lider skrajnie prawicowej Partii Wolnościowej (FPÖ).

– W swoim nowym programie CDU inicjuje koniec ery Merkel – Krischke przypomina, że to Merkel odpowiadała za skręt jej formacji na lewo. – Natomiast Merz stawia na konserwatywny profil przez bardziej rygorystyczne zasady dotyczące migracji i silniejszy nacisk na gospodarkę. Przy jednoczesnym ograniczeniu środków na ochronę klimatu, które są postrzegane jako nadmierne lub niewłaściwe.

Układanki koalicyjne

Nawet po wygraniu wyborów, Friedrichowi Merzowi może być jednak trudno przeforsować wszystkie co bardziej konserwatywne postulaty – przede wszystkim ze względu na ograniczone możliwości koalicyjne.

Sondaże jasno wskazują, że chadecja będzie musiała utworzyć jakąś koalicję. Ponieważ pozycja liberałów, w przeszłości tradycyjnego partnera chadeków, jest słaba, a Bundestag będzie zapewne rozproszony (może być w nim sześć albo nawet siedem frakcji), na koniec w grę wchodzić może koalicja CDU/CSU albo z SPD, albo z Zielonymi – czyli z lewicą.

– Teoretycznie Merz mógłby zawrzeć koalicję również z AfD – mówi Krischke. Dziennikarz „Cicero" jest wręcz przekonany, że wtedy łatwiej byłoby mu realizować program, a przynajmniej tę jego część, która dotyczy polityki wewnętrznej. Bo w sferze polityki zagranicznej trudno o punkty wspólne między przywiązaną do relacji transatlantyckich chadecją a otwarcie prorosyjską AfD.

– Już wcześniej chadecy wykluczyli koalicję z AfD i to stanowisko utrzyma się także po wyborach – Krischke przypomina, że Urząd Ochrony Konstytucji (odpowiednik polskiej ABW) uznaje część partii AfD za „zdecydowanie prawicowo-ekstremistyczną". Pomimo pewnych programowych zbieżności Merz nie zaryzykuje więc politycznego wstrząsu, jakim byłoby dopuszczenie skrajnej prawicy do współrządzenia.

Dalszy zwrot na prawo?

Na koniec naszej rozmowy Ben Krischke stawia tezę, że to nie najbliższe, lecz dopiero kolejne wybory będą mieć decydujące znaczenie dla Niemiec. – Jeśli Merzowi nie uda się przywrócić kraju na właściwe tory i przeprowadzić reform, społeczny zwrot na prawo może postępować. Może się okazać, że za cztery lata to AfD będzie wystawiać kanclerza lub przynajmniej uczestniczyć w tworzeniu rządu – przewiduje.

Przejmowanie się sytuacją za cztery lata dobrze wpisuje się w teorię o Niemcach cierpiących na „german Angst" i martwiących się na zapas. Mimo wszystko z perspektywy wielu krajów Zachodu, które pogrążają się w coraz większym politycznym chaosie – by przywołać choćby Francję – sytuację w Niemczech wciąż można uznać za stabilną.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

TP JUŻ ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU" DODATEK SPECJALNY:

WOKÓŁ AUSCHWITZ, 80 LAT PÓŹNIEJ

27 stycznia 1945 r. żołnierze sowieccy zajęli obóz Auschwitz-Birkenau. Pozostało w nim 7 tys. więźniów, których Niemcy nie zdążyli ewakuować: dla tych ludzi był to dzień wyzwolenia. Od tego momentu mija 80 lat i wojna znów trwa w Europie, a państwo-agresor instrumentalizuje historię, by uzasadniać swoją napaść. Jak pamiętać dziś o tamtych czasach?

W dodatku:

- rozmowa z Piotrem M.A. Cywińskim, dyrektorem Muzeum Auschwitz-Birkenau
- Zwykli Żydzi i Holokaust: reportaż historyczny o losach żydowskiej rodziny z Golubia nad Drwęcą
- rozmowa z Leonem Weintraubem, lat 99. Urodzony w Łodzi, przeżył getto, Auschwitz i kolejne obozy, a po wojnie został lekarzem.

„Tygodnik" z dodatkiem w dystrybucji od środy 22 stycznia.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kostnica z oknem na wschód

TEKST I ZDJĘCIA
ANTONINA PALARCZYK
Z KONSTANTYNÓWKI
(OBWÓD DONIECKI, UKRAINA)

Jewgienij zawsze miał dużo pracy. Tu jest Donbas, tu przed wojną w samej tylko Konstantynówce w ciągu roku rejestrowano kilkanaście zabójstw. Dziś Jewgienij, lekarz sądowy, zajęcie ma już codziennie.

Wojna stała się dla Konstantynówki naturalnym elementem krajobrazu. Kiedyś prawie 70-tysięczne przemysłowe miasteczko w Donbasie, jest dziś typowym miasteczkiem przyfrontowym. Rosjanie są 10 kilometrów stąd i głośno dają o sobie znać.

Jest w Konstantynówce wesołe miasteczko (nieczynne), jest kebab (pracuje) i bazar (opustoszały). Sklep „Dziecięcy świat" dziwnym trafem się trzyma, choć dzieci na ulicach nie widać. Nie tylko dlatego, że przez większość doby – od piętnastej do jedenastej dnia następnego – obowiązuje godzina policyjna.

Tak drakoński jej charakter ma skłonić pozostałych jeszcze mieszkańców – według danych lokalnej administracji wojskowej w połowie grudnia było ich 18 tysięcy – do ewakuacji. Ta jest natomiast obowiązkowa w przypadku nieletnich. Nieliczne pozostałe dzieci są więc ukrywane w domach.

– Co by nie mówić o Konstantynówce, mieliśmy dwadzieścia zakładów. I własną mleczarnię, i mięsny kombinat, i zakład produkujący chałwę – wylicza Jewgienij, miejscowy lekarz medycyny sądowej. W średnim wieku, ostrzyżony na jeża, oczy ma wiecznie zmrużone za prostokątnymi szkłami. – I pierwsze gwiazdy na wieżach Kremla zrobiono w naszej hucie szkła – dodaje. Tak było, kiedyś.

WYDARZENIA | Dziś brakuje w Konstantynówce innych wydarzeń niż to, że ostrzelali ostatnio bazar. U was też odłączyli dzisiaj prąd? Czy widziałeś tego busa, który zderzył się koło stacji benzynowej z bojowym wozem piechoty? Niewiele z niego zostało. Zamyka się jedna z ostatnich kawiarni, dziewczyny zawijają się w normalniejsze miejsce. No, to teraz będziemy chodzić do „Amurskiej"...

W ociekającym nowością budynku przy ulicy Konstantyna Ciołkowskiego znajdowała się kiedyś „Aroma Kava", sieciówka znana w całej Ukrainie. Z Konstantynówki sieć wyniosła się dawno, a żeby oszczędzić na szyldowych literach, kawiarnia przemianowała się na „Amour Kavę". Wystrój ten sam. Można udawać, że jest się na przykład w Kijowie.

Za to trupów w Konstantynówce nie brakuje. Cywilne ofiary rosyjskich bomb kierowanych i artylerii. Wyciągnięci ze zmiażdżonych samochodów żołnierze – w spożyciu alkoholu i nadmiernej prędkości nikt się tu nie oszczędza. Przez lata oszczędzano za to na remontach dróg, które są teraz w opłakanym stanie. Na wylotówce w stronę Drużkiwki, zwłaszcza nocną porą, regularnie dochodzi do czołowych zderzeń rozpędzonych wojskowych terenówek. Oświetlenia nie ma, noce są ciemne jak smoła.

KOLEJKA | W dniu urodzin jednej z pracowniczek, wnętrze stacji benzynowej przy wylotówce przystrojone jest balonikami. Urodziny ma też jedna z pielęgniarek we wciąż pracującym szpitalu, opuszczonym przez znaczną część personelu. Został oddział traumatologii.

– Proszę wybaczyć. U nas jest tak mało okazji... – oddziałowa opuszcza spłoszone spojrzenie, gdy na chwilę wstaje się od stolika w kanciapie. Zastawiony jest kieliszkami, w powietrzu miesza się zapach wódki „Stolicznej" i tej donieckiej nerwowości. Jej nie przełamie żadna próba urodzinowego rozluźnienia.

Rano ławka na oddziałowym korytarzu zapełnia się starszymi ludźmi; ich kończyny i czoła przewiązane są śnieżnobiałymi bandażami. Głupio mi w tym gronie, bo przyszłam tylko na rentgen ze

Jewgienij, miejscowy lekarz medycyny sądowej. W tle kostnica w szpitalu w Konstantynówce. Obok: nieczynne wesołe miasteczko. Konstantynówka, Ukraina. Grudzień 2024 r.

spuchniętą kostką. Potknęłam się o kota, który wlazł mi pod nogi przed domem.

Kolejka na traumatologii oznacza, że znowu coś rąbnęło w mieście. Dzisiaj bomba lotnicza, jutro artyleria. Ci, których ominęła dzisiejsza eksplozja, stoją w kolejce po chleb. Trzeba zdążyć ze wszystkimi sprawunkami przed piętnastą, gdy zacznie się *komendantska* (jak mówią tu na godzinę policyjną).

ODÓR | W osobnej kolejce czeka też kilka ciał. Spoczywają w maleńkiej kostnicy, która mieści się obok szpitala. Jej drzwi wychodzą prosto na miasto Czasiw Jar, ostatnią ukraińską redutę. Kiedy ona padnie, Rosjanie rzucą się Konstantynówce do gardła.

Stamtąd, a także z pobliskiego Torecka, dociera co chwila pomruk artylerii. Z tamtej strony przyleciał też pocisk, który uśmiercił staruszkę o woskowej twarzy. Staruszka leży w białym worku. Pracowniczka kostnicy delikatnie poprawia supełek koronkowej chustki, wciąż owiniętej wokół jej głowy. Współpracownik zaciska usta w wąską kreskę, ze świstem zasuwa zamek, zamyka ciało w worku.

Jewgienij ze spokojem przygląda się, jak jego zespół zabiera się za kolejne ciało. Prawo wymaga, aby każdy ze zmarłych, którzy trafią do Jewgienija, przeszedł sekcję. Następny w kolejce jest mężczyzna w średnim wieku. Ruch skalpela. Kilka strużek krwi ścieka po bladej nodze. Powietrze, ubrania, ściany z białych kafelek – wszystko przenika słodkawy odór.

JEWGIENIJ | – Wypuszczam zespół do domu najszybciej, jak tylko się da. Żeby bez potrzeby tu nie przesiadywać. Ze względu na przyloty, artylerię, bomby. Takie czasy. Nie wiesz gdzie, co i dokąd – mówi Jewgienij, gdy siadamy w zimnym gabinecie.

W takich miejscach czas zatrzymał się jakieś 40 lat temu, w końcówce Związku Sowieckiego. Z tabliczkami po rosyjsku, z sowiecką meblościanką i żeberkowymi kaloryferami malowanymi na biało.

Jewgienij: – Nasza praca ogranicza się do ustalenia przyczyny śmierci, zwykle gwałtownej. Kiedy zaczęła się pełnoskalowa wojna, nie zajmowaliśmy się trupami wojskowych. Oni byli kierowani na Dnipro. Teraz trafiają także do nas. Rzadko ci, którzy zginęli na polu walki; oni wywożeni są zwykle osobno. Ale to nie jedyna przecież okoliczność śmierci. Nieostrożne posługiwanie się bronią, wypadki drogowe, samobójstwa. Naturalne są konflikty między żołnierzami. A konflikty między uzbrojonymi ludźmi kończą się czasem strzelaniną. To już przypadki kryminalne. Cywile? Oni giną w rosyjskich ostrzałach. Oczywiście, między nimi też dochodzi do konfliktów. Wtedy w użyciu są improwizowane środki. Niestety czasem kończy się to u nas na stole.

DONBAS | Jewgienij ma 25-letni staż w tej pracy: – Z początku każde zwłoki były dla mnie ciekawostką. I każdych się bałem. Potem przyszło doświadczenie i mój mózg zaczął trochę inaczej pracować. Choć sądzę, że czasem coś odciska na nim piętno. Są przypadki sprzed 5-10 lat, które pamiętam ze szczegółami. Bardzo interesujące.

– Nie, „interesujące" to złe słowo – poprawia się. – To przypadki z głębokich ↦

Zabytkowy dworzec kolejowy w Konstantynówce, zniszczony w lutym 2024 r. w rosyjskim nalocie bombowym.

↦ czasów przedwojennych, gdy mieliśmy na stole tylko cywili. Bywało, że siadało dwóch do flaszki, jeden nalał sobie więcej i drugi za to zabił, że mu mniej nalali. Innych dwóch siedziało też przy flaszce, jeden wyszedł po kolejną, a drugi nagle zmarł. Towarzysz, bojąc się oskarżenia, porąbał ciało na kawałki i rozwlekł je po mieście... – Jewgienij przerywa raptownie. Nadstawiamy uszu. Nie słychać pogłosu eksplozji, tylko szum.

Bomba lotnicza? – Nieee, to brzmi troszkę inaczej.

– No więc, bywało, ktoś szedł przez miasto, niezbyt już trzeźwy – Jewgienij wraca do wspomnień. – I spodobały mu się tenisówki na czyichś nogach. Tak, ktoś został zabity tylko po to, żeby z jego nóg ktoś inny mógł zdjąć tenisówki. Cóż, są takie drobnostki, przez które ludzie rujnują sobie życie. Rujnują sobie, bliskim, obcej osobie. Takie były śmierci przed wojną. Mąż z żoną, kumpel z kumplem i tak dalej. Tu jest Donbas. Tu w ciągu roku w samej tylko Konstantynówce popełniano rocznie około 15 morderstw.

MYŚLI | – A potem przyszła wielka wojna... Zacząłem pracować między dwiema kostnicami, naszą oraz w sąsiedniej Drużkiwce – Jewgienij wspomina luty 2022 r. – Lekarz sądowy z Drużkiwki wyjechał, została tam tylko sanitariuszka. Z tą sanitariuszką obsługiwaliśmy Toreck, Bachmut, Konstantynówkę i Drużkiwkę. To był potok ciał. Lato, upał, trupy gniły.

– A potem rok 2023... – Jewgniej się zacina. – Do dziś nie wiem, co tak naprawdę za tym stało. Ciała żołnierzy-samobójców trafiały się przynajmniej raz w tygodniu, czasem częściej. Odbierali sobie życie zawsze wystrzałem, zawsze gdzieś na tyłach. Na pozycjach bojowych raczej się to nie zdarzało. 90 procent pod wpływem alkoholu.

– Nie wiem, co ludzi do tego pcha – milknie na chwilę. – Przypuszczam, że znaczenie może mieć to, jak czyjeś życie i to, co ktoś miał w głowie, wyglądało przed wojną. Wojsko gromadzi ludzi ze wszystkich grup społecznych. Część nosi w sobie samobójcze skłonności. W tej chwili tysiące żołnierzy gromadzą się wzdłuż frontu, pod Konstantynówką, wśród nich ludzie z takimi myślami. Wcześniej czy później te myśli doprowadzają do czynu.

CYGARETY | – Tutaj wydaje się, że przypadków samobójstw jest dużo – zastanawia się. – Ale jeśli pomyśleć o tym w skali kraju... Co chwila ktoś rzuca się pod pociąg albo wiesza. To się dzieje wszędzie. Ale tego nie widać. My widzimy to, co się dzieje w naszym mieście. Teraz cały kraj przyjechał tutaj walczyć. Ci wszyscy ludzie, ze swoimi myślami. I z bronią w rękach.

Jak nie oszaleć w takiej pracy? Jewgienij wzrusza ramionami. – Gdy byłem stażystą, mój szef mawiał: „Wiedzieliście, w co się pchacie". Trzeba sobie radzić poczuciem humoru. Tak, czarnym poczuciem humoru.

Przypala nowego papierosa. Jewgienij pali grube cygarety, żadnych tam smakowych. Lekarz, sanitariuszka, żołnierz czy handlarka z bazaru – w Konstantynówce palą wszyscy. Dużo, niektórzy właściwie nieustannie.

© ANTONINA PALARCZYK

Nasza pomoc dla walczącej Ukrainy

Trafiły do ukraińskich obrońców, w tym także do kilkunastu szpitali polowych oraz do wojskowych służb medycznych wzdłuż całego frontu: od obwodu sumskiego przez Charków, Donbas i Zaporoże po obwód chersoński – agregaty prądotwórcze, stacje zasilania i materiały medyczne podarowane przez czytelniczki i czytelników „Tygodnika", które zawieźliśmy w grudniu na Ukrainę. Łącznie były to trzy tony pomocy. W tym jeden potężny agregat o mocy 85 kVa, który dziś służy w obronie przeciwlotniczejwschodniej Ukrainy
(relacja o naszej akcji: https://powszech.net/pomoc-dla-ukrainy)

„Dziękujemy, że jesteście z nami" – to zdanie powtarzało się w rozmowach. Wraz z prośbą, aby to podziękowanie przekazać dalej. „Dziękujemy za Wasze braterstwo" – napisał starszy sanitariusz z frontu chersońskiego (jego szpital polowy otrzymał agregat). Wojna trwa, Ukraina broni się nadal – trwa więc także nasza akcja.

Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, a „Tygodnik" jej patronuje.

Numery kont:
– w złotówkach:
20 10902 5900 0000 001 5044 0623
– w euro:
64 1090 2590 0000 0001 5044 0898
Odbiorca:
Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka.
https://inicjatywasasiedzka.org
Dziękujemy!
„Tygodnik Powszechny"
i Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ELIZA

Kącka: *Tragedia z facetami*

Łazienki, odwilż i mrok w południe, ale krążymy. Przed nami dwie rodziny z maluchami w papierowych koronach. Orszakowi. Matka Pierwsza: „Ja sobie Trzech Króli bez pochodu nie wyobrażam". Matka Druga: „Tak, my przecież aż z Żyrardowa jedziemy!". Gość w koronie: „Normalnie się popłakałem: kolesie z Warszawy w metrze w koronach. Z dzieciorami. Aż prawie podszedłem, że »piona, kurcze, koleś, my Józef Pany«". Pierwsza: „Ty się nie podpalaj, Andrzej, ty nie jesteś prawdziwy Józef". Mała w koronie: „A święty Józef chodził w koronie?". Gość: „Jasne! Nawet na siku". „Andrzej!". „No co? Mnie ostatnio ksiądz na spowiedzi powiedział, że musimy uczłowieczać Jezusa i jego rodzinę, bo nie wyrobimy...". „Andrzej!". „...no, tego udawania, że człowiek kupy nie robi". Mały w koronie: „A Jeziusiek? Czi Jeziusiek miał kojonę?". Druga: „W niebie ma". „A tu czi miał?". Krępująca cisza. Mała: „Miał, ale potem zgubił. Pewnie jak go pobili w szkole".

Spotkanie wigilijne z kuzynami, warszawskie. Ruda z dziećmi rozplątują dodatkowy łańcuch lampek. Wyciągam pierogi, zaczyna się sępienie (mój wkład – pierogi z kapustą i grzybami na przesmażanym dwukrotnie farszu). Najmłodsza strzela focha: „Ja chcę jajecko". „Jajeczka są na Wielkanoc" – temperuje mama. „A dlacego?". Wuj: „Bo to symbol narodzin życia". Mała, zezując w moje pierogi: „Ale teraz są urodziny Jezuska". Podchodzi Ruda: „Nie chcesz pierogów? Pingwin, ty zjesz rybę" – śmieje się. „Owszem, jak to Pingwin" – przytakuję. „Ale to śledź!". Ruda z dziećmi idą w zgodną pantomimę „afuuu!". „Zjem". „Ja chcę jajecko!" – mała nie daje za wygraną. Ciotka się włącza z kanapy: „Jezusek będzie płakał, jak zjesz". Mała spogląda poważnie na mnie: „Będzie?". „Jestem Pingwin i mogę ci przynieść jajecko" – oferuję się. „Też coś! – słyszę z dystansu kilku metrów – dzieciak rządzi!". Pokątnie prokurujemy jajko. Ruda: „Florka, nie ma takiej potrawy". Przechwytuję: „Wigilijnej? Pewno nie". Florka: „To ja jej nie będę jesc". „Jak to? To co zrobisz?!". „Zobacys". Jajko sobie stygnie. Mała bierze je w rączki i znika z pola widzenia. Krzątanina, podsmażania, podgrzewania. W końcu wszyscy siadają. Florka wspina się na krzesełko. Brat Florki: „Gdzie masz jajko?". „Nie będę go jesc". Mama: „Flo, gdzie jajko?". Mała poprawia okularki na nosie: „Tam!". W żłóbku pod choinką, otoczonym pasterzami, leży jajko. „Gdzie Jezusek?!" – wuj w amoku. „Jesce się nie wykjuł".

Tramwaj 16, wieczór późny. Tuż obok matka z chłopcem na oko pięcioletnim. „Nie nudź, Piotruś". Piotruś zaczepia mnie spojrzeniem: „Mas usy jak pies". No tak, pilotka. „Nie zaczepiaj pani!". Zezwalam gestem. Piotruś: „Kim chces zostać?". Ja: „Uuu, hm, tramwajarką". Podniecił się: „I poprowadzis ten tramwaj?!". „A czemu nie?". Piotruś do mamy: „A jak pani tego masynistę wykopie, to nas sama zawiezie?". Matka na irytacji: „Co ty gadasz!". Mały do mnie: „A mas prawo jazdy?". „Nie". Zmartwił się: „A chocias na konika?". „Tylko takiego na biegunach". „Nie nadajes się". „Wiem". „To kim chces zostać?" – nie daje za wygraną. Matka: „Co panią męczysz, pani jest dorosła, pani już kimś jest". Posmutniał: „To ty jus się nie bawis". Puszczam mu oko, podchwycił: „A kim ty jesteś jako duza?". Siedzę, milczę. Piotruś do matki z triumfem: „Ona nie jest! Ona się moze bawić!".

Pociąg do Olsztyna, miejsca stolikowe. Przede mną dwie kiele trzydziestki. „Ja to ci powiem, że z facetami jest tak ogólnie tragedia". „Wiem". „Dobrze, że Bartka złapałaś na oazie. Katolik formacyjny tak ogólnie, wiadomo, będą dzieci, rodzina...". „Wiem". „...no chyba, że pójdzie na księdza. A ty pamiętasz Grześka z oazy?". „Tak". „On był najprzystojniejszy. I kurcze, seminarium. A myślałam, czy go nie wyjąć". „Wiem". „No ale trudno, mleko tak ogólnie się rozlało. Co ja mówiłam. Jest tragedia z facetami. Ja bym chciała dziecko tak ogólnie". „Wiem". „Matka mi kazała konto założyć w portalu randkowym, ale ukierunkowanym, katolickim. Nie wyszło". „Tak". „Wiesz, ja jestem wierząca, ale mam wadę, że facet musi mi się podobać". „Wiem". „I w tajemnicy przed matką założyłam tindera. I spałam z trzema facetami tak ogólnie, w intencji rodziny, no, rozumiesz". „Tak". „Za każdym razem się spowiadałam tak ogólnie, ale oni nie chcieli się żenić, tylko spać dalej". „Wiem". „A ostatnio sobie pomyślałam, że w sumie to mój ojciec jest fajniejszy. Tak ogólnie". „Tak". „I w sumie to mógłby być jakiś przepis katolicki na bycie żoną ojca, nie? Haha. Przy tacie bezpiecznie". „Wiem". „A on już nie śpi z matką tak ogólnie". „Tak". „No, zrobili mnie i matka powiedziała, że teraz oddzielny tapczan". „Wiem". „No, tak ogólnie to musiałby jakiś biskup pozwolić, ale ja bym była za tym, żeby było można użyć ojców jako własnej rodziny. Bo z facetami jest tak ogólnie tragedia, ja ci powiem".

Łazienki, ławka. Doskakują wiewiórki. „A jakie to zwinne". Uśmiecham się. Staruszek o lasce, poważnieje: „Przez wiewiórkę siostrę straciłem". „?". „Udomowiła, nierozłączne były. Nawet nasz kot się przystosował. Wiewiórka wskakiwała mu na grzbiet". „Pięknie". „Raz siostra poszła do koleżanki, a do mnie przyszli koledzy. I jeden zechciał sprawdzić, czy wiewiórka spada na cztery łapy". „Oj". „Wybrukowane podwórko. Zmarła tego samego dnia". „Uhm". „Siostra nie żyje od lat. O pogrzebie mnie nie powiadomiono. Ale wie pani: wczoraj byłem na grobie. I w jej alejce widziałem wiewiórkę. To było jak wybaczenie. Chyba". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono".

HISTORIA

ŚMIERĆ PATRIARCHY

Jean-Marie Le Pen był przez 40 lat guru francuskiego nacjonalizmu. Z marginalnej partii stworzył potężną formację. „Diabeł Republiki" zmarł, ale narodowa prawica pod wodzą jego córki jest dziś silniejsza niż kiedykolwiek.

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Rzadko się zdarza, aby po czyjejś śmierci strzelały korki szampanów. Tymczasem do takich scen doszło na ulicach Paryża, Lyonu i Rennes we wtorek 7 stycznia. Na wieść o śmierci Jeana-Marie Le Pena na ulice wyszło tam kilkuset zwolenników organizacji ultralewicowych. „Zmarł podły rasista", „Wreszcie!" – głosiły niektóre transparenty. Policja zatrzymała kilkunastu demonstrantów, a członkowie rządu potępili to „świętowanie".

Wiadomość o odejściu 96-letniego lidera skrajnej prawicy zdominowała ogólnokrajowe media. W krótkim i suchym komunikacie prezydent Macron napisał dyplomatycznie, że przez 70 lat swej aktywności publicznej Jean-Marie Le Pen odgrywał rolę, która odtąd „podlega werdyktowi Historii". Jednak u wielu Francuzów kwestia tej oceny wywołuje wielkie emocje.

Menhir

„Rodowity Bretończyk i Francuz": tak określił sam siebie w „Pamiętnikach", które wydał pod koniec życia. Ze względu na pochodzenie z północnej Francji i twardy charakter miał przydomek „Menhir" – tak nazywa się pionowe głazy, spotykane w Bretanii i ogólnie na północy Europy.

Przyszedł na świat w 1928 r. w portowym bretońskim miasteczku La Trinité-sur-Mer. Jedynak, wychowany w skromnej katolickiej rodzinie; ojciec, rybak, zginął w 1942 r., gdy jego kuter natrafił na minę morską, co wpłynęło na dalsze życie syna. Młody Jean-Marie, objęty pomocą państwa jako sierota wojenny, zaraz po wojnie pojechał do Paryża, gdzie studiował prawo. Zaangażował się w życie studenckie: został szefem korporacji studentów prawa. Rówieśnicy cenili go za krewki charakter (gdy trzeba, umiał boksować) i zdolności oratorskie. Dzięki tym ostatnim będzie porywać później zwolenników swojego Frontu Narodowego.

Według biografów w okresie studenckim Jean-Marie miał poglądy silnie antykomunistyczne, co pozostało mu do końca życia. Dlatego w 1953 r. zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej, by walczyć z wietnamskimi komunistami w obronie francuskich Indochin. Przybył tam jednak za późno. Francuskie oddziały doznały definitywnej klęski i w 1954 r. Francja porzuciła Indochiny. Uczucie zawodu młodego ochotnika pogłębiło się jeszcze kilka lat później, gdy Algieria, dotąd departament Francji, wybiła się na niepodległość.

Tortury

Zanim jednak do tego doszło, 27-letni Le Pen wrócił z Azji do Paryża i dostał się po raz pierwszy do parlamentu. Związał się wówczas z populistyczną, jak byśmy dziś powiedzieli, formacją Pierre'a Poujade'a, której program polegał głównie na obronie drobnych przedsiębiorstw i rzemieślników przeciw nadmiernym podatkom. Ruch ciążył w stronę skrajności, nie stronił od ksenofobii i antysemityzmu.

Będąc deputowanym, Le Pen znów zaciągnął się w 1956 r. na trzy miesiące do Legii, by walczyć o zachowanie „francuskiej Algierii" (wówczas nie miała ona statusu kolonii, lecz należała bezpośrednio do Francji). To jeden z zagadkowych epizodów z życia „Menhira". Historyk Fabrice Riceputi i dziennikarka „Le Monde" Florence Beaugé twierdzą, że według zeznań świadków z epoki Le Pen jako oficer Legii uczestniczył w torturowaniu (m.in. rażeniu prądem) algierskich jeńców w celu wydobycia zeznań.

On sam w wywiadzie dla pisma „Combat" z 1962 r. oświadczył: „Torturowałem, bo tak było trzeba", ale zaraz potem wycofał się z tych słów. Potem aż do końca życia bronił się przed takimi zarzutami, także na drodze sądowej. Niezbitych dowodów na to brak. Wiemy dziś za to, po ujawnieniu dokumentów i świadectw francuskiej generalicji, że podczas wojny algierskiej armia francuska stosowała tortury wobec Algierczyków na szeroką skalę.

Skrajności

Jak wielu Francuzów o prawicowych poglądach, Le Pen nie pogodził się z rozpadem imperium kolonialnego Francji. To właśnie nieprzejednani zwolennicy „francuskiej Algierii" stali się filarem dla nowej partii skrajnej prawicy. Dołączyli do nich inni nacjonaliści, rojaliści, kolaboranci z czasów Vichy (1940-44), a także dawni francuscy naziści (skarbnikiem partii Le Pena będzie ochotnik Waffen-SS Pierre Bousquet).

Z tego konglomeratu powstał 5 października 1972 r. Front Narodowy (FN). Logo partii, trójkolorowy płomień, nawiązywało do symbolu włoskich neofaszystów z ruchu MSI, z tym że włoskie barwy zastąpiono francuskimi. Le Pen został szefem partii, wówczas marginalnej.

Nasuwa się pytanie: jak to się stało, że z tej kanapowej formacji powstała z biegiem lat potężna machina polityczna, dziś pod wodzą Marine Le Pen najsilniejsza siła opozycyjna? Jak podkreśla na łamach „Le Figaro" badacz skrajnej prawicy Jean-Yves Camus, zasługą Le Pena seniora było zjednoczenie bardzo różnych grupek radykalnie prawicowych. Wcześniej nikomu się to nie udało. Radykalna prawica skompromitowała się bowiem w czasie II wojny światowej, gdy rząd marszałka Philippe'a Petaina kolaborował z Hitlerem.

Mimo pasma wyborczych porażek, Le Pen był uparty. W swych pierwszych wyborach prezydenckich w 1974 r. dostał w pierwszej turze 0,75 proc. głosów, ale startując w 1988 r. zebrał już 14 procent. Także partia uzyskiwała coraz większe poparcie, aż w 1986 r. po raz pierwszy do parlamentu weszło 35 deputowanych Frontu, który dostał blisko 10 proc. głosów.

Tematy

Skąd ten wzrost? Jest kilka przyczyn. Historyczka Valérie Igounet uważa, że od początku lepenizm sprowadzał się do eksploatowania trzech tematów: imigracji, tożsamości narodowej i walki z przestępczością.

Gdy idzie o ten pierwszy temat: w drugiej połowie lat 70. XX w. Le Pen odpowiedział na nastroje społeczne, związane z masowym napływem do Francji imigrantów z Afryki Północnej w ramach praktyki łączenia rodzin. Front postawił na ostrą retorykę antyimigracyjną. W 1978 r. na jego plakatach pojawił się slogan, potem powielany: „Milion bezrobotnych to milion imigrantów za dużo".

Do sukcesów wyborczych przyczynił się też sam Le Pen. Aż do lat 80. nie zapraszano go do telewizji (nie tylko nie było wtedy internetu – we Francji istniały w ogóle tylko trzy stacje TV). Pierwszy telewizyjny występ Le Pena w 1984 r. w popularnym *talk show* „Godzina prawdy" wywołał taką sensację i wrażenie, że po programie do Frontu zaczęli masowo wstępować nowi członkowie. ↦

Marine Le Pen i jej ojciec Jean-Marie Le Pen podczas kongresu młodzieżówki Frontu Narodowego w mieście Fréjus na południu Francji. 7 września 2014 r.

VALERY HACHE / AFP / EAST NEWS

AMEER ALHALBI / ANADOLU / EAST NEWS

Feta na placu Republiki po śmierci Jeana-Marie Le Pena. Paryż, 7 stycznia 2025 r.

Charyzma

Le Pen miał bowiem charyzmę: władał słowem i umiał robić medialny show. Podczas wspomnianego *talk show* bez zapowiedzi wstał, by poprosić o minutę ciszy dla uczczenia światowych ofiar komunizmu. W tamtym czasie, gdy Francuska Partia Komunistyczna miała duże wpływy, była to polityczna demonstracja.

Frontowi pomógł też wtedy niespodziewany zastrzyk finansowy. W 1976 r. działacz FN, milioner Hubert Lambert, zapisał partii w testamencie kolosalny majątek wraz z pałacykiem Montretout na przedmieściach Paryża. Le Pen zamieszkał tam z żoną Pierrette i trójką córek.

Przejęciu spadku towarzyszyły dramatyczne okoliczności: nieznani sprawcy podłożyli bombę w innej rezydencji Le Penów w Paryżu. Nikt z nocującej tam całej rodziny nie ucierpiał. Spekulowano, że za zamachem stała albo rodzina Lamberta (kontestująca testament), albo wrogowie polityczni; ale sprawy nigdy nie wyjaśniono.

Wiele lat później córka Marine Le Pen, wtedy ośmioletnia, będzie wspominać ten zamach jako przeżycie traumatyczne.

Kordon

Szczytowym osiągnięciem Jeana-Marie Le Pena były wybory prezydenckie w 2002 r. Wywołał sensację, wchodząc do drugiej tury z 17 proc. poparcia (wyprzedził m.in. faworyzowanego socjalistę Lionela Jospina). W drugiej turze pokonał go gaullistowski konserwatysta Jacques Chirac, z miażdżącą przewagą (otrzymał 82 proc. głosów). Dopiero po latach ten sukces ojca powtórzyła Marine Le Pen, wchodząc dwukrotnie (w roku 2017 i 2022) do drugiej rundy wyborów prezydenckich. W obu przypadkach uległa Macronowi.

Przeciwnicy nazywali lidera Frontu Narodowego „Diabłem Republiki". Nie tylko ze względu na skrajne poglądy, ale i na lubowanie się w słownych prowokacjach. Wielokrotnie sądy skazywały go za wypowiedzi rasistowskie, w tym antysemickie. Np. w 1987 r., gdy oświadczył, że choć nie neguje istnienia komór gazowych, to „były one tylko detalem II wojny światowej" (wywiad dla radia RTL; potem powtórzył to w 2015 r. w telewizji BFM). Z kolei w 2005 r. mówił, że „okupacja niemiecka, przynajmniej we Francji, nie była szczególnie nieludzka" (gazeta „Rivarol"). W 1996 r. oznajmił, iż „wierzy w nierówność ras", i że jest to „coś oczywistego" (radio Europe 1).

Tego rodzaju wypowiedzi sprawiały, że wokół Frontu Narodowego powstał „kordon sanitarny": przez lata partie mainstreamu unikały jakiegokolwiek kontaktu z lepenistami.

Ojcobójstwo

Specyfiką francuskiej skrajnej prawicy na tle Europy jest to, że Front Narodowy – w 2018 r. przemianowany na Zjednoczenie Narodowe (RN) – pozostaje poniekąd przedsięwzięciem rodzinnym. W 2011 r. starzejący się Jean-Marie przekazał stery w partii córce Marine, a sam został jej honorowym przewodniczącym.

Marine Le Pen zrobiła wszystko, by zerwać z diabolicznym wizerunkiem formacji. Zmieniła język, odcięła się od antysemityzmu i rasizmu, zaakceptowała przemiany obyczajowe. Ale zachowała rdzeń programu z czasów ojca: chęć demontażu Unii Europejskiej (choć innymi metodami), twardą walkę z pozaeuropejską imigracją, preferencję dla Francuzów w dostępie do pracy, mieszkań i pomocy socjalnej.

Z biegiem czasu ponawiane antysemickie wypowiedzi patriarchy stały się przeszkodą dla ambicji jego córki. Doszło do tego, że w 2015 r. Marine Le Pen usunęła założyciela Frontu z jego własnej partii. „Córka zabiła ojca" – komentowano nad Sekwaną. Parafrazując znane powiedzenie: Marine Le Pen uznała, że Pałac Elizejski wart jest tego ojcobójstwa.

Schyłek

Ostatnie lata „Diabeł Republiki" przeżywał w izolacji, pełen goryczy i skłócony z córką. Przed jego śmiercią miało dojść do ich pojednania. Niemniej wcześniej już swoje polityczne nadzieje nestor przerzucił na ukochaną wnuczkę Marion Marechal, dziś eurodeputowaną.

U schyłku życia opuściła go też dawna gwardia przyboczna, w tym Louis Aliot, obecny wiceprzewodniczący RN. Gdy pytałem tego ostatniego w 2021 r., kim jest dla niego Jean-Marie Le Pen, odparł bez wahania, że „to postać, która należy już do historii, ni mniej, ni więcej". I dodał: „Moim zdaniem mógł on w polityce osiągnąć dużo więcej, ale padł ofiarą własnego charakteru".

Charakteru, dodajmy, zadziornego i złośliwego do końca, także wobec najbliższych. Autor książki o Le Penach Olivier Beaumont twierdzi, że przed kilkoma laty Jean-Marie miał żalić się przyjacielowi na swoją rodzinę: „Oni wszyscy chcą mojej śmierci. Ale ja ich jeszcze powkurzam, bo doczekam stu lat!". Było blisko: dożył 96 lat.

Pozostawił po sobie polityczną dynastię. Córkę, która ma wciąż szanse na prezydenturę Francji (wybory są w 2027 r.). I wnuczkę, której także wróży się wyborcze sukcesy. Mimo różnic i rodzinnych waśni, obie są dziedziczkami wojującego nacjonalizmu Jeana-Marie Le Pena.

© SZYMON ŁUCYK

Polityk nie z tych czasów

MARTA ZDZIEBORSKA

Ameryka pożegnała Jimmy'ego Cartera, który po wyboistej prezydenturze zrobił wiele, by zapisać się dobrze na kartach historii.

DOMENA PUBLICZNA

Prezydent Jimmy Carter, 1977 r.

SZEŚĆ DNI: TAK DŁUGO TRWAŁY UROCZYstości pogrzebowe byłego prezydenta USA, który zmarł 29 grudnia w wieku 100 lat. Trumna z ciałem Cartera przemierzyła najpierw stan Georgia, z przystankami w jego rodzinnym miasteczku Plains oraz w Atlancie, gdzie mieszkańcy mogli oddać mu hołd.

Owinięta w amerykańską flagę, trumna spoczęła następnie w gmachu Kapitolu, do którego mimo kilkustopniowego mrozu ustawiały się długie kolejki. Na koniec w państwowym pogrzebie w czwartek 9 stycznia w Katedrze Narodowej w Waszyngtonie uczestniczyło pięciu prezydentów USA – w tym Donald Trump, za chwilę znów przywódca tego kraju.

AMERYKA ŻEGNAŁA Cartera z pompą, choć ten w 1981 r. kończył rządy jako skrajnie niepopularny przywódca. Nie wybił się w tamtych czasach – szalejącej inflacji, bezrobocia i kryzysu naftowego. Nie pomógł też jego idealizm: gdy ludzie stali w kolejkach do stacji benzynowych, on apelował, by oszczędzali energię, i mówił o głębszym problemie, jakim jego zdaniem był konsumpcjonizm. Jego szanse na reelekcję pogrążyła nieudana próba odbicia amerykańskich zakładników – ponad 50 pracowników ambasady USA w Teheranie, porwanych przez islamskich radykałów w listopadzie 1979 r. Uwolniono ich już po objęciu urzędu przez kolejnego prezydenta, Ronalda Reagana.

Kryzys irański przyćmił osiągnięcia Cartera. Tymczasem to on w 1978 r. nakłonił przywódców Egiptu i Izraela do porozumienia w Camp David, które umożliwiło później zawarcie traktatu pokojowego. Za rządów Cartera Stany nawiązały stosunki dyplomatyczne z Chinami i podpisały traktat stopniowo przekazujący Kanał Panamski w ręce Panamy. Choć to ostatnie budzi dziś kontrowersje; Cartera krytykuje za to Trump, który rozważa przejęcie na nowo kontroli nad tym strategicznie ważnym połączeniem morskim między Atlantykiem i Pacyfikiem.

PO ZAKOŃCZENIU urzędowania Carter poświęcił się dyplomacji i działaniom na rzecz demokracji, za co w 2002 r. dostał Pokojową Nagrodę Nobla. Zapewne mając w pamięci swoją porażkę związaną z odbiciem zakładników, mediował podczas konfliktów i kryzysów na całym świecie – od Bałkanów po Etiopię i Haiti. Do tego ostatniego kraju wysłał go prezydent Bill Clinton. W wyniku rozmów i pod groźbą zbrojnej interwencji USA, wojskowa junta oddała władzę demokratycznie wybranemu prezydentowi Jeanowi-Bertrandowi Aristide'owi (to, że Haiti pogrążyło się potem w chaosie, nie było już winą Cartera).

Jego dziełem życia stał się Carter Center – ośrodek angażujący się w monitorowanie wyborów, zwalczanie chorób i budowę domów we współpracy z Habitat for Humanity. Według wyliczeń Carter pomagał przy budowie i renowacji prawie 4,5 tys. konstrukcji. Żarliwy baptysta, ponoć po zakończeniu każdego projektu wręczał rodzinom podpisane przez siebie Biblie.

Carter pomagał nawet po tym, jak w wieku 95 lat poturbował się podczas upadku we własnym domu. Kilka godzin po wypadku był już w drodze do Nashville, gdzie miał uroczyście otworzyć kolejną budowę.

DEMOKRATA Z GEORGII uchodził za outsidera. Zabierając głos w sprawach ważnych dla kraju, nie wahał się krytykować następców – w tym George'a W. Busha za decyzję o inwazji na Irak w 2003 r. Z kolei w 2019 r. Carter wypalił, że zdobycie przez Trumpa reelekcji byłoby „katastrofą", a dwa lata później potępił szturm trumpistów na Kapitol.

Jednym z ostatnich życzeń Cartera, jak twierdzi jego rodzina, było wytrwanie do listopadowych wyborów prezydenckich. Wszystko po to, by móc zagłosować na Kamalę Harris. Będąc już pod stałą domową opieką hospicyjną, dopiął swego: postawił krzyżyk przy jej nazwisku w połowie października, w ramach procedury wczesnego głosowania.

Jimmy Carter, człowiek o bogatym życiorysie – służył też w marynarce wojennej, prowadził plantację orzeszków ziemnych, był senatorem i gubernatorem w Georgii – uchodził nie tylko za outsidera, ale też prawdomównego outsidera. Prezydenturę zdobył obiecując, że nigdy nie okłamie Amerykanów i że uzdrowi rząd federalny, który przedstawiał jako przeżarty korupcją i nieefektywny. Retoryka trafiła wtedy na podatny grunt w kraju liżącym rany po aferze Watergate za prezydentury Nixona.

CZTERY DEKADY później nowojorski biznesmen Donald Trump podchwycił tę retorykę, obiecując, że „osuszy bagno" w Waszyngtonie. Momentu, gdy Trump, znany z częstego mijania się z faktami, powróci 20 stycznia do Białego Domu, Jimmy Carter najwyraźniej nie chciał już doczekać.

Został pochowany na działce przy domu w Plains, który wybudował razem z żoną Rosalynn w 1961 r.; mieszkali tam przez większość wspólnego życia. Małżeństwem byli przez długie 77 lat (Rosalynn zmarła w 2023 r., w wieku 96 lat). Blichtru na miarę amerykańskich elit Jimmy Carter nie potrzebował. ©

Autorka jest dziennikarką „Press"

NAUKA

PODBRÓDEK NEANDERTALCZYKA

MAŁGORZATA KOT, ARCHEOLOŻKA:

Lubię oglądać rekonstrukcje pradziejowe, bo one mówią wiele o nas, o naszym sposobie myślenia o świecie i o nas samych. Ale w bardzo małym stopniu mówią o ludziach, których mają przedstawiać.

ŁUKASZ KWIATEK: W obozie archeologów większa radość zapanuje z powodu odnalezienia jednej ludzkiej kości czy 99 kamiennych narzędzi?

MAŁGORZATA KOT: Z perspektywy kogoś takiego jak ja, kto interesuje się epoką kamienia – chyba jednej ludzkiej kości. Znajdujemy je na niewielu stanowiskach, a zabytków, takich jak narzędzia wykonane z kamienia, odkrywamy mnóstwo. Często już mamy dużą wiedzę o jakimś zbiorze artefaktów, ale brakuje wisienki na torcie – kości, która by podpowiedziała, kto te narzędzia wykonał.

W swojej karierze wykopała Pani dużo starych kości?

Trochę. Zwłaszcza gdy się kopie cmentarzyska, to pojawia się sporo kości, ale większość pochodzi ze znacznie późniejszych okresów. Nawet gdy prowadzimy wykopaliska w jaskiniach, to znajdujemy kości z neolitu, epoki brązu czy średniowiecza. A znaleziska paleolityczne – czyli te z epoki kamienia – są bardzo rzadkie.

Jeśli chodzi o fragmenty szkieletu, to najczęściej wykopujemy zęby – często pojedyncze. Profesor Jean-Jacques Hublin żartował kiedyś na wykładzie, że paleoantropolodzy powinni wierzyć w Zębową Wróżkę – to ona musiała te wszystkie zęby ludzi z epoki kamienia zostawić w jaskiniach, w których pracujemy.

Epoka kamienia trwała kilka milionów lat, ale skoncentrujmy się na ostatnich 100 tys. lat. To m.in. czas kolonizacji przez *Homo sapiens* Eurazji i współistnienia – choć krótkiego – z innymi populacjami, czyli przynajmniej z neandertalczykami w Europie i na Bliskim Wschodzie oraz denisowianami w Azji. Jak wyglądał wtedy świat?

Ok. 115-100 tys. lat temu ma miejsce tzw. interglacjał eemski. To ostatni interglacjał, czyli cieplejszy okres występujący pomiędzy zlodowaceniami. Temperatury były podobne jak dzisiaj, może nawet odrobinę wyższe; zaczynają rosnąć lasy. To korzystne warunki dla ludzi, ale wkrótce następuje huśtawka klimatyczna. Przez 30-40 tys. lat mamy do czynienia z bardzo dużymi wahaniami. W końcu klimat się bardziej stabilizuje, ale też ochładza – wszystko zmierza do maksimum ostatniego zlodowacenia ok. 20 tys. lat temu. W tym czasie jesteśmy już sami – znikają wszystkie populacje człowieka, nie licząc *Homo sapiens*.

Nasi przodkowie 100 tys. lat temu występują w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Może nawet docierają gdzieś do Azji Południowo-Wschodniej. Wędrują przed siebie. Dlaczego? Co ich pcha? Tego nie wiemy.

A czy w Afryce panowały wówczas korzystne warunki? Może coś wypchnęło stamtąd część naszych przodków? Albo zwierzęta – a ludzie poszli za nimi?

Gdy Eurazja się wychładzała, w Afryce postępowała susza. Ona mogła mieć wpływ na migracje ludzi, ale trzeba pamiętać, że Afryka jest olbrzymim kontynentem. Ludziom mogłoby wystarczyć poruszanie się w jej obrębie. Z jakiegoś powodu ciągnęło ich dalej.

Pani widzi w tym przejaw naturalnej ludzkiej skłonności do badania tego, co nieznane?

Myślę, że ten czynnik odgrywał rolę dużo wcześniej. Już ok. 2 mln lat temu z Afryki jako pierwszy człowiek wyrusza *Homo erectus*. Wówczas rozpoczynała się epoka lodowcowa i następowały migracje zwierząt, więc przynajmniej z początku ludzie mogli za nimi podążać. Ale w ten sposób dotarliby, bo ja wiem, na Kaukaz? A przecież szli dalej – aż do Indonezji. Ta pierwsza migracja *Homo erectus* postępowała „w poziomie" – ludzie szli wzdłuż strefy zwrotnikowej, nie zapuszczali się w bardziej wymagające klimatycznie tereny. Ale już migracja *Homo erectus* do Europy, która miała miejsce ok. 1,5 mln lat temu, wymagała wejścia w chłodniejsze obszary świata. Dlaczego tu przyszli? Wydaje mi się, że wiodła ich właśnie naturalna ludzka potrzeba eksploracji i ciekawości. Cóż też może być tam dalej, po drugiej stronie rzeki? Co by się stało, gdybyśmy tam poszli?

Oczywiście, ci ludzie mogli sobie nie zdawać sprawy z tego, że wstępują na nowy kontynent, gdy przechodzili z Egiptu na półwysep Synaj i Bliski Wschód. Dla nich to była zwyczajna eksploracja przestrzeni, bo tam, dalej, na pewno coś ciekawego się dzieje.

W ciągu tych dwóch milionów lat migracji z Afryki do Eurazji było wiele. *Homo erectus* zadomowił się w Azji, kolejne populacje napływały z Afryki. Były też wędrówki w drugą stronę. Ludzie przystosowali się do różnych warunków i różnicowali fizycznie. Czy wiemy, jak mogła wyglądać nasza globalna populacja, powiedzmy, 100 tys. lat temu, zanim *Homo sapiens* zaczęli zastępować dotychczasowych mieszkańców Eurazji? Ilu ludzi żyło wtedy na świecie?

Powstały takie oszacowania na temat neandertalczyków. Uważa się, że w całej ich ekumenie, od Portugalii aż po góry Ałtaj w Azji, występowało jednocześnie nie więcej niż kilkanaście tysięcy osób. Podejrzewam, że pozostałe populacje trzeba by szacować podobnie, więc nawet jakbyśmy to przemnożyli przez 6 czy 7 – możemy liczyć nie tylko denisowian, neandertalczyków, *Homo sapiens*, ale też hobbitów z Indonezji i Filipin – to i tak dostaniemy może 100 tys. mieszkańców całej Ziemi.

Ma Pani swoją ulubioną odpowiedź na pytanie, czemu z tej gromadki przeżył tylko *Homo sapiens*? Wiele osób wyobraża sobie chyba, że nasi przodkowie dokonali eksterminacji swoich licznych kuzynów. Jak w biblijnej opowieści o Kainie i Ablu.

Nie mamy na to żadnych dowodów. Ale trzeba pamiętać, że takie dowody ciężko znaleźć. W archeologii nie jest jak w serialu „Kości", gdzie każde zachowanie człowieka jest potem widoczne na kościach.

Jesteśmy w stanie zobaczyć na przykład, że ktoś dostał po głowie średniowiecznym mieczem i z tego powodu umarł, ale większość przyczyn śmierci nie zostawia żadnych śladów na kościach, które znajdujemy. Nawet bardzo głębokie rany mogą się tylko otrzeć o okostną – a wtedy są dla nas niewidoczne. Zresztą, nawet jeśli zobaczymy na kościach ślady cięcia krzemiennym narzędziem, to nigdy nie mamy pewności, kto to narzędzie trzymał w ręku – czy to było starcie człowieka współczesnego z neandertalczykiem, czy agresja wewnątrzgrupowa.

Mnie bardziej przekonują inne scenariusze. Gdy idzie o neandertalczyków, ↦

Zdjęcie Jaskini Kiik Kamar, Uzbekistan. Kilkadziesiąt tysięcy lat temu w centralnej Azji pojawiła się nowatorska technologia obróbki kamienia. Na razie nie wiemy, kto ją stworzył.

JAN LEDWOŃ

↦ to wiemy, że żyli w niewielkich grupach – może 8-10 osobników. To były grupy patrylokalne, co oznacza, że mężczyźni byli w nich spokrewnieni genetycznie, natomiast kobiety, po osiągnięciu dorosłości, przechodziły do innej grupy. Wyobraźmy więc sobie, że w jednym regionie żyją dwie grupy: grupa *Homo sapiens* i neandertalczyków. W każdej dorasta kobieta i zmienia grupę. Kobieta *Homo sapiens* zachodzi w ciążę z neandertalczykiem i nie przeżywa porodu, ponieważ dziecko neandertalskie miało za dużą główkę, która nie przechodzi przez drogi rodne. Tymczasem po sąsiedzku neandertalka rodzi dziecko człowiekowi współczesnemu. Poród się udaje – więc ta grupa rośnie, a neandertalska się kurczy.

Gdyby ten scenariusz się powtarzał wielokrotnie, to mógłby szybko doprowadzić do kryzysu demograficznego populacji neandertalskiej – mimo dobrych intencji z obu stron.

Czyli neandertalczycy mogli wyginąć, bo… mieli za duże mózgi?
Ciekawa koncepcja, prawda?

I ostateczna rehabilitacja neandertalczyków, których w przeszłości okrutnie szkalowano.

Gdy pierwsi badacze skamieniałości odkryli neandertalczyków, jeszcze w XIX w., to natychmiast uznali, że musieli być mało cywilizowanymi ludźmi. Rehabilitacja przyspieszyła w specyficznym momencie – gdy okazało się, że się z neandertalczykami krzyżowaliśmy. W populacji europejskiej zachowało się ok. 2-4 proc. domieszki genów neandertalskich. Gdy zebraliśmy dowody genetyczne na to krzyżowanie się, to nagle neandertalczycy stali się bardzo mądrzy i rozumni.

Stali się ludzcy.

Bardzo ludzcy. Na wszystkich wizualizacjach patrzą w dal, w filozoficznej zadumie. Lubię oglądać rekonstrukcje pradziejowe, bo one mówią wiele o nas, o naszym sposobie myślenia o nas samych i o świecie. Wydaje mi się, że w bardzo małym stopniu mówią o ludziach, których mają przedstawiać.

Scenariusz załamania demograficznego, o którym Pani wspomniała w kontekście neandertalczyków, mógł się powtórzyć w Azji, z denisowianami?

Wydaje mi się, że każdą z tych populacji trzeba rozpatrywać osobno – bo scenariusz mógł być w każdym przypadku nieco inny. Musimy pamiętać, że każda z tych grup była wówczas na granicy wymarcia. I to, że naszym przodkom udało się przetrwać, mogło być trochę przypadkowe.

Z badań genetycznych wynika, że przynajmniej z neandertalczykami krzyżowaliśmy się przez stosunkowo krótki czas. Kilka tysięcy lat. To mogło mieć związek z tym, że z początku ich populacja była większa – i mieliśmy większe szanse się spotkać. Potem ich grupy tak bardzo się przerzedziły, że do krzyżowania się, którego ślady zachowałyby się do dzisiaj, już nie dochodziło.

Z denisowianami jest większy problem, bo nadal bardzo mało o nich wiemy. Nie mamy pewności, jak długo przetrwali. Znamy ich głównie ze szczątków w Jaskini Denisowej w górach Ałtaj, ale nawet w tej jaskini nie do końca wiemy, z czym mamy do czynienia. Mamy ślady w warstwach sprzed ok. 50 tys. lat i sprzed 200 tys. lat. Czy to ta sama populacja? A może dwie różne? Co ci ludzie robili przez 150 tys. lat, które dzieli te dwie warstwy? Jak bardzo rozprzestrzenili się po Azji?

Domyślam się, że żeby odpowiedzieć na te pytania, trzeba przekopać jeszcze mnóstwo jaskiń. Pani będzie to robić w centralnej Azji.

Od lat prowadzimy prace w Tienszanie i Pamiro-Ałaju. Są tam górskie jaskinie, z których znamy zabytki sprzed 40 tys. lat, ale też wcześniejsze – sprzed ok. 70. tys. lat. Spróbujemy znaleźć ludzkie kości, żeby dowiedzieć się, kto te narzędzia stworzył. To ciekawy okres – pojawia się tzw. technologia wiórowa – inny, bardziej efektywny sposób produkcji narzędzi kamiennych. Zmienia się też sam asortyment narzędzi, które robią się bardzo wystandaryzowane. Nie tylko noże, które były już wcześniej, ale też drapacze, służące m.in. do obróbki skór, czy rylce, wykorzystywane w obróbce twardych materiałów, w tym kości. Mamy wiertniki, którymi można wykonać dziurki – pojawiają się igły. Mamy rozmaite groty i ostrza. No cuda na kiju!

Mnie najbardziej fascynuje odtworzenie procesu przejścia do tego bardziej ergonomicznego sposobu produkcji narzędzi. Kto to wymyślił? Neandertalczycy? *Homo sapiens*? Denisowianie? Wszyscy? Tego chcemy się dowiedzieć.

Może populacja, której jeszcze nie znamy?

Z badań genetycznych wiemy o istnieniu przynajmniej jednej takiej „populacji widmo" – wiemy, że jakaś grupa, której szczątków nie znaleźliśmy, krzyżowała się z denisowianami.

Prowadzi Pani prace w jaskiniach położonych w wysokich górach. Jak to wygląda w praktyce?

Nie jest to proste. Musimy połączyć standardy i wymagania współczesnej metodyki badań naukowych z realiami wyprawy w nieznane. Żyjemy trochę jak ludzie w epoce kamienia. Mieszkamy w namiotach. Obóz zakładamy w pobliżu stanowiska badawczego. Mamy prąd, bo w tym regionie jest sporo słońca i można rozłożyć przenośne panele słoneczne. Ale po wodę trzeba chodzić nawet kilka godzin w jedną stronę. Jeśli obozujemy niżej, gotujemy przy ognisku, ktoś codziennie musi przynosić chrust i je rozpalać. Wyżej, gdzie nie ma drzew, używamy kuchenki benzynowej. Samo dotarcie do jaskiń, gdzie prowadzimy badania i rozbijamy obóz na dłużej, jest niełatwe – zwykle to dzień czy dwa dni marszu od miejsca, do którego można dotrzeć samochodem. Nie ma szlaków, więc każdą taką trasę musimy bardzo szczegółowo zaplanować. Studiujemy mapy, przyglądamy się stokom. Musimy oszacować, którędy będziemy w stanie przejść, w których miejscach będziemy przekraczać strumienie. Czasem udaje się znaleźć ścieżki uczęszczane przez pasterzy. To pomaga, bo oni wybierają zawsze najłatwiejsze przejścia. Jeśli ekspedycję tworzą cztery osoby, to zabieramy ok. 100 kg sprzętu. Jest w tym sprzęt obozowy, jedzenie, ale też wszystkie narzędzia do prowadzenia wykopalisk, pobierania próbek, zbierania zabytków. Większe wyprawy są trudne, bo większa grupa potrze-

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach Programu „Społeczna Odpowiedzialność Nauki II".

buje więcej miejsca na rozbicie namiotów – i oczywiście więcej jedzenia.

Ale nie trzeba polować?

Jedzenie mamy kosmiczne, jak określają je nasi uzbeccy koledzy – zabieramy liofilizowaną żywność, którą wystarczy uzupełnić wodą, tak jak to robią astronauci.

Gdy jest się w miejscu, w którym ci ludzie żyli na co dzień, chyba trudno sobie nie wyobrażać, jak to wszystko wyglądało 50-100 tys. lat temu?

Podczas samych badań nie mamy zbyt wiele możliwości rozmyślania, że w tym miejscu spał sobie kiedyś neandertalczyk. Proces kopania jest skomplikowany – musimy przestrzegać pewnych procedur, wszystko dobrze dokumentować. Kopiąc, muszę być bardzo skupiona, bo nigdy nie wiem, co za chwilę znajdę. A w zależności od tego, co znajduję, muszę zastosować nieco inną procedurę. Czasem mierzę miejsce znalezienia zabytku i nadaję numer, ale innym razem robię zdjęcie jeszcze zanim podniosę znalezisko z ziemi. Zdarza się, że nakładam rękawiczki, maseczkę i pobieram próbkę do analiz paleogenetycznych okolicy znaleziska, albo wręcz wycinam ziemię dookoła zabytku i wyjmuję wszystko w bryle, do dalszej mikroeksploracji w laboratorium. I decyzję muszę podjąć w chwili, gdy dostrzegam cokolwiek, jeszcze zanim podniosę to z ziemi. A znalezisk jest z reguły kilkaset dziennie. To męczące, ale też niezwykle ekscytujące zajęcie. Ale gdy to wszystko mam już za sobą, to oczywiście, tak – potem to sobie wyobrażam. Moi koledzy specjalizujący się w innych epokach czasem śmieją się, że my, badacze epoki kamienia, głównie sobie wyobrażamy nasz przedmiot badań, bo znalezisk mamy na naszych stanowiskach znacznie mniej niż badacze innych okresów. Jest prawdą, że staramy się wycisnąć z kopanych przez nas warstw ziemi maksymalnie dużo informacji.

Przecież nasza rozmowa opiera się głównie na tym, że znajdujemy 300 krzemieni, z których 5 proc. ma takie właściwości, 10 proc. – inne. Badamy kąty, krawędzie, na podstawie tych bardzo technicznych danych, które zbieramy z bryły kamienia, wyobrażamy sobie ludzi, którzy je wykonali. I rysujemy sobie neandertalczyków siedzących przy ogniu, a przecież tak mało o ich życiu wiemy.

MIROSŁAW KAŹMIERCZAK / MATERIAŁY PRASOWE UW

DR HAB. MAŁGORZATA KOT jest archeolożką, profesorką Uniwersytetu Warszawskiego. W ramach grantu Europejskiej Rady ds. Badań zbada jaskinie centralnej Azji, które kilkadziesiąt tysięcy lat temu mogli zamieszkiwać *Homo sapiens*, neandertalczycy i denisowianie.

Ale możemy chyba próbować wczuć się w ich sytuację, skoro, tak jak my, byli ludźmi. Musieli mieć podobne potrzeby i pragnienia, przeżywali podobne emocje. Potrzebowali snu, jedzenia, odpoczynku, bliskości innych. Chcieli zrozumieć świat i go oswajać. Nie mogę się chyba jakoś strasznie pomylić, próbując sobie wyobrazić, co neandertalczyk robił i myślał, siedząc w jaskini.

Możemy się mylić na wiele sposobów. Np. sam wygląd paleniska – na rekonstrukcjach neandertalczyków czy ludzi współczesnych sprzed kilkudziesięciu tysięcy lat wyobrażamy sobie w ich europejskich jaskiniach pięknie ułożone drewienka i palący się ogień. A przecież nasi przodkowie weszli na te tereny w bardzo zimnym momencie. Chyba jednym z najgorszych możliwych. I z tego okresu nie widzimy na paleniskach węgla drzewnego, tylko przepalone kości. Więc w palenisku powinna leżeć jakaś łopatka mamuta. A to nie jest oczywiste, jak ona się pali. Jest płomień? Jaki ma kolor? Jaką temperaturę? Ktoś powie: przecież kości się nie palą. No ale jakoś musiały się palić, skoro tyle ich odnajdujemy. A skoro nie było dostępnego drewna, to czymś trzeba było je zastąpić.

Gdy chodzi o neandertalczyków, mamy jeszcze inne zabawne wyobrażenia: na rekonstrukcjach żaden nie ma brody. Ani wąsów. Widział pan kiedyś rekonstrukcję neandertalczyka z wąsami?

Nie widziałem.

Nie dlatego, że się golili – po prostu tworzymy rekonstrukcje bez brody, żeby pokazać, że neandertalczycy nie mieli podbródka, a ich rysy twarzy były trochę inne. W efekcie wszyscy są rozczochrani, ale ładnie ogoleni.

Co zatem możemy powiedzieć o życiu człowieka z epoki kamienia na podstawie tego, co odkrywamy?

Myślę, że ich życie było nieustanną walką o przetrwanie. W trudnych warunkach – zwłaszcza gdy mówimy o Europie. Każdej nocy potrzebowali schronienia, inaczej zamarzliby na kość. Ich zachowania musiały być zaplanowane i przemyślane, żeby nie skończyły się śmiercią.

Często mówię studentom, że choć my wyobrażamy sobie grupę mężczyzn w sile wieku, kroczących raźno jak rzymscy legioniści, to przecież te grupy nie składały się wyłącznie z nich. W 8-10 osobowej grupie było 1-2 silnych mężczyzn. Reszta to starsi mężczyźni, starsze kobiety, kobiety w ciąży, dzieci. Jeśli ta grupa trafi do jaskini na noc, to nie rusza od razu następnego dnia – bo ktoś jest chory, ktoś musi odpocząć.

Co ciekawe, gdy w końcu nauczyliśmy się żyć na stepie mamucim, to nastąpił rozkwit kultury i sztuki. Mamy stanowiska tzw. kultury graweckiej, sprzed ok. 30 tys. lat. To już są ludzie, którzy tworzą chaty z kości mamutów. Nakład pracy włożony w stworzenie jednej takiej chaty jest tak duży, że nie opłaca się jej przenosić z miejsca na miejsce. Więc ci ludzie zakładali kilka osad, do których się przenosili. Żeby zdobyć surowiec, polować na coś przez parę tygodni.

Stałe osady są znane głównie z miejsc na południe od Karpat, np. z Czech. Na tereny Polski ci ludzie przychodzili prawdopodobnie tylko po to, by polować, a potem wracali do siebie. I wówczas pojawiał się czas, by zrobić coś dla siebie. Bo jak się już upoluje mamuta, czyli zdobędzie kilka ton jedzenia, to wystarczy pilnować, żeby inne zwierzęta się do niego nie dobrały. Wtedy można rozwijać sztukę.

Dopóki nie mamy takiego komfortu, to każdą minutę trzeba wykorzystać na to, by dobrze przygotować się do zdobycia pożywienia. I przeżyć do jutra.

©℗ Rozmawiał ŁUKASZ KWIATEK

MATKA BOREJKÓW

Małgorzata Musierowicz świętuje 80. urodziny.
Mija też pięćdziesiąt lat od wydania jej pierwszej powieści dla młodzieży.
Wkrótce wyjdzie kolejna.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Wśród znawców twórczości Małgorzaty Musierowicz toczy się spór, czy „Małomównego i rodzinę" z 1975 r. zaliczać w poczet jej słynnego poznańskiego cyklu „Jeżycjada", czy też zaczyna się on od wydanej dwa lata później „Szóstej klepki". Debiutancka powieść pisarki nie toczy się ani w Poznaniu, ani wśród rodziny Borejków, ale w Śmietankowie, do którego przeprowadza się rodzina Ptaszkowskich.

Niemniej Tunio, jeden z braci Ptaszkowskich, po kilkunastu latach stanie się byłym chłopakiem Natalii Borejko, a jego przyrodni brat Filip Bratek (w „Małomównym i rodzinie" jeszcze nikt nie wie, że pojawi się na świecie) będzie jej kolejnym absztyfikantem, a potem eks-narzeczonym. Skomplikowane? Trudno, w rodzinnych sagach nic nie jest proste, a na pewno nie pajęczyna relacji uczuciowych. W sprawie członkostwa „Małomównego..." w jeżyckim klubie przeważyło życzenie czytelniczek, a powieść okrzyknięto tomem zerowym. Swoją nazwę saga zawdzięcza prof. Zbigniewowi Raszewskiemu, historykowi teatru, z urodzenia poznaniakowi (jego „Krótka historia teatru" jest na jego życzenie przywoływana w tomie piątym, pt. „Brulion Bebe B.").

Dziś „Jeżycjada" to marka i nazwa zastrzeżona. Do lat 90. wydawała ją łódzka oficyna Akapit Press, w zeszłym roku serię wznowiło poznańskie Wydawnictwo Labreto w opracowaniu graficznym Emilii Kiereś, córki Musierowicz. Tym, co się nie zmieniło, są ilustracje autorki, które towarzyszą kolejnym tomom. Uzbierało się ich dwadzieścia trzy (łącznie z tomem zerowym). Od pięciu lat czytelniczki czekają na kolejny, „Chucherko", który początkowo miał się ukazać w 2020 r. W internecie krążyła okładka, a Empik, ku oburzeniu pisarki, oferował książkę w przedsprzedaży. Jednak pandemia pokrzyżowała plany i uczyniła gotową w znacznym stopniu fabułę nieaktualną.

– Małgorzata Musierowicz przymierzała się do napisania kolejnej części „Jeżycjady", ale życie zdecydowało inaczej. Nie będzie nowych części, choć nigdy nie mówmy nigdy – uśmiecha się Monika Kasztelan z Wydawnictwa Labreto. – Za to z okazji jubileuszu 50-lecia twórczości pisarki przygotowaliśmy wiele atrakcji dla czytelników. Pierwsze informacje podamy pod koniec stycznia.

W oczekiwaniu można słuchać audiobooków czytanych głębokim głosem przez autorkę.

Pod pisarską gwiazdą

Urodziła się w rodzinie dwojga lekarzy cztery miesiące przez zakończeniem wojny. W zajętym przez Niemców poznańskim szpitalu niemal została podmieniona z synkiem innej kobiety. Pierwsze książki podsuwała jej matka, Zofia Barańczakowa. Lektury te Musierowicz opisała w „Całuskach pani Darling". Do części z nich wróciła we „Frywolitkach" – felietonach, które przez kilka lat dziewięćdziesiątych drukował „Tygodnik Powszechny".

W tekstach autobiograficznych konsekwentnie zbudowała legendę osoby „skazanej" na pisanie. To, że zostanie pisarką, miał jej przepowiedzieć licealny polonista Czesław Latawiec (uwieczniony w „Jeżycjadzie" jako prof. Dmuchawiec). Co prawda, młodszy o półtora roku brat, Stanisław Barańczak, wybił jej z głowy poezję, surowo oceniając jej wiersze. Dyplom zrobiła na Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu z grafiki książek. Kiedy po kilku latach spotkała swojego nauczyciela Mariana Węgrzynowicza i pochwaliła się, że będzie robić plansze dla Horteksu, spojrzał na nią z troską. „Ukończ, oczywiście, pracę, którą rozpoczęłaś, ale zechciej pamiętać, że właściwą twą drogą jest literatura" – miał jej powiedzieć. Postanowiła więc „namieszać" w literaturze dla młodzieży. I to się udało, choć zamiast rewolucjonizować, sięgnęła do korzeni.

Pisała też opowiadania dla młodszej publiczności, opublikowane w popularnej serii „Poczytaj mi mamo"; część z nich została zebrana na początku lat 90. w tomie pt. „Bambolandia". Joanna Papuzińska przyrównała je do klechd domowych, „opowieści, która wyrusza z domu i do domu powraca". Ten dom znajduje się przy Słowackiego w Poznaniu (gdzie Musierowiczowie mieszkali przez trzydzieści lat), a bohaterowie noszą imiona dzieci pisarki: Andrzejek, Zosia, Emilka i Bolo. Przetłumaczyła także klasyczne opowiastki Beatrix Potter, ale największą sławę przyniosła jej wielotomowa powieść-biblioteka. ↦

Małgorzata Musierowicz podczas odsłonięcia muralu „Jeżycjady" przy ul. Słowackiego w Poznaniu. 8 września 2023 r.

JAKUB KACZMARCZYK / PAP

↦ Jak przekonują Barbara i Maciej Szargotowie, znawcy „Jeżycjady", Musierowicz „rozpina" kolejne tomy na innych klasycznych tekstach, unowocześniając je, ale nie odcinając się od tradycji. „Małomówny i rodzina" sięga po „Szatana z siódmej klasy", „Ida sierpniowa" po „Dziwne losy Jane Eyre", „Pulpecja" po mit o Atalancie i Hippomenesie, „Dziecko piątku" po III część „Dziadów", „Córka Robrojka" po „Piękną i bestię", a „Brulion Bebe B." to Młoda Polska, Żeromski z „Syzyfowymi pracami" i Gombrowicz z „Ferdydurke" razem wzięci.

Musierowicz nie kryje sentymentu do staroświeckich słów, do jej faworytów należy „absztyfikant". To tym mianem obdarzała wizytujących jej dom chłopców, którzy więcej uwagi poświęcali wybornej kuchni jej mamy niż romantycznemu dziewczęciu. Ale to dziewczę uwiedzione było, bardziej niż przez chłopców, przez książki, biblioteki (zwłaszcza Bibliotekę Raczyńskich, gdzie „zatrudni" Ignacego Borejkę) i antykwariaty. W „Tygrysie i Róży" (1999) jest scena, w której pisarka portretuje siebie w roli buszującej w toruńskim antykwariacie.

Na Jowisza i na Atenę

Borejków poznajemy w „Kwiecie kalafiora" (1981), którego główną bohaterką jest mądra jak Aspazja z Miletu siedemnastoletnia Gabrysia. W 1977 r. jej rodzina sprowadza się na parter kamienicy przy ul. Roosevelta 5. Prowadzą dom pełen ludzi i śmiechu, innych rozrywek rodzinny budżet mógłby nie wytrzymać: „Ojciec Borejko, filolog klasyczny i bibliotekoznawca, był ostatnim człowiekiem, który mógł zbić majątek. Mama od urodzenia Natalii przestała pracować w biurze i zajęła się wyłącznie domem oraz wychowaniem córek, ściboląc na maszynie dziewiarskiej swetry i czapki, co zlecała jej Spółdzielnia Pracy »Świt« i który to rodzaj zarobkowania, aczkolwiek niekrępujący, nie należał bynajmniej do popłatnych". O wartości Borejków nie świadczą dobra konsumpcyjne, lecz coś zgoła innego, choć równie deficytowego: „Przytulnie było po prostu z tymi ludźmi – niezamożnymi, niezaradnymi i pozbawionymi siły przebicia". Ich kamienica (i kilka sąsiednich) staje się zgrzebną Arkadią, metaforą łagodnej Polski, ładu i więzi, która ma charakter nie tylko moralny, ale intelektualny.

ANNA KACZMARZ / DZIENNIK POLSKI / REPORTER

Mimo głosów krytyki, książki Musierowicz są dziś chętnie czytane, w szkołach i domach. Językowo doskonałe, są alternatywą dla bełkotliwych powieści dla nastolatek.

Czy inteligencki etos może być jednak odpowiedzią na ich problemy i bolączki?

„Na Jowisza!" – to ulubione zawołanie Ignacego, żyjącego bardziej problemami starożytnych niż współczesnych ludzi. Córkom za wzór stawia Hypatię z Aleksandrii, a z kandydatami na zięciów lubi podyskutować o Herodocie. Teraźniejszość puka jednak do drzwi – „Opium w rosole" (1986), „Brulion Bebe B." (1990) i „Kalamburka" (2001) pełne są aluzji do stalinizmu, stanu wojennego, internowania opozycjonistów, strajków studenckich, emigracji i antyreżimowych happeningów Pomarańczowej Alternatywy. Dowiadujemy się, że w 1982 r. Ignacy trafił do aresztu za redagowanie opozycyjnych gazetek o kulturze i sztuce. Trudne realia i niespełnienie konsumpcyjne w PRL-u nie przeszkadzały jednak Musierowicz w tworzeniu żartobliwych obrazów sensualnej estetyki tamtych lat. Jedna z bohaterek wtula się w brodacza pachnącego yardleyem, inna idzie na sylwestrową prywatkę w kreacji, której nie powstydziłaby się Scarlett O'Hara – uszytej z firanki.

W okres transformacji Borejkowie weszli bez pompy i jak byli spauperyzowaną inteligencją, tak jeszcze bardziej nią zostali. Ich pogarda dla sukcesu materialnego, zrozumiała w latach 80., w późniejszych tomach staje się figurą nieco groteskową, maskująca być może coś, co Maria Kwiatkowska-Ratajczak nazywa „kompleksem inteligenckiej biedy", wyjaskrawionym na tle bogacącej się klasy przedsiębiorców. Ale Borejków nie można łatwo nazwać „przegranymi" transformacji. Radzą sobie dzięki mniej eksponowanym w powieści, ale bardziej zaradnym członkom klanu. Ofiarą wolności gospodarczej jest przyjaciel domu, uczciwy Robert Rojek, którego charakter wychwalał wielki fan „Jeżycjady" Czesław Miłosz.

Największą zagwozdką jest matka, Mila Borejko. Ekonomistka z wykształcenia, z ducha pisarka, po urodzeniu córek za cel obiera wychowanie ich na ludzi szlachetnych i mądrych. Pozwala im popełniać błędy i przeżywać zawody miłosne. Kiedy trafia z pękniętym wrzodem do szpitala, jej mąż uznaje za świetny pomysł, by ich córka zwolniła się ze szkoły i przejęła obowiązki matki. Szwagierka wybija mu tę myśl z głowy, ale rzecz i tak kończy się niepedagogicznie. Ignacy nie jest w stanie obniżyć lotów swych myśli na tyle, żeby ugotować najprostszy obiad, więc stery w kuchni przejmuje szwagierka z pomocą siostrzenic. Koledzy i sympatie sióstr Borejkówien też odtwarzają ten wzór. Figura gotowania obiadów, choćby się waliło i paliło, staje się metaforą służebnej roli, realizowanej przez większość bohaterek, nawet jeśli w środku gotują się od złości. Badacze twórczości Musierowicz nazywają ten model rodziny matriarchatem domowym. Kobiety zapewniają wikt, opierunek, ciepło i bezpieczeństwo – i wychowują córki na kolejne kapłanki domowego ogniska.

Jednak w „Kalamburce" z 2001 r. Musierowicz odsłania inne karty, które krytykę przypisywanego jej tradycjonalizmu poddają próbie. Bowiem 14. tom „Jeżycjady" opowiada historię Mili Borejko. Jako młoda dziewczyna zakłada, że nie wyjdzie za mąż, ale będzie pracować i pisać. Dla przybyłego po wojnie z Wilna

Ignacego Borejki, czytelnika Marka Aureliusza i „Tygodnika Powszechnego", zmienia zdanie. Przeczytamy tam też trafny bilans wad Ignacego, przedstawiony przez przybraną matkę Mili. Przede wszystkim dowiadujemy się, że na przełomie wieków Mila już nie dzierga swetrów, ale jest wziętą autorką sztuk teatralnych, pisanych pod pseudonimem Kal Amburka.

Małe kobietki po polsku

Borejkowie mają cztery córki: Gabrielę, Idę, Natalię (miała nosić rzymskie imię Tibulla) i Patrycję – każdą o innej osobowości. W wydanych niedawno leksykonie dla młodych czytelniczek pt. „Łobuziary. Najfajniejsze bohaterki literackie" Sylwia Chutnik umieszcza Gabrysię i Idę Borejkówny. O tej pierwszej pisze tak: „Kiedy na nią spojrzysz, od razu poczujesz jej pewność siebie. Nie chodzi tu wcale o zadzieranie nosa. Gabrysia działa w zgodzie ze sobą, nawet jeśli wszyscy naokoło pukają się w głowę". Sentyment do cyklu Musierowicz splata się u Chutnik z krytyką: „W kolejnych tomach »Jeżycjady« autorka proponuje nieco bardziej tradycyjny model rodziny, w którym nie ma miejsca na łobuziary czy buntowniczki. Jednak poszczególne bohaterki mają silne poczucie sprawczości i własnej wartości, które wynoszą z domu rodzinnego".

I tu dochodzimy do spędzającego sen z wielu powiek pytania: czy powieści Musierowicz są antyfeministyczne i czy kiedyś były emancypacyjne, a dziś już przestały takie być? Niezależność i bunt bohaterek „Jeżycjady" od pierwszej do ostatniej powieści przegląda się w portretach dziewiętnastowiecznych emancypantek i ich spadkobierczyń, takich jak Zofia Barańczakowa i sama Musierowicz, ale jawnie stroni od współczesnego feminizmu.

Protagonistki służą społeczeństwu jako nauczycielki, lekarki i naukowczynie, ale jednocześnie małżeństwo jest dla nich wyborem życiowym tak oczywistym jak rosół na niedzielny obiad. Nawet indywidualistki, które zwlekają z małżeństwem, przed trzydziestką kapitulują. Aktorka Aniela Kowalik, bohaterka „Kłamczuchy" i drugoplanowa postać dalszych tomów, jest jedną z nielicznych, której zawodowe ambicje nie cierpią po urodzeniu bliźniąt, ale tylko dlatego, że bezrobotny mąż przejmuje obowiązki domowe. Gabriela (matka trojga) habilituje się z filologii klasycznej, lecz nie jest to dla jej rodziny powód do specjalnej fety.

W „Jeżycjadzie" powtarza się schemat: kiedy rodzą się dzieci, matki zostają z nimi w domu, a mężczyźni wyjeżdżają lub uciekają. Jeden jest w Australii, drugi na stypendium w Kanadzie, trzeci w Monachium, czwarty w Wiedniu, piąty w Houston. Młode kobietki składają złotą włócznię Anety i zamieniają się w ciche westalki. Na co były tym zdolnym dziewczynom dobre stopnie w liceum, marzenia o medycynie czy studiowanie architektury? Polemistka Musierowicz, Kinga Dunin (podobno pierwowzór antypatycznej feministki Barbary z „Nerwusa i Nutrii") nazywa świat Borejków krainą Muminków – postaci nieszkodliwych, bo nieistniejących. Mimo to dostrzega w wizji relacji damsko-męskich u Musierowicz odmianę feminizmu, ale separatystyczną, w której mężczyźni są zmarginalizowani, a kobiety celebrują tradycyjne role nie z przymusu, lecz dla rytuału i własnego kultu.

Biblioteka i lamus

„Kalamburką" Musierowicz planowała zwieńczyć cykl, ale przeważyły prośby czytelniczek. Kolejne tomy, poczynając od „Języka Trolli" (2004), a na „Ciotce Zgryzotce" (2018) kończąc, zwane są Neo-Jeżycjadą i nie jest to etykieta pochlebna. Wrażliwość młodszych odbiorczyń na nierówne traktowanie ludzi pogłębiła się, a ich ambicje i plany biograficzne obrały nowe tory. Natomiast mikrokosmos kamienicy przy Roosevelta 5 pozostał nie tylko niezmienny, ale okopał się, strzegąc idealizowanej tradycji.

– W przypadku sagi Musierowicz problematyczna jest pozycja i poglądy zaszytego w tekstach autora. Czy ta (hipotetyczna) figura wspiera i utrwala, czy raczej obnaża i krytykuje reprezentowane przez bohaterów postawy? W „Jeżycjadzie", zwłaszcza w ostatnich tomach, ukazanych jest wiele zachowań, które można by określić jako szowinistyczne, seksistowskie, patriarchalne czy klasistowskie, ale to nie znaczy, że odbiorczynie Musierowicz muszą przyjmować je za dobrą monetę, jest to natomiast dobry punkt wyjścia do przemyśleń – mówi Aleksandra Mochocka, literaturoznawczyni z Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy. – Wiemy choćby z dyskusji online, że czytelniczki często sympatyzują bardziej z postaciami odgrywającymi w fabułach role negatywne, niż z pozornie idealnymi Borejkami.

Sięgam do własnych tomów „Jeżycjady", z których kilka pierwszych przejęłam po mamie. W „Imieninach" z 1998 r. znajduję dedykację autorki – „Dla Magdy i Mamy". Tak się wtedy te książki czytało: międzypokoleniowo. Nie wiem, czy za kilka lat przekażę te książki własnej córce. Jeśli będzie je chciała czytać jako realistyczny zapis epoki i bilet na podróż do czasów starszych koleżanek, mam i babć, może się zawieść, a książki odeśle do lamusa. Jeśli jednak potraktuje je jako bibliotekę i archiwum literatury dla dziewcząt, wariację na temat „Małych kobietek" i fantazję o świecie, gdzie jedna wskazówka zegara idzie do przodu, a druga stoi w miejscu – to będzie to dla niej ciekawy eksperyment. Wszak młodzi z „Jeżycjady", choć mają zmywarki i telefony komórkowe, są jak wyjęci z czasów Bystronia, Lipskiego i Janion. Cytują Plutarcha, czytają Senekę, znają na wyrywki wiersze Rilkego i słuchają Bacha w wykonaniu Glena Goulda. Piękne z nich ptaki dodo.

Mimo głosów krytyki książki Musierowicz wciąż są chętnie czytane, w szkołach i domach. Językowo doskonałe mogłyby być alternatywą dla bełkotliwych powieści z półki *young adult*, ale czy babcina (żeby nie rzec dziaderska) treść i trącący myszką inteligencki etos są odpowiedzią na problemy i bolączki dzisiejszych nastolatek?

– Wierzę we współczesne odbiorczynie i nie sądzę, żeby bezrefleksyjnie aprobowały drobne patologie Borejkowskiej codzienności czy nie całkiem zdrową dynamikę życia rodzinnego. Będą raczej wyciągać z „Jeżycjady" swoje własne, dopasowane do ich epoki konkluzje, kupując to, co jest ponadczasowo piękne, i kiwając głowami ze zdziwieniem lub irytacją nad zachowaniami i postawami sprzecznymi z ich systemem wartości – przekonuje Aleksandra Mochocka. – A może wbrew tej nadziei zatęsknią za prostymi, jasnymi podziałami (my i oni, świat wartości *versus* nowe, dziwne i groźne) i niesymetrycznym podziałem ról i obowiązków? Zostawmy to po prostu czytelniczkom.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Więcej niż kłopoty

AGATA KASPROLEWICZ

W tamtym czasie w Belfaście wszyscy nosili plecaki z przodu, na brzuchu. Nie dlatego, że obawiali się kradzieży. Chodziło o to, że ktoś mógł ukraść ciebie – mówi Anna Burns.

EAST NEWS

Anna Burns z Nagrodą Bookera. Londyn, 16 października 2018 r.

Z pisarką Anną Burns spotykam się w kawiarni hotelu Grand Central w centrum Belfastu. Nowoczesny, pokryty szkłem 80-metrowy budynek, który mija się w drodze na dworzec autobusowy, w niczym nie przypomina swojego poprzednika. Ten pierwszy Grand Hotel, zbudowany pod koniec XIX w. w wiktoriańskim stylu, gościł okryte dobrą i złą sławą postaci, jak Winston Churchill, król Belgów Leopold II czy Beatlesi.

Anna sięga pamięcią do roku 1972, kiedy hotel przejęli brytyjscy żołnierze i został przemieniony w koszary. W tym czasie, w latach 70. ubiegłego stulecia, jednej z najkrwawszych dekad w dziejach Irlandii Północnej, pisarka osadziła akcję „Mleczarza", głośnej, nagrodzonej Bookerem powieści (niedawno wyszła w Polsce i znalazła się na czele większości rankingów podsumowujących nasz ubiegły czytelniczy rok).

Grand Central w Belfaście stał się wówczas jednym z najczęściej bombardowanych hoteli w historii, Irlandzka Armia Republikańska i inne grupy zbrojne atakowały go ponad 150 razy. Nie przetrwał, został wyburzony, a w jego miejscu powstało centrum handlowe. Nowy hotel o tej samej nazwie został zbudowany wiele lat później nieopodal starego i to właśnie w jego gwarnej kawiarni w październikowe popołudnie piłyśmy zieloną herbatę i rozmawiałyśmy o książce.

Kiedy to się zaczęło

Anna wyjechała z rodzinnego miasta na studia do Londynu w 1987 r. Wróciła do Belfastu 30 lat później, by odebrać Bookera – najbardziej prestiżową nagrodę w anglosaskim świecie literackim, która za sprawą „Mleczarza" po raz pierwszy trafiła do rąk północnoirlandzkiej pisarki.

– Uderzyło mnie wtedy, jak Belfast tętnił życiem, zarówno w nocy, jak i za dnia. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam. W latach 70. miasto zamierało po zmroku – opowiada Burns. Lata 70. były dekadą największych masakr czasu „Kłopotów", jak nazywana jest trwająca 30 lat wojna domowa w Irlandii Północnej. Obrazy, które stały się jej symbolem, to Krwawa Niedziela w Derry w styczniu 1972 r. (14 ofiar zabitych przez armię brytyjską), Krwawy Piątek w Belfaście (9 ofiar zamachów IRA), zamachy

w Dublinie, Londynie, Birmingham, ataki na posterunki armii i policji w Ulsterze, brutalne ataki sił bezpieczeństwa na katolickie domy i dzielnice.

Zamachy bombowe dokonywane były przez republikanów z IRA chcących przemocą zjednoczyć obie części Irlandii, i lojalistów z UVF i IFF, którzy siłą się temu przeciwstawiali. To właśnie kadry z tych wydarzeń zdefiniowały powszechne wyobrażenie o naturze przemocy konfliktu północnoirlandzkiego. „Żyliśmy w takich czasach i w takim miejscu, kiedy przemoc stanowiła główną soczewkę, przez którą oceniało się ludzi" – czytamy w „Mleczarzu".

Kiedy czytanie pomaga

W historii, którą opowiada osiemnastoletnia bezimienna narratorka, nie ma jednak ani wybuchających bomb, ani strzałów karabinów, ani porzuconych na ulicy ciał. Przemoc, której doświadcza bohaterka powieści, ma formę psychicznego osaczenia ze strony nieznanego, znacznie starszego od niej mężczyzny zwanego „mleczarzem", choć jak narratorka niejasno tłumaczy na samym początku powieści: „nie wiedziałam, czyim jest mleczarzem. Na pewno nie był naszym. Może w ogóle niczyim. Nie zbierał zamówień na mleko. Nic nie miał z mlekiem wspólnego". Wkrótce okazuje się, że tytułowy mleczarz jest wysoko postawionym członkiem organizacji paramilitarnej, najprawdopodobniej IRA.

– Zdałam sobie sprawę, że to będzie powieść o przemocy polegającej na osaczeniu, kiedy byłam już w trakcie pisania. To nie była świadoma decyzja, w moim wypadku nigdy nie jest – wyjaśnia Anna Burns. Na tym polega właśnie jej proces twórczy – nie robi założeń, tylko czeka, aż usłyszy głos postaci, który ją poprowadzi. Tak też było tym razem. Usiadła do pisania i wtedy pojawiła się dziewczyna przechodzącą wzdłuż linii granicznej oddzielającej część protestancką i katolicką w dzielnicy Belfastu, nieoficjalnie zwanej Murder Mile. Dziewczyna szła i czytała książkę, a Anna zaczęła spisywać myśli dziewczyny i tak narodziła się narratorka „Mleczarza".

Potem pojawiały się kolejne niezwiązane ze sobą i początkowo niezrozumiałe sceny – w jednej dziewczyna jest w pubie ze swoją rozzłoszczoną przyjaciółką, w kolejnej siostra uderza ją w twarz, jeszcze w następnej spotyka na drodze swojego prześladowcę, mleczarza. Dopiero po jakimś czasie pisarka dostrzegła, że te pozornie niepołączone ze sobą sceny zaczynają do siebie pasować.

Pisanie Anny Burns przypomina układanie puzzli, nic na siłę, kawałki same muszą chcieć się ze sobą połączyć: – Wiem, że to dziwnie brzmi, ale nigdy nie przyspieszam tego procesu. Nie myślę, że mam trzy godziny i w ciągu tego czasu muszę napisać jakąś określoną liczbę słów. Nie mogłabym w ten sposób pracować. Trzeba umieć poskromić nerwy, bo są takie dni, kiedy ogarnia mnie tylko chaos. Ale już nazajutrz wszystko zaczyna się układać. Najpierw trzy, potem cztery kawałki tekstu dopasowują się do siebie i wiem, że mam już fragment powieści. Nie umiem pisać inaczej.

„Słońce czy deszcz, ostrzał czy bomba, starcie czy zamieszki, codziennie wracałam z pracy pieszo z nosem w najnowszej książce. Wybierałam dziewiętnastowieczne. Dwudziestowiecznych nie lubiłam, bo nie lubiłam dwudziestego wieku" – mówi narratorka „Mleczarza". To samo mogłaby powiedzieć o sobie autorka, bo jak zdradza Burns, kiedy była młoda, też czytała głównie literaturę dziewiętnastowieczną. Tylko stare książki ją zajmowały.

Kategorycznie jednak zastrzega, że to nie ona wymyśliła to zdanie, tylko jej bohaterka: – Literatura jest tarczą, która ma ją chronić przed XX wiekiem. Czytanie jest mechanizmem obronnym. Stare książki z innej epoki trzymają ją z dala od otaczającej ją rzeczywistości, odgradzają od własnego życia.

Kiedy nie wolno pić herbaty

Jednak to właśnie czytanie jest czynnością podejrzaną i ściąga na narratorkę niebezpieczeństwo. Przed tym zagrożeniem próbuje ją przestrzec przyjaciółka, która mówi: „To bardzo niepokojące. Zwyrodniałe wręcz. Optyczno-iluzoryczne. Wbrew zasadom współżycia społecznego. Wbrew instynktowi samozachowawczemu. Ściągające na siebie uwagę. I po co, skoro wróg czai się za drzwiami, nasza społeczność pod okupacją, i wszyscy musimy trzymać się razem, robić swoje, po co w tej sytuacji ściągać na siebie uwagę?". W odpowiedzi słyszy: „Chcesz mi powiedzieć, że on może chodzić po mieście z semteksem i to jest w porządku, ale jak ja chcę publicznie poczytać »Jane Eyre«, to już mi nie wolno?".

Jak definiuje się przemoc w świecie, w którym lektura Charlotte Brontë budzi większy niepokój niż noszenie ze sobą ładunku wybuchowego?

– Przemoc staje się normalnością, której nikt nie kontestuje – mówi Burns i dodaje – Kiedy zaczęły się „Kłopoty", miałam siedem lat, w latach 70. byłam nastolatką. Ja w tym wszystkim wyrastałam, nie było dla mnie innego świata. Żyliśmy według niespisanego prawa i wszyscy wiedzieli, że w sklepie możesz kupić to, a nie tamto, na ulicy możesz pójść tu, a nie tam, a jeśli wybierasz przystanek autobusowy, to musisz wiedzieć, że ujawniasz swoją religię.

W „Mleczarzu" jest fragment, który oddaje jak każdy, nawet najmniejszy element codzienności podlegał politycznej rewizji: „Zasady obejmowały też jedzenie i picie. Masło stosowne. Masło niestosowne. Herbata sojuszników, Herbata zdrajców. Nasze sklepy i ich sklepy. Nazwy miejsc i ulic. (...) Każda rzecz, jaką się robiło, i każde miejsce, w jakim się przebywało, stanowiły jasną deklarację polityczną, czy się tego chciało, czy nie".

– Tego nikt mi nigdy nie powiedział. Nie pamiętam, żeby ktoś kiedyś objaśniał mi tę skomplikowaną mapę zakazów i nakazów. To się po prostu widziało – mówi pisarka i wspomina, że zrozumiała, jak bardzo nienormalna jest normalność północnoirlandzka, dopiero kiedy po raz pierwszy opuściła Belfast i trafiła do Londynu.

– Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to widok ludzi, którzy nosili plecaki... na plecach. Widzisz, w tamtym czasie w Belfaście wszyscy nosili plecaki z przodu, na brzuchu i to nie dlatego, że obawiali się kradzieży plecaka. Chodziło o to, że ktoś mógł ukraść ciebie – mówi pisarka, tłumacząc, że plecak z tyłu ułatwiał wciągnięcie kogoś do furgonetki albo ciemnego zaułka. Mając plecak z przodu, łatwiej było się wyplątać i uciec.

Kiedy nie chodzić do baru

W „Mleczarzu" porządku pilnuje „długowieczny duch społeczności". Zło nie przychodzi z zewnątrz, jego sprawcami są najbliżsi – rodzina, sąsiedzi, przyjaciele. To właśnie oni są strażnikami ↦

↦ opresyjnego porządku, który z jednej strony jest podstawą ich poczucia bezpieczeństwa, a z drugiej sprawia, że żyją w nieustannej trwodze.

Wybór literacki Anny Burns, by nie nadawać bohaterom imion, a zamiast tego nazywać ich zwrotami określającymi ich miejsce w rodzinie czy społeczności (narratorka jest „średnią siostrą", a pozostali bohaterowie np. „drugim szwagrem" czy też „być-może-chłopakiem") wzmacnia obraz społeczeństwa totalitarnego, które nie istnieje bez nadzoru władzy totalitarnej. Zastrzega jednak, że i ten wybór nie był świadomy: – W trakcie pisania zrobiłam eksperyment i nadałam wszystkim postaciom imiona, ale wtedy poczułam, jak ta powieść zaczęła umierać, więc ponownie je usunęłam. Piszę emocjami i zmysłami, wszystkie decyzje opieram na czuciu. Wiedziałam dokładnie, które miejsca Belfastu opisuję, znałam ich adresy, ale one też nie chciały być nazwane. Dlatego ulubiony przez mieszkańców mojej dzielnicy pub, w którym osadzone są niektóre fragmenty „Mleczarza", ochrzciłam w powieści „najpopularniejszym w całym mieście barem", nigdy nie podając jego nazwy.

Picie było ważnym elementem „Kłopotów", alkohol stanowił rodzaj kompensacji, nagrody za ukrywanie tego, kim się jest. Piło się bardzo dużo. To była ucieczka, a z drugiej strony alkohol był niebezpieczny, bo rozwiązywał język. „Kłopoty" to był czas, kiedy najlepiej było milczeć.

Kiedy należy mówić szeptem

Burns wspomina, że w dzielnicy, w której się wychowała, panował powszechny lęk przed informatorami: – Czasem sąsiedzi, którzy się pokłócili, szli do IRA i oskarżali się wzajemnie o bycie informatorami. Paramilitarni pełnili rolę policji. Trzeba było być bardzo ostrożnym, uważać na to, co się mówi, czy też po prostu nic nie mówić.

W „Mleczarzu" to nie wybuchające bomby wzbudzają największą grozę, lecz plotka, która jest narzędziem terroru. „Zorientowałam się, jak łatwo zacząć plotkę, zabrnąć w plotkę, wplątać się w nią i nie móc się z niej uwolnić" – mówi średnia siostra, narratorka powieści. Życie człowieka mogło zawisnąć na włosku w każdej chwili: wystarczyło, że mechanik dostał od kogoś sprężarkę bentleya blowera,

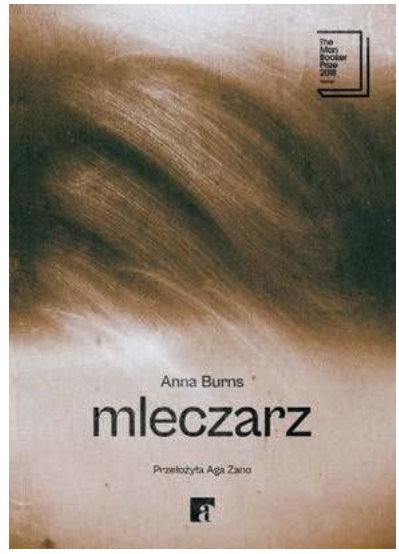

MLECZARZ
Anny Burns w tłumaczeniu Agi Zano ukazał się nakładem wydawnictwa ArtRage.

a zazdrosny sąsiad stwierdził, że bentleye blowery mają wybitą brytyjską flagę.

– Plotka była niebezpieczna, bez względu na to, czy była prawdziwa, czy też nie. Na ulicach Belfastu były plakaty i graffiti, z ostrzegawczymi napisami: „trzymaj język za zębami" albo „nic nie mów". Panowała wszechobecna inwigilacja. To chyba wywiad brytyjski powiedział kiedyś, że dzięki podsłuchom, kamerom i innych urządzeniom wie, jaki kolor ma tapeta w domach podsłuchiwanych ludzi. A podsłuchy były wszędzie, także w konfesjonałach. Wszyscy bali się telefonów. Kiedy byłam młoda, mieliśmy jeden telefon na końcu ulicy i wszyscy przypuszczali, że jest na podsłuchu. Dlatego ludzie byli hiperostrożni. Nawet jeśli nie wiedzieliśmy, gdzie znajduje się urządzenie rejestrujące, to byliśmy pewni, że jest gdzieś ukryte. Nie prowadziliśmy głośnych rozmów, mówiliśmy cicho i uważaliśmy z kim rozmawiamy, bo mieliśmy świadomość, że treść naszej rozmowy może zostać zmieniona, a nawet wymyślona. A ponieważ w mojej dzielnicy siły bezpieczeństwa uważane były za wroga, to mieliśmy świadomość, że nas ciągle podsłuchują. No i helikoptery. Nad naszymi głowami bez przerwy latały helikoptery. IRA też słuchała plotek, bo to była jej metoda pozyskiwania informacji. Plotka mogła zabić. A przecież „plotka" to takie niewinne słowo, brzmi jak „pogawędka" – mówi.

Kiedy skończą się kłopoty

Używanie eufemizmów niezwykle często powtarza się w opowieści o przemocy w Irlandii Północnej. Przecież używanie słowa „Kłopoty" (w oryginale „*The Troubles*") do opisania trwającej trzy dekady wojny domowej, która pochłonęła tysiące ofiar, jest tego najlepszym przykładem.

„Mleczarz" został napisany tak, jakby mówienie za dużo i zbyt wprost nadal było niebezpieczne. Nie nazywa się tu rzeczy po imieniu. Wielka Brytania jest krajem „za wodą", a członkowie republikańskich organizacji paramilitarnych „opozycjonistami". Bo jak przyznaje narratorka powieści, o wielu sprawach „trzeba było mówić bez naruszania patyny niewymawialności". Nie potrafi nazwać własnego doświadczenia przemocy ze strony mleczarza: „Miałam trudność z określeniem, na czym polega jego nękanie, jego drapieżnictwo, bo było fragmentaryczne. (...) Czy on w ogóle cokolwiek zrobił? (...) Skoro sama nie byłam pewna, to jak mogłabym to wytłumaczyć komuś innemu?" – zastanawia się dziewczyna na kartach powieści. Anna Burns tłumaczy, że nieuchwytność przemocy, która dotyka narratorkę „Mleczarza", czyni ją jeszcze większym złem, bo jest ukryta. – Ta przemoc odbiera ci język, bo nie wiesz, jak ją nazwać. Zostaje ci tylko uczucie, że coś jest nie tak, ale po jakimś czasie nawet tego nie jesteś już pewna. Jeśli nie możesz nazwać zła, ono będzie trwać.

Anna Burns podkreśla, że napisała opowieść o ludziach, o których się nie mówi. Rzeczywiście, w centrum historii o „Kłopotach" są zazwyczaj ci, którzy walczyli, lub ci, którzy zginęli. „Mleczarz" opowiada o tych, którzy zostali.

– Kiedy wróciłam do Belfastu, spotkałam ludzi, którzy opowiedzieli mi historie swoich rodzin, opowiedzieli mi o zabitych, którzy ginęli w okrutny sposób. Nie mieliśmy normalnego dzieciństwa i nawet nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Osoby, które przechodzą żałobę, też są ofiarami. Ich losy tworzą bardzo ważną, a jednak pominiętą część historii „Kłopotów". Matki, które straciły dzieci, osoby pozostawione na pastwę losu, pozbawione pomocy, zaburzone, straumatyzowane – ich wszystkich nazywam ludźmi, którzy zostali. I o tym piszę najwięcej, o psychologicznych skutkach trwającej trzy dekady przemocy. Kiedy

jestem w Belfaście, czuję tę traumę. Jeśli przejdziesz się koło Central Library, albo kościoła świętego Patryka, też możesz ją poczuć. Nie mówiąc o dzielnicy, w której się wychowałam, w północnym Belfaście, gdzie było najwięcej sektarianizmu, bo jedna ulica jest protestancka, a kolejna już katolicka.

Kiedy pytam, czy „Kłopoty" rzeczywiście się skończyły, pisarka poważnieje, na jej twarzy maluje się lekkie napięcie i mówi mocniejszym niż dotychczas głosem: – Widzę jedną zasadniczą zmianę: dużo więcej rozmawia się o tym, co tu się działo. Wcześniej ludzie albo się bali, albo byli zbyt pijani. Teraz zaczęli mówić o przeszłości. To jest największa różnica. I być może najważniejsza, bo – jak wcześniej podkreślała autorka „Mleczarza" – zło nienazwane trwa.

Kiedy przychodzi dar

Anna Burns pisała „Mleczarza" w bólu, głównie fizycznym. Cierpienie było wynikiem poważnej operacji, którą pisarka przeszła w trakcie pracy nad powieścią. Aby skończyć pracę, była zmuszona korzystać z lokalnych banków żywności. Cudem udało się jej znaleźć tanie mieszkanie.

„Mleczarz" został początkowo odrzucony przez kilka wydawnictw i nic nie zapowiadało jego sukcesu. Kiedy w 2018 r. powieść dostała Nagrodę Bookera, Burns podziękowała wszystkim organizacjom charytatywnym, dzięki którym przetrwała. Ogromny sukces, jaki wiązał się z „Mleczarzem", przyniósł pisarce nie tylko ulgę finansową, ale także coś, co nazywa „ukrytym darem". – Dzięki Bookerowi spotkałam się z moją rodziną, z którą od lat żyłam w oddaleniu. To było niezwykłe, wręcz cudowne – wyznaje.

„Mleczarz" to pierwszy Booker w historii tej prestiżowej nagrody dla powieści północnoirlandzkiej: – Ta książka jest jak prąd głębinowy, który nagle wydostał się na powierzchnię – mówi autorka.

© AGATA KASPROLEWICZ

Autorka jest dziennikarką, prowadzi podkast „Raport o książkach". Od nowego roku współprowadzi także w radiowej Jedynce audycję „Klub książki".

POŻEGNANIE

Ze smutkiem informujemy, że zmarł nasz

Ojciec, Dziadek, Pradziadek

Ś.†P.

Prof. Kazimierz Czapliński

herbu Drogosław

Inżynier budownictwa, zaangażowany katolik i społecznik.

Większość swojego życia zawodowego związany z Politechniką Wrocławską, gdzie pod koniec aktywności zawodowej był dziekanem Wydziału Budownictwa. W latach 1990-1993 kierował wrocławskim oddziałem Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa.

Od 1958 był członkiem wrocławskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, w latach 1959-1989 członkiem zarządu, w tym w latach 1966-1984 prezesem KIK. Należał także do Arcybiskupiej Rady Społecznej i Arcybiskupiego Komitetu Charytatywnego (od 1982), był członkiem Społecznego Komitetu Panoramy Racławickiej (od 1980 do przymusowego rozwiązania w 1985), w 1990 został przewodniczącym Stowarzyszenia „Społeczny Komitet Panoramy Racławickiej". W latach 1994-1998 był przewodniczącym Krajowej Rady Katolików Świeckich. Członek Towarzystwa Przyjaciół Janowca, współtwórca i członek różnych gremiów Fundacji Krzyżowa dla Porozumienia Europejskiego. Kawaler Krzyża Kawalerskiego i Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski, kawaler Medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis".

Msza święta zostanie odprawiona 18 stycznia 2025 roku o godzinie 11.00 w kościele pw. św. Klemensa Dworzaka przy al. Pracy we Wrocławiu. Pogrzeb na cmentarzu Grabiszyńskim 18 stycznia 2025 roku o godzinie 13.00.

Zamiast kwiatów prosimy o wsparcie Fundacji Krzyżowa dla Porozumienia Europejskiego lub Klubu Inteligencji Katolickiej we Wrocławiu

RODZINA

Co słychać między światami

DOROTA KOZIŃSKA

Kaszubski uchodzi za język umierający, niemniej na co dzień posługuje się nim prawie sto tysięcy Kaszubów. Jest jedynym językiem regionalnym wpisanym w Ustawę o Mniejszościach Narodowych i Etnicznych. Warto posłuchać jego śpiewu w Teatrze Wielkim.

Kaszubi nie boją się śmierci. *Kòżdi ùmrze*, gdy przyjdzie na niego czas. Ale nie każdy umrze dobrą śmiercią. Zła śmierć to taka, co nadchodzi nagle, kiedy człowiek nie zdąży pozamykać po sobie wszystkich spraw, albo sam sobie życie odbierze. Dlatego na śmierć trzeba się oglądać, bo zwiastuje swoje przyjście. Tym, którzy wkrótce wyruszą na tamten świat, każe odruchowo ściągać obrączkę z palca, sprawia, że w ich obejściu psy zaczynają wyć, w domu zegary same się zatrzymują i święte obrazy spadają ze ścian. Trzeba też uważać, kiedy się umiera. Lepiej nie w ostatni dzień roku, bo w następnym pociągnie się do grobu co najmniej kilkunastu sąsiadów. Źle też umrzeć o północy, bo dusza może w ciemnościach zabłądzić i paść ofiarą złych duchów.

Dlatego bliskim należy towarzyszyć w agonii, a zmarłych nie opuszczać aż do pogrzebu. Żeby umarli raz a dobrze. Temu właśnie służy *pùstô noc*, czyli tradycja żegnania zmarłego przez bliskich i wspólnotę. Nie wystarczy się modlić i śpiewać. Trzeba też bacznie obserwować nieboszczyka, czy nie robi się czerwony na twarzy, a palce splecionych na piersiach dłoni nie zaczynają się rozsuwać. To przestroga dla żywych, że zmarły zaczyna się przeistaczać w wieszczego albo, co gorsza, w łopiego. Tych, którzy mieli zadatki na wieszczych, łagodniejszą odmianę kaszubskiego wampira, można było rozpoznać już przy narodzinach. Albo rodzili się w czepku, albo z wyrżniętymi zębami. Można też było – choć nie bez wyrzeczeń – zapobiec pojawieniu się żeńskich upiorów w rodzinie: jeśli w domu było sześć córek, nie należało sprowadzać na świat następnej, bo wtedy najstarsza lub najmłodsza zostawała morą, która po zmroku zmieniała się w cokolwiek, żeby podduszać ludzi we śnie i wysysać życie ze zwierząt gospodarskich.

Wieszczy zabijali tylko krewnych. Łopi ściągali zgubę na całą wspólnotę. Śmierć była dla nich początkiem drugiego, koszmarnego istnienia. Jeśli więc zmarły nie chciał zesztywnieć, dawni Kaszubi próbowali go czymś zająć, żeby nie zmartwychwstał. Wkładali mu do trumny poplątaną sieć rybacką, stary sweter do sprucia albo – jeśli umiał czytać – kartkę z książeczki do nabożeństwa, na której nie było słowa „amen", by nie mógł dokończyć modlitwy. Kiedy wszystkie fortele zawiodły, nie pozostawało nic innego, jak otworzyć grób, odciąć nieboszczykowi głowę i złożyć mu ją w nogach, żeby jej nie dosięgnął.

Tożsamość Kaszubów

Kaszubi, którzy zaczęli się osiedlać w rejonie ujścia Wisły zapewne już w połowie pierwszego tysiąclecia naszej ery, nigdy nie stworzyli osobnego państwa, a ich ziemie przez wieki wchodziły w skład obcych organizmów politycznych. Kaszubskie dzieje były zawsze historią wspólnoty etnicznej – o jej przetrwaniu na styku rozmaitych kultur, w warunkach często bezwzględnej germanizacji i polonizacji, zadecydował odrębny język i specyficzny etos, nazywany pogańskim nawet przez redaktorów reaktywowanego po II wojnie światowej pisma „Zrzesz Kaszëbskô".

Tożsamość Kaszubów, przez tyle lat lekceważonych, gnębionych i wydrwiwanych, zaczęła się jednak rozmywać. Już pierwsi, XIX-wieczni działacze ruchu kaszubskiego, ukuli nośną metaforę „pustej nocy" jako przygotowania do nieuchronnego pogrzebu ojczystej mowy. Sto lat później ich następcy prognozowali, że nie będzie po niej nawet *pamiętci ni spiéwē*. Jakby zawiodły wszelkie rytuały. Jakby wieszczy i łopi spruli wszystkie swetry, naprawili sieci, zakończyli modlitwę uroczystym „amen" i sprowadzili zagładę na całą kaszubską kulturę.

Wciąż jest nadzieja, że aktywiści nie mieli racji. Wprawdzie kaszëbskô mowa nadal uchodzi za język umierający albo przynajmniej poważnie zagrożony, niemniej na co dzień posługuje się nią prawie sto tysięcy Kaszubów. Kaszubski jest jedynym w Polsce językiem regionalnym wpisanym w Ustawę o Mniejszościach Narodowych i Etnicznych. Od prawie dwudziestu lat licealiści mogą przystąpić do matury z mowy swych przodków.

Do kaszubskich korzeni coraz częściej przyznają się także artyści – wśród nich młody baryton Damian Wilma, absol-

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

KATOWICE, środa, 15 stycznia, godz. 18.00,
spotkanie autorskie z Joanną Wilingowską, „Król Warmii i Saturna",
prowadzenie: Zbigniew Rokita,
sala Parnassos Biblioteki Śląskiej (plac Rady Europy 1), transmisja na YouTube BŚ

WARSZAWA, czwartek, 16 stycznia, godz. 18.00,
spotkanie z Edwardem Augustynem (Tygodnik Powszechny),
Magdaleną Macińską (Stowarzyszenie Tekla) i Zbigniewem Nosowskim (Więź),
„Kościół po Synodzie. Oczekiwania, wyzwania, nadzieje",
prowadzenie: Jan Murawski, sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro)

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

KRZYSZTOF BIELIŃSKI / TEATR WIELKI / MATERIAŁY PRASOWE

Scena ze spektaklu „Wòlô bòskô", reż. Jarosław Kilian, 2024 r.

went Akademii Muzycznej w Bydgoszczy i uczestnik Akademii Operowej Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, który jeszcze na studiach wpadł na pomysł ujęcia tradycyjnych śpiewów kaszubskich we współczesny cykl pieśniowy. Opracowanie muzyczne wybranych materiałów powierzył innemu wychowankowi bydgoskiej uczelni, kompozytorowi Łukaszowi Godyle. „Boska wola" – opowieść o nieszczęśliwej miłości młodego Kaszuba, ujęta w cykl dwunastu pieśni na baryton i fortepian – miała prawykonanie w 2019 r., posłużyła Wilmie jako temat pracy doktorskiej, po czym stała się punktem wyjścia dla jeszcze ambitniejszego przedsięwzięcia.

Puste noce

W roku 2021 Damian Wilma – wspólnie z reżyserem Jarosławem Kilianem, który włączył do cyklu fragmenty tekstów z zapisów etnograficznych – przedstawił dyrekcji TW-ON propozycję spektaklu z udziałem narratorki Białki, matki odprawiającej obrzęd pustej nocy dla Hanuszki, której serce pękło po samobójczej śmierci ukochanego.

Hanuszkowy Jaśko błąka się między światami jako wieszczy i dręczy wyrzutami sumienia „niedobrą mamę", co Andzi nie słuchała, aż Andzia z żalu padła i skonała. Rzecz rozrosła się do rozmiarów ponadgodzinnego przedstawienia, zyskała kaszubski tytuł „Wòlô bòskô" i akompaniament rozbudowany do dwóch fortepianów i dwóch składów perkusji. W końcu doczekała się prapremiery na małej scenie Teatru Wielkiego.

Nie dłuży się jednak ta opowieść. Przeciwnie, uwodzi pięknem i symboliką minimalistycznej scenografii Izabeli Chełkowskiej, która drewnianym pomostem złączyła nie tylko kaszubską ziemię z morzem, ale też świat doczesny z zaświatem, rozpinając nad wszystkim chmurne niebo z tiulu. Ujmuje precyzją i prostotą reżyserii Kiliana. Zachwyca sugestywną i pełną wyobraźni choreografią Anny Hop, w wykonaniu dwojga tancerzy wcielających się w martwych kochanków. Wzbudza podziw subtelnością roboty kompozytorskiej Godyli, który oprawił kaszubskie śpiewy w muzykę pełną wiatru, szumu fal i innych niosących się po wodzie odgłosów. Imponuje znakomitym przygotowaniem instrumentalistów pod batutą Grzegorza Brajnera.

Spektakl przede wszystkim zaś zapada w pamięć dzięki wrażliwym interpretacjom Damiana Wilmy w roli wieszczego Jaśka oraz brawurowej kreacji postaci Białki, w którą Danuta Stenka włożyła cały swój warsztat aktorski, kaszubską tożsamość i żal za odchodzącym językiem, który – jak sama kiedyś powiedziała – urodził się w jej ustach podczas rozmów z babcią.

Gottlieb Leberecht, zwany pastorem Lorkiem z Cecenowa, napisał w 1820 r. o Kaszubach, że brakuje im własnych powiedzeń i pieśni. Ta krzywdząca opinia pokutuje do dziś – w twierdzeniach, że melodii kaszubskich nigdy nie było, że wszystkie są zlepkiem zapożyczonych tradycji muzycznych. Tymczasem dawni folkloryści zarzucali „nieśpiewność" wszystkim kulturom, których nie rozumieli, których wierzenia i obyczaje były im obce – nie tylko Kaszubom, ale też Sasom, Fryzyjczykom, a nawet Skandynawom.

Pora oswoić tę obcość, dostrzec odmienność kaszubskich „tônów", struktur nieodłącznie związanych z językiem, rytmem zarzucania sieci rybackich, melodią zaklęć pustej nocy. Widać *wòlô bòskô*, żeby Kaszuba wstał z łoża śmierci. Jeszcze nie czas przechodzić w zaświaty. ©

Baśń dla dorosłych

ANITA PIOTROWSKA

Film kręcony na Dolnym Śląsku, w Łodzi i Zgierzu, przyjęty do konkursu głównego w Cannes, był niedawno duńskim kandydatem do Oscara.

Tytuł tego filmu jest łagodny niczym u Vermeera, choć z bardzo dosłownym ukłuciem. A robota zaiste koronkowa, bo rzadko się zdarzają na ekranie obrazy o takiej intensywności, dopieszczone w każdym szczególe. Toteż oglądając „Dziewczynę z igłą" chwilami można powątpiewać w czystość jej intencji. Jakże to – opowieść o niechcianych ciążach, seryjnych dzieciobójstwach i twarzach zmasakrowanych na Wielkiej Wojnie wygląda tak, jakby każdy jej czarno-biały kadr domagał się powieszenia na ścianie. Strategia reżysera jest jednak przewrotna: pod maską wysokoartystycznego kina, pełnego kulturowych odniesień i surrealistycznych figur, Magnus von Horn przemyca kontrabandę jeszcze brutalniejszą, niżby się z początku mogło wydawać.

I nie chodzi o kopenhaskie realia sprzed stu lat, naszkicowane grubaśnie niczym węglem w scenariuszu von Horna i Line Langebek Knudsen. Oto młoda tkaczka czeka na powrót męża z frontu. Wojna otworzyła przed nią bramy fabryki i pozwoliła zarobić kilka koron, choć ledwie starcza jej na wynajęcie nory bez wygód. Ponieważ losy małżonka Karoline są nieznane, nie przysługuje jej renta dla wojennych wdów. A przygodny romans z właścicielem tkalni nie rokuje społecznego awansu – pozostawia za to dziewczynę z brzuchem, osamotnioną w swojej nędzy i sromocie. W tym momencie musi wjechać aborcyjny naturalizm, lecz von Horn zmienia kierunek. Anioł, który staje na drodze bohaterki, przypomina zrazu postacie z baśni Andersena, mimo iż domek z pierników należy do innych baśniopisarzy, a „Dziewczyna z igłą" nie jest adaptacją andersenowskiej „Igły do cerowania". Już prędzej wygląda na „Dziewczynkę z zapałkami" w wersji dla dorosłych. W mówionym po duńsku filmie pomocną dłoń wyciąga do zdesperowanej dziewczyny dziwaczna właścicielka sklepu ze słodkościami – i będzie to dopiero początek całego ciągu perwersji.

Zanim Dagmar, owa dobra wróżka z błotnistej Kopenhagi, okaże się złą czarownicą, film na każdym kroku sygnalizuje, z jak brudnej materii ulepiono ten ekranowy świat. Policzek wymierzony dziecku, kopulacja na oczach przechodniów, upokarzające badania ginekologiczne zafundowane Karoline przez niedoszłą teściową, próba zrobienia użytku z tytułowej igły – rzeczy odstręczające na papierze zamienia von Horn, z dużym udziałem operatora Michała Dymka, zwycięzcy niedawnego Camerimage, w groteskowy horror, który odrzuca i fascynuje równocześnie.

„Spójrzcie cierpieniu prosto w twarz!" – nawołuje cyrkowy mistrz ceremonii przed pokazem różnej maści „dziwolągów". Jednakże cyrk, do którego trafia okaleczony mąż bohaterki, wcale nie jest najgorszym miejscem do życia. Ten zaś, który robi w nim za potwora, zostanie przyćmiony innego rodzaju monstrualnością. Pod szyldem przytulnej konferencji, w karnawałowej rodzinie na opak, w ramach chorobliwie pojętej kobiecej samopomocy, rozgrywa von Horn okrutnie piękny spektakl. Co i raz prowokuje, ażeby wyjść z malowniczej nędzy kapitalizmu fabrycznego ku przebranej w kostium przypowieści o antykobiecym czyśćcu – chociaż trudno uciec od nadużywanego w opisach filmu „piekła kobiet".

Prócz Boya-Żeleńskiego patronują tej upiornej baśni też inne teksty. W swoim zamyśle sięga „Dziewczyna z igłą" do międzywojennych rubryk kryminalnych, jakkolwiek drastyczny temat „fabrykowania aniołków" bywał nie tylko strawą dla pitawali i nie tylko duńskich, ale i przedmiotem krytyki społecznej. Film przetwarza owe źródła po swojemu. Nagrodzona w Gdyni Trine Dyrholm gra postać niczym z delirycznych fantazji po eterze, wdychanym przez Dagmar na zapleczu słodkiego sklepiku czy podczas kinowego seansu. Zresztą kino i fotografia są naturalnym tworzywem filmu von Horna – scena wyjścia robotnic z fabryki mruga do symbolicznych narodzin „dziesiątej muzy", podczas gdy niedzisiejsza z rysów i ekspresji twarz Vic Carmen Sonne w roli głównej przypomina XIX-wieczne dagerotypy.

Te wszystkie retrostylizacje mogą przykrywać istotę dramatu, jakim jest los kobiety, wykorzystanej i wyplutej przez fabrykę, pozbawionej praw reprodukcyj-

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

ŁUKASZ BĄK / MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

DZIEWCZYNA Z IGŁĄ
(Pigen med nålen) – reż. Magnus von Horn. Prod. Dania/Polska/ /Szwecja 2024. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 17 stycznia.

Magnus von Horn to szwedzko-polski reżyser, absolwent Szkoły Filmowej w Łodzi. Jego debiut, nakręcony w Szwecji „Intruz" (2015), przyniósł mu liczne nagrody. Potem był polski „Sweat" (2020), który otrzymał m.in. gdyńskie Srebrne Lwy i nagrodę za reżyserię. Koprodukcja „Dziewczyna z igłą" przebiła tamten sukces w Polsce i za granicą.

Kadr z filmu „Dziewczyna z igłą" z odtwórczynią roli głównej Vic Carmen Sonne

nych i opieki państwa; chodzi wszak von Hornowi o obnażenie zbiorowej hipokryzji i zła, które ma w dużej mierze kontekst społeczny. Rozplenia się ono w świecie, gdzie tylko bogatych „stać na czynienie dobra". Reżyser unika jednak tonów publicystycznych czy aluzji do współczesności – mimo że Szwed z polskim paszportem nie ukrywa w wywiadach swojej solidarności z kobietami w Polsce, zwłaszcza po zaostrzeniu ustawy antyaborcyjnej. Jego film nie jest także czczym artystowskim wykwitem i, trzymając się cukierkowej oferty Dagmar, smakuje raczej szczypiącą lukrecją czy miętą pieprzową aniżeli nugatem.

Film z polskim, choć nie większościowym, wkładem budżetowym i znaczącym „wkładem ludzkim", kręcony na Dolnym Śląsku, w Łodzi i Zgierzu, po czym przyjęty do konkursu głównego w Cannes, z Europejską Nagrodą Filmową za scenografię Jagny Dobesz i z jedenastoma nagrodami w Gdyni, był niedawno duńskim kandydatem do Oscara. Tymczasem oglądamy opowieść bliższą nastrojom dzisiejszej Polski niż Danii. W mocno wykrzywionym zwierciadle pokazuje, co może się zalęgnąć w szarej strefie, gdy kobiece ciała złożono na ołtarzu zakłamanej moralności.

O Dagmar rzec by się chciało, że uosabia zło metafizyczne, demoniczne, co poniekąd załatwiłoby całą sprawę, pozostawiając widza bezradnym wobec sił większych od niego. Von Horn widzi w swej bohaterce produkt zdegenerowanego systemu, niebezpiecznie nawiedzoną „misjonarkę" i mimo wszystko do końca jej nie odczłowiecza. Przy dudniąco-zgrzytliwych dźwiękach Frederikke Hoffmeier, znanej także jako Puce Mary i nagrodzonej za tę muzykę przez Europejską Akademię Filmową, oglądamy thriller z elementami nieludzkimi i bardzo ludzkimi, a zarazem bardzo cielesny (instynkt macierzyński i kobiece mleko odegrają tu swoją rolę).

Byłby nie do zniesienia ze swoim mrokiem, gdyby von Horn poprzestał na wyestetyzowanym turpizmie i wykoślawionej etyce. Znalazł na szczęście sposób, by rozwinąć i zakończyć ten koszmar tak, ażeby nie był tylko misternie wyrzeźbionym festiwalowym kociołkiem z potwornościami, w którym miesza bez umiaru jakaś wiedźma. Bo nawet jeśli moralnie szpetna i wyjęta z innej epoki, zdaje się wiedzieć całkiem sporo. ©

Lektor:
Modlitwy niewysłuchane

▪ *Arnošt Lustig*
MODLITWA ZA KATARZYNĘ HOROWITZ
Przełożyła Agata Firlej, Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2024, ss. 166.

„Ja nie chcę umierać!" – krzyczy do ojca młoda i piękna Katarzyna Horowitz, gdy pociąg z Warszawy wjeżdża na obozową rampę. I podczas gdy cała jej rodzina idzie od razu na śmierć, ona trafia pod opiekę pana Hermana Cohena, zamożnego przemysłowca z amerykańskim paszportem – jednego z dwudziestu.

„Panowie z amerykańskimi paszportami wcześniej się nie znali. W ogóle na początku było ich nie dwudziestu, lecz dwa tysiące, ale powiedziano im już tam we Włoszech, że amerykańskim urzędnikom chodziło tylko o tych najbogatszych, bo strona niemiecka chciała wymienić ich za ważne osobistości". Rzecz dzieje się więc po wkroczeniu wojsk III Rzeszy do Włoch, a psychologiczna gra, którą będziemy obserwowali, jest grą o życie. Głównym rozgrywającym ze strony niemieckiej, z którym w imieniu swoim i całej dwudziestki negocjuje pan Cohen, jest niejaki Friedrich Brenske, dowódca tajnego oddziału. Są też inni Niemcy, z porucznikiem Horstem Schillingerem na czele, a także świadek-więzień, znakomity krawiec, który ma uszyć Cohenowi nowe ubranie.

Ta historia nie ma happy endu; negocjacje służą tylko wyciągnięciu jak największych sum pieniędzy z zatrzymanych, a pociąg, który wyruszy w drogę do portu, wróci do obozu. Będzie jeszcze ślub Katarzyny i Hermana, konieczny podobno ze względu na to, że dziewczyna jest obywatelką Generalnego Gubernatorstwa – udzieli go łódzki rabin Dajem, pracujący w obozowej suszarni włosów. A potem dramatyczny finał.

Właśnie – finał. Arnošt Lustig (1926-2011), czeski pisarz, podczas wojny więzień kolejnych obozów i w swojej twórczości skupiony na temacie Zagłady (a także erotyce), w 1948 r. korespondent z Izraela, po 1968 r. aż do aksamitnej rewolucji na emigracji, autor m.in. „Diamentów nocy", „Niekochanej" i „Pięknych zielonych oczu", wykorzystał historię, która pojawia się też w „Kamiennym świecie" Tadeusza Borowskiego, w opowiadaniu „Śmierć Schillingera". U Borowskiego kobieta, która u progu komory gazowej, rozebrana już do naga, zabija tytułowego SS-mana z jego własnej broni, nie ma imienia. Wedle niepewnych do końca relacji była nią warszawska tancerka Franciszka Mann. W Ameryce ostatnio poświęcono jej nawet operę – w polskich źródłach pojawia się wobec niej zarzut kolaboracji w getcie z Niemcami. Oczywiście Katarzyna jest kreacją Lustiga – i przy niej zostańmy. ©℗

OLGA

Drenda:
Połącz kropki

Nic nie starzeje się tak szybko, jak wizje bliskiej przyszłości albo próby maksymalnego zbliżenia do esencji teraźniejszości. Jednocześnie powrót do takich przedsięwzięć po latach bywa doświadczeniem pouczającym, bo pozwala dostrzec kwestie, które wcześniej może się przegapiło, ale warto było dać im odrobinę dojrzeć – zwłaszcza wtedy, gdy wymaga to przełamania pogoni za nowością i nieustanną aktualizacją. Dlatego z zainteresowaniem sięgnęłam, z charakterystycznym dla mnie spóźnionym refleksem, po „Rozpoznanie wzorca" Williama Gibsona, pisarza zdaniem wielu dysponującego spostrzegawczością graniczącą z darem prorockim. Co może powiedzieć nam powieść o internecie i jego ukrytych społecznościach z roku 2003? Motywem, wokół którego osnuto fabułę, jest tendencja umysłu do rozpoznawania wzorów i podobieństw, „łączenia kropek", i tendencja do poszukiwania znaczeń, która może prowadzić na manowce. Jak mówi jeden z bohaterów, Bigend: „Przyszłość w pełni kulturowo uformowana to luksus innej epoki, takiej, w której »dzisiaj« miało większą siłę przetrwania. W naszym wypadku wszystko zmienia się tak nagle, tak gwałtownie, tak głęboko, że przyszłość typowa dla naszych dziadków ma zbyt wątłe »teraz«, aby się na niej oprzeć. Nie mamy przyszłości, bo nasza teraźniejszość jest zbyt ulotna (...) Pozostaje nam jedynie zarządzać ryzykiem. Wybierać scenariusze chwili. Rozpoznawać wzorce" (tłum. Paweł Korombel).

Ulotna teraźniejszość sprzed ponad dwóch dekad to dzisiaj niesłychany luksus, można by rzec: „slow life". Ale żarty na bok; mówimy wiele, również na łamach „Tygodnika", o pragnieniu znaczenia i sensu, które potrafi rozsadzić pojemność umysłu. Wspomniane rozpoznawanie wzorców to jedna ze składowych tego, co nazywa się inteligencją wśród organizmów żywych, i zdolność, która umożliwiła np. wyłonienie się języka. Ponieważ jednak u człowieka osiągnęła tak wysoki poziom zaawansowania – a także dlatego, że stworzyliśmy sobie tak złożone środowisko bytowania – istnieje wysokie ryzyko łączenia nie tych kropek, co trzeba, i dostrzegania znaczeń tam, gdzie ich nie ma (co nazywa się apofenią). Również ze względu na powiązanie z inteligencją ludzie, którzy doszukują się wzorców czy połączeń wszędzie i nadmiarowo, postrzegają to czasami jako dowód na własne wybitne zdolności rozumowania, co dodatkowo jeszcze pogłębia u nich prawdopodobieństwo mylnych czy pozornych trafień. Nasze „teraz", by wrócić do cytatu z Gibsona, jest tak wątłe, że wielu ludzi stara się szukać sposobu, by sobie z tym poradzić, przez nakładanie na rzeczywistość super uproszczonych filtrów albo dla odmiany super splątanych siatek, w których wszystko łączy się ze wszystkim. Takich teorii krąży obecnie tak wiele, że musi być to niewątpliwie duża pokusa.

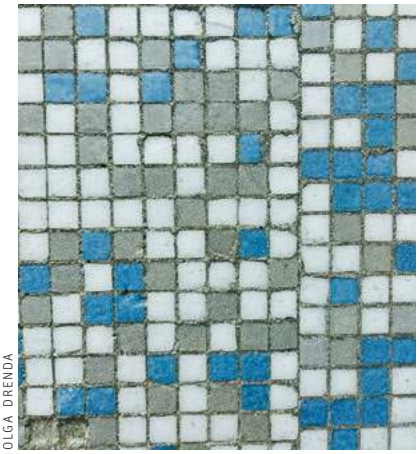

Ja tu widzę liczbę 23

OLGA DRENDA

Ostatnio coraz częściej zastanawiam się nad umiejętnościami, które warto w sobie świadomie pielęgnować. Wdzięczne kroczenie po cienkiej linii między umiejętnością dostrzegania wzorców a ignorowaniem tej tendencji z pewnością należy do mojej czołówki. Tym bardziej że rozumienie aktualnych globalnych zagrożeń często wiąże się z koniecznością zwracania uwagi na to, co dzieje się w peryferiach pola widzenia, i oderwania od typowych ciągów skojarzeń. Od czasów strategii stosowanej przez tzw. Państwo Islamskie, a podjętej później również przez napastników motywowanych innymi ideami, polegającej na maksymalnym rozproszeniu i „radykalizacji instant", wiemy, że przemocy można spodziewać się skądkolwiek i że ułatwiają to technologie codziennego użytku (internet, telefony komórkowe, aplikacje, samochody). Zjawisko nazywane przemocą stochastyczną (przygodną, losową) polega na nasyceniu przestrzeni informacyjnej niebezpośrednimi wezwaniami do ataku, nie da się jednak przewidzieć, czy i kiedy potencjalny „samotny wilk" potraktuje taki przekaz dosłownie. Oto kolejna cenna umiejętność: zdolność wyobrażenia sobie niewyobrażalnego bez popadania w lękowe mechanizmy, akceptacja, że niebezpieczeństwo może przyjść z zupełnie nie tej strony, z której się spodziewamy – i tym samym rezygnacja z przyjemności posiadania racji.

Ale dajmy na to – elektryczne hulajnogi. Trzy lata temu na sąsiedniej ulicy jedna eksplodowała w czyimś mieszkaniu i nie jest to zjawisko rzadkie, gdyż przegrzewające się baterie niosą ryzyko samozapłonu. Od tego wydarzenia nabrałam pewnej podejrzliwości wobec e-hulajnóg. Spodziewałam się również, że ktoś wykorzysta ten potencjał w celach zamachowych, choć trochę strach mówić takie rzeczy na głos, i faktycznie – niedawno pojazd taki stał się przyczyną śmierci znaczącego rosyjskiego generała (choć dla precyzji trzeba dodać, że do hulajnogi dołączono bombę). Czy jakieś kropki czekały tu na połączenie, czy ja się z tym pospieszyłam? ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

PAWEŁ

Bravo:
Nie jedzcie choinek

Trzech Króli albo Gromniczna. Jaki jest w waszym domu właściwy moment na rozebranie choinki? Podejrzewam, że większość, ignorując solenne tradycje, wybiera dowolny punkt na osi pomiędzy tymi datami, kiedy się już się wszystkim znudzi zamiatanie igieł. Pragmatyzm pozwala utrzymać ład i ekonomicznie zarządzać ogniskiem domowym, kosztem jednak sensu i symboliki. Choćby zupełnie niezrozumiałej dla użytkownika: ktoś wie, dlaczego np. należy zawinąć bombki w stare gazety i wywalić suchy drapak przez balkon akurat w dzień, gdy idzie się do kościoła ze świecą?

Na głód sensu jeszcze nie wynaleziono odpowiedniego psycho-ozempicu, więc przez szczeliny pragmatycznego istnienia wkradają się narracje nadające zwykłym czynnościom pozorną głębię. Oto magistrat miasta Gandawa wydał okólnik, w którym radził, by mieszkańcy zjedli niepotrzebną choinkę, przez co zmniejszy się ilość odpadów. Nie całą, tylko igły: po zblanszowaniu miałyby być użyte do aromatyzowania masła, bo „tak robią Skandynawowie" – głosił tekst zawierający też garść rad bardziej oczywistych, typu „zamroź beszamel na potem".

Nie wiem, jak z drogą do piekła, może go wcale nie ma, ale dobre intencje urzędników na pewno mogłyby wybrukować drogę na oddział toksykologii. W szkółkach choinkarskich nie ma żadnych ograniczeń obowiązujących przy uprawie żywności. Nikt przy zdrowych zmysłach dotąd nie badał obecności pestycydów w świerczku czy jodełce, ale można spokojnie założyć, że aparatura piszczałaby z przerażenia. Nie dość tego. W wielu krajach istnieje obowiązek nasączania drzewek przeznaczonych do mieszkań substancją przeciwpalną. Belgijski sanepid się obudził i kazał zmienić poradnik. W obecnej wersji ostało się tylko, że tak robią Skandynawowie.

Na co oburzyli się z kolei duńscy i szwedzcy historycy obyczaju, twierdząc, że w badanych przez nich tradycjach igły świerkowe pojawiają się z rzadka, a Belgowie powielają stereotyp dzikusa pożerającego każdy napotkany zielony pęd. Ktoś jednak zauważył, że korzenie przekłamania mogą nie być wcale archaiczne i związane z głodem, lecz wyrastać ze zgoła luksusowego nurtu „nordyckiej kuchni", którą przez dobre dwie dekady próbowano nam kolanem wciskać jako ideał dobrego i pięknego jedzenia.

To w posiłkach sławnej niegdyś kopenhaskiej Nomy i jej naśladowników (w typie naszego Atelier Amaro) podawano padlinę na jedlinie, bebechy dziwnych zwierząt na leśnym „łóżeczku" z gałęzi podlane wyciągiem z porostów. Nie kto inny, jak guru tej kuchni, szef Nomy René Redzepi, w 2010 r. drukował na łamach „New York Timesa" pean na cześć zjadania choinek, twierdząc, że gałązka świerka zastąpi rozmaryn, i nie przejmując się takimi drobiazgami jak pestycydy.

Jak się potem okazało, nie przejmował się również prawami pracowniczymi, ale to inna historia, którą znacie z tych łamów. Pozostańmy przy iglakach. Owszem, nawet w polskich przekazach mamy niszowe przepisy na wykorzystanie np. zmielonych igieł świerka do aromatyzowania masła lub oleju. Każdy i każda, kto kiedykolwiek miał katar w naszej strefie klimatycznej, zna dobroczynne działanie syropu z pędów sosny. No i faktycznie, „żywiczność" tych składników trochę przypomina rozmaryn. Ale to rozmaryn, a nie karłowaty świerk rośnie na parapecie prawie każdej kuchni. Z jakiegoś powodu... kto wie, może dlatego, że jest smaczniejszy? Nie bronię nikomu eksperymentów, tylko ścinajcie gałązki w jak najgłębszym lesie. A najlepiej uszanować drzewa i pójść po prostu na spacer.

Cytrynowy naleśnik z blachy

Nie wiem, kiedy najlepiej zjadać świerk, ale za to wiem, że teraz najlepszy moment na dania z cytrynami – nawet w dyskontach łatwo dostaniemy te niepryskane (a tylko z takich można zetrzeć skórkę). Będę was zanudzał cytrynowymi przepisami. Dziś podpatrzony u Amerykanów placek przypominający ich pancake, czyli puszysty naleśnik.

PAWEŁ BRAVO

Składniki: 50 g mąki 250 ml mleka 5 jajek 80 g cukru 250 g ricotty ▪ duża cytryna lub dwie małe 1 łyżeczka sody 2 łyżeczki proszku do pieczenia 5 łyżek masła

Startą skórkę z cytryny i wyciśnięty z niej sok dodajemy do mleka (które się od kwasu zetnie). Rozdzielamy żółtka od białek, które ubijamy na sztywno. Do miski z żółtkami dodajemy ricottę, stopione wystudzone masło, ścięte mleko i cukier, mieszamy porządnie. Dosypujemy stopniowo mąkę z sodą i sporą szczyptą soli, dalej mieszamy (trzepaczką lub mikserem), aż wyjdzie gładka, gęsta masa. Dodajemy po trochu ubite białka, delikatnie łączymy. Wylewamy masę na dużą blachę (35x45 cm) lub dwie mniejsze wyłożone papierem do pieczenia. Wstawiamy do piekarnika nagrzanego do 200 st. C na 12-15 minut, aż się lekko zarumieni. Można jeść po amerykańsku, z boczkiem i syropem klonowym, albo po polsku, z twarożkiem i dżemem. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Niezbędne wyposażenie każdej porządnej kuchni

ZMYSŁY

Z GRUSZKI I PIETRUSZKI

Tylżycki zamiast cheddara, łyżki zamiast łyżeczek i nogi na rozgrzanej patelni? Nie rzucajcie się testować wszystkich przepisów, które znajdziecie w książkach kucharskich. Jak pisał Julian Barnes: żeby z nich korzystać, trzeba się naprawdę znać na gotowaniu.

DOROTA MALINA

W eseju „Przepis na sukces” Kate Gibbs, wnuczka słynnej australijskiej autorki kulinarnej opowiada, jak babcia rozdawała autografy. Podpisując egzemplarze swojej kultowej książki nieustannie słyszała, że „The Margaret Fulton Cookbook” zmieniła życie jej posiadaczek (w latach 70. mężczyźni do kuchni chodzili głównie po lód do whisky).

Towarzyszyła w najważniejszych chwilach, ratowała z opresji, stanowiła nieprzebrane źródło inspiracji. Margaret spokojnie kończyła dedykację, zamykała książkę i tonem fałszywej reprymendy mówiła: „Nigdy nic z niej nie ugotowałaś. Bo gdzie są plamy, zabrudzenia, posklejane kartki?”.

Gibbs przywołuje te anegdotę na poparcie tezy, która brzmi: książki kucharskie służą do czytania i oglądania. Rzadko kiedy faktycznie z nich gotujemy, a jeśli już, to – jak powiedział jej „wysoko postawiony redaktor ważnego wydawnictwa” – wybieramy maksymalnie dwa z kilkuset przepisów.

KEN MCKAY / SHUTTERSTOCK / EAST NEWS

Jamie Oliver w programie telewizyjnym „This Morning”. Londyn, 26 września 2024 r.

Zamęt i zakalce

Sprzedaż książek kucharskich rośnie, recepturami na pyszne i zdrowe dania dzielą się z nami ludzie kultury („Kuchnia towarzyska i uczuciowa” Andy Rottenberg), pisarze („Szczypta Wenecji” Donny Leon), tiktokerzy („Koreańska kuchnia wegańska” Joanne Lee Molinaro) i inni celebryci („Zdrowe gotowanie” Anny Lewandowskiej). Jest w czym wybierać i, jeśli wierzyć statystykom, chętnie czerpiemy z tego bogactwa. Kiedy jednak przyjdzie zakasać rękawy, to nawet moja mama zapomina o dawnych mistrzach: Stanisławie Bergerze z jego kultową „Kuchnią Polską” oraz brązowym brulionie, do którego babcia, ciotki i znajome wpisały przepisy na serniki i karkówki.

Cenna wiedza z zakresu technologii żywienia oraz pożółkły rodzinny zeszyt kurzą się w szafce, bo jak większość rodaków mama też w pierwszym odruchu zagląda na portale i blogi takie jak Kwestia Smaku czy Ania Gotuje. Nawet jeśli wie, że niezawodny Berger na pewno podaje przepis na placki ziemniaczane, a wszelkie inne egzotyki znajdzie w bogatym zbiorze angielskich i francuskich książek kucharskich, które przetłumaczyła jej córka, to i tak o wiele szybciej i wygodniej zapytać Google’a. W pewnym sensie również bezpieczniej, bo blogi da się aktualizować i korygować. A książka po wyjściu z drukarni może siać zamęt i zakalce.

Jako wieloletnia tłumaczka kulinariów statystyki i trendy przyjmuję z pewną ulgą. Nie sądzę, że książki kucharskie przejdą do analogowego lamusa, jak papierowe słowniki czy mapy. Staną się podrasowaną, staranną i opatrzoną dłuższą gawędą wersją Instagrama. Dominować będą piękne zdjęcia, wysmakowana szata graficzna, starannie dobrana czcionka. Do przeglądania i podczytywania przy kawie (przecież nie przy jedzeniu!). Nie martwię się więc, że nie będę miała co robić. No chyba że zastąpi mnie sztuczna inteligencja, bo przepis to w końcu algorytm, a algorytmy lubią się z maszynami. Tymczasem mam nadzieję, że towarzysząca instrukcjom narracja i konieczność ustawienia głosu autora da mi jeszcze kilka lat na wydawniczym garnuszku.

Mięsny rumieniec

Bardziej bym się obawiała, gdyby nagle czytelnicy rzucili się testować wszystkie przepisy. Jestem raczej skrupulatna, a redakcja zachowuje maksymalną czujność (o czym niżej), wcale nie mam jednak pewności, czy polski czytelnik, który sumiennie zrealizuje kolejne kroki, dostanie wynik przypominający widoczny na zdjęciu. Oryginalny adresat zresztą też nie, bo nie raz zdarzało mi znajdować pomyłki i pominięcia nawet u zacnych autorów. Zupa bez soli, trzy łyżki zamiast trzech łyżeczek sody oczyszczonej, nieprawdopodobne czasy i temperatury.

Co prowadzi do kuchennego paradoksu, o którym świetnie pisał Julian Barnes w zbiorze esejów „Pedant w kuchni”: żeby korzystać z książek kucharskich, trzeba się znać na gotowaniu. Tajemna wiedza kulinarna pełna jest bowiem słów kluczy, kodów i żargonu. I nawet najbardziej wyrozumiały i empatyczny nauczyciel nie wytłumaczy nam wszystkiego: jak drobna jest drobna kostka, po czym rozpoznać mięsny rumieniec („smażyć, aż się zarumieni”), czy do wrzenia wystarczy kilka bąbelków, czy trzeba czekać na mocną kipiel. Tekst zawsze zawiera białe plamy, bo nie sposób powiedzieć wszystkiego o wszystkim. Czytelnik musi wypełnić luki własną wiedzą. Inaczej nie wyrośnie.

Oczywiście poszczególni autorzy przepisów różnie projektują adresata i starają się zachować złoty środek: dać tyle informacji, ile trzeba, ale nie za dużo, żeby nie obrazić protekcjonalizmem. Na jednym końcu spektrum są zawodowcy, którzy piszą do zawodowców: zbiory receptur dla kucharzy („pokrój w julienne i zredukuj”) oraz dawne przepiśniki doświadczonych gospodyń („mąki, ile weźmie”). Na drugim sytuują się książki „dla bystrzaków” czy dawniejsza publikacja „Dla samotnych i zakochanych”, gdzie wyjaśnia się nawet gotowanie jajek („Dobrze ugotować jajko na miękko to wcale nie taka prosta sprawa”).

Oprócz poziomu trudności książki różni też ton, stosunek do jedzenia i gotowania oraz zacięcie literackie autora czy autorki. O poetyce i genologii książek kucharskich powstało wiele poważnych rozpraw pióra między innymi Anny Barańczak. Na własne potrzeby dzielę je na trzy typy: „Jamie” (motto: prosto i precyzyjnie), „Nigella” (motto: przyjemnie i permisywnie) oraz „Ekspert” (motto: pogoń za perfekcją). Żeby wpuścić trochę światła do kuchni tłumaczki, zilustruję dwa pierwsze typy.

Nagi Szef

Jamie Oliver ma 49 lat, pięcioro dzieci i 35 książek na koncie. Ma też tytuł rycerski za wkład w propagowanie zdrowego żywienia, ↦

AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

↦ a światowe imperium sir Jamiego działa jak dobrze naoliwiona maszyna – co rok nowa książka, seria programów telewizyjnych, koordynowane i zsynchronizowane tłumaczenia na mnóstwo języków. Łatwo popaść w cynizm i krytykować Nagiego Szefa za nadprodukcję treści i nabijanie sakiewki, gdyby nie to, że Jamie jest autentycznie sympatyczny: w mediach oglądamy go od prawie trzydziestu lat, a tak długo nikt nie byłby w stanie udawać. Jamie to fajny chłopak z sąsiedztwa, który chlusta oliwą, trochę koślawo kroi marchewki i walczy o to, żeby brytyjskie dzieci umiały odróżniać brokuł od kalafiora. A statystyczny John Brown potrafił ugotować makaron z domowym sosem, zamiast co wieczór zrywać plastik z dań do mikrofali.

Żywioł Jamiego to ekran, pisanie nie jest jego mocną stroną – ma dysleksję, pierwszą książkę przeczytał podobno w wieku 38 lat (napisawszy już kilka swoich). Oczywiście w redagowaniu przepisów pomaga mu sztab ludzi, którzy jednak starają się zachować kumpelski ton kucharza. Nie zapominają też o misji, jaką jest praca u podstaw i wyjaśnianie wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach: próg wejścia naprawdę jest bliski zeru.

Przekłada się to na dość ciężkostrawną dla tłumacza mieszankę: nieformalne, klawe wstępy, a po nich techniczne, niezwykle szczegółowe instrukcje. Które muszą zmieścić się na jednej stronie, bo układ graficzny książek, czyli piękne całostronicowe zdjęcia Davida Loftusa po lewej i przepis po prawej, jest nie do ruszenia. A jak wiedzą zwłaszcza tłumacze komiksów, polszczyzna jest rozwlekła – trudno się zmieścić. I o ile chmurkę można trochę powiększyć, a tekst skrócić, przepis musi być kompletny. Co wymaga niezłej gimnastyki.

Dodatkową trudnością są też elementy obce i ciągłe oscylowanie między przystępną swojskością a ekscytującą egzotyką. Jamie pisze głównie dla tych, którzy uczą się gotować i nie mają czasu albo pieniędzy na kuchenne ceregiele. Tłumaczenie też nie powinno więc stawiać oporu: należałoby udomowić składniki i przeliczyć jednostki, zastąpić *double cream* śmietaną 36 proc., a *golden syrup* wodą z cukrem. Tyle że ktoś, kto sięga po Jamiego, nie spodziewa się raczej Katarzyny Bosackiej. Wybrał książkę zagraniczną, bo przypuszczalnie znudziły mu się sznycle i pierogi. Chce odrobiny obcości, ale pewnie takiej, którą da się zdobyć w większych delikatesach.

Kłody pod nogi tłumaczki rzuca też „team Jamie", który stara się kontrolować wszystkie zamienniki. I słusznie, w końcu „Mininsterstwo żywności" obiecuje, że wyjdzie, więc musi komisyjnie sprawdzić, czy po zastąpieniu mąki samorosnącej tortową plus proszkiem bułeczki też się udadzą. Do tego dochodzi szaleńcze tempo, bo Jamie popełnia publikację co roku. Jak tylko zaszyfrowany plik trafi do wydawnictwa, trzeba w te pędy zabierać się do tłumaczenia, żeby książka zdążyła ukazać się przed świętami, targami czy inną karkołomnie bliską datą.

Na szczęście książki Olivera wydaje i redaguje wspaniała redaktor z doktoratem z fizyki, która też ma team znakomitych współpracowniczek, więc okiełznywanie kulinarnych i dietetycznych pomysłów kucharza jest naprawdę wysiłkiem zbiorowym.

Bogini w szlafroku

Nigella wsiada do taksówki i jedzie na targ po świeże składniki, które potem niezbyt starannie sieka, wrzuca do glinianej misy, obficie polewa oliwą i ze smakiem zjada. Nigella odprowadza córkę do szkoły (słoneczny dzień, bogata dzielnica, gustowny szary mundurek), wstępuje do rzemieślniczej piekarni, kupuje ćwiartkę chleba na zakwasie i w domu raczy się śniadaniem: bruschetta z awokado i pomidorem. Albo – moja ulubiona scenka – Nigella w szlafroku (często występuje w jedwabnych szlafrokach i kuszących podomkach) podgrzewa mleko w rondelku, w tym czasie drobi do miseczek białą bułkę, posypuje cukrem i zalewa ciepłym mlekiem. I *voilà* – idealny *comfort food* do spożycia w łóżku.

MATT ALEXANDER / EAST NEWS

Nigella Lawson podczas premiery najnowszej książki kucharskiej Yotama Ottolenghiego. Londyn, 1 września 2024 r.

„Przepis ma wiele twarzy: bywa tekstem użytkowym, dokumentem historii społecznej, artefaktem antropologicznym, pamiątką rodzinną, osobistym wyznaniem, a nawet literacką wprawką. I nie trzeba wybierać: wspaniałość jedzenia polega nad tym, że oprócz funkcji podtrzymywania życia obejmuje po trosze wszystkie sfery, od wzniosłego sacrum po przyziemne profanum" – pisze Nigella w swojej ostatniej książce „Zrób, zjedz, powtórz", w której, jak się skarży na portalu LubimyCzytać jedna z czytelniczek, „trochę za dużo gadania".

Mnie to gadanie smakuje, ale faktem jest, że w przeciwieństwie do Nagiego Szefa, który coraz bardziej redukuje tekst i nierzadko podaje po prostu „goły" przepis, Nigella obficie okrasza swoje receptury opowieściami, wplatając je w ciągły tekst. Domowa Bogini lawiruje między *sacrum* gastronomicznych metafor a *profanum* kuchennych braków, co dobrze ilustruje następujący fragment: „I owszem, [do *crème caramel*] użyłam samych żółtek, zamiast zwyczajowej kombinacji całego jajka i jednego żółtka, z przyczyn czysto pragmatycznych: po prostu miałam do wykorzystania dwa żółtka. I odtąd już nigdy nie skalam biał-

AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

Redakcja od kuchni

- **REDAKTORKA:**
  Wszędzie musiałam zamienić rondel na garnek, rondel zawsze ma jedną długą rączkę, a garnek niekoniecznie. Choć oczywiście rondel brzmi bardziej elegancko.

  TŁUMACZKA:
  A ja myślałam, że rondel owszem, ma rączkę, ale przede wszystkim jest niższy, więc kombinowałam z ilościami składników i płynów, które autor tam umieszcza. Ale mogłam się mylić.

- **TŁUMACZKA:**
  Na pewno „nogi" z kurczaka? Ja się na mięsie nie znam, ale u nas w stołówce zawsze były udka, nogi mieli uczniowie. No i zdanie: „Postaw nieprzywierającą żaroodporną patelnię na średnim ogniu i połóż na niej nogi, skórą do dołu, żeby się przypiekły" – makabra.

  REDAKTORKA:
  Udko to ta górna część, dolna to podudzie albo pałka, całość to noga. Dajmy te nogi tylko w składnikach, resztę zmienię, bo rzeczywiście często nazywa się całe nogi kurczaków udkami. Swoją drogą sprytnie przydzielił te nogi do rozdziału o kalafiorze, że niby warzywnie.

- **TŁUMACZKA:**
  Cheddar to w Anglii chyba synonim dowolnego żółtego sera. Może można by dać jakiś łatwiejszy u nas zamiennik („ser żółty" albo „gouda", no bo nie śmiem z „tylżyckim")?

  REDAKTORKA:
  Nie można.

kiem, które go utwardza – moja wersja była cudownie miękka i tylko lekko stężała, niczym delikatny pocałunek w usta".

Absolwentka literatury na Oksfordzie i była dziennikarka pisze stylem plastycznym i potoczystym, wspaniale odtwarza w tekście rozkosz, jaką widzimy na ekranie, kiedy oblizuje palce z czekolady czy zachłannie wgryza się w ciasto. Jej teksty przypominają zmysłowe opowieści Nigela Slatera, tyle że mniej u niej poezji, a więcej epikurejskiej, cielesnej rozkoszy.

Wymaga to od tłumacza szczypty talentu literackiego. I czujności, bo łatwo pogubić się w zamiennikach i dodatkowych opcjach. Ponieważ główną tezą Nigelli jest „ma być przyjemnie" – już w czasie szykowania rzadko wymaga egzotycznych, trudno dostępnych składników. Tyle że mieszka w Londynie, gdzie praktycznie wszystko można łatwo dostać. Wystarczy wsiąść do taksówki i podskoczyć do Harrodsa.

Jak wspominałam, zdarzało mi się też tłumaczyć książki wysoko specjalistyczne, kiedy przez dwa miesiące studiowałam podręczniki szkół gastronomicznych i oglądałam filmiki o tym, jak wyrabia się chleb i jak włoskie nonny kulają kluseczki. Konsultanci biedzili się, czym zastąpić mąkę *tipo 00* czy francuską *crème fraiche*. Zdjęcia były piękne, procedury skomplikowane, a rezultat? W przypadku potraw gotowanych ryzyko było niewielkie, ale wypieków nie byłabym pewna.

No ale przecież brioszkę z zakalcem zawsze można rozdrobnić, zalać mlekiem i odpłynąć w regresywną krainę dzieciństwa.

© DOROTA MALINA

STANISŁAW

Mancewicz:
Lepienie bałwana

Każdy z nas – jak tu ponuro siedzimy – przyzna, że polska polityka, polscy politycy, polska myśl polityczna to zestaw tworzący jedyny w swoim rodzaju segment. Łańcuch zdarzeń, dodajmy: niezmyślonych, składa się na obraz co najmniej anegdotyczny. Zacznijmy od nadętego zapewnienia, że oto nie będziemy męczyć aresztem człowieka ściganego przez Międzynarodowy Trybunał Karny, choć równocześnie domagamy się wydania nam osobnika poszukiwanego przez Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa. Jest to – każdy przyzna – sytuacja paradoksalna. Dorzucić tu można kwestie ogólniejszą – małpi refleks w zmienianiu prawa pod wpływem jednostkowych zdarzeń, też kryminalnych. Mamy przestępstwo, mamy przestępcę, opinia publiczna się nadyma, media, patomedia i pseudomedia międlą, więc potrzebne są nowe paragrafy i pseudoparagrafy. Kary więzienia i konferencje prasowe na ten temat się wydłużają. Politycy się nasrażają i formują. Opinia publiczna zaraz potem zapomina. Wszyscy zapominają, aż do następnego, nośnego medialnie wydarzenia w tym guście.

Skoro już jesteśmy w sferze najszerzej pojętego widzenia prawa, warto dorzucić tu niewątpliwie skuteczną i udaną próbę przekonania co najmniej połowy obywateli RP, że wielu polityków poprzedniej władzy to męczennicy i bohaterowie walk o niepodległą ojczyznę. Nie zaś najzwyklejsi wałkarze i przestępcy, których czyny są opisane we wszystkich możliwych kodeksach. Już tylko te przykłady – z życia polskiej polityki, z jej sedna – wystarczą, by serio zastanowić się, po co nasze państwo utrzymuje bądź licencjonuje kierunki prawnicze na uniwersytetach. Po co kształcić prawników, skoro dowolny polityk o dowolnej umysłowości stanowi tu *de facto* prawo, reguluje na nowo kodeksy, wymyśla sobie paragrafy, które jego następcy – jak wiadomo – zlikwidują albo zaostrzą.

Idźmyż dalej, bo lista solidnych rozrywek jest długa. Należy na nią wpisać najświeższe refleksje lidera tutejszej skrajnej lewicy. Podjął on właśnie decyzję o starcie w najbliższych wyborach. Uzasadnienie nie było długie – spór Kaczyńskiego z Tuskiem jest wedle p. Zandberga „sporem o nic", a jest to cytat. I to dlatego właśnie p. Zandberg ma zamiar zostać prezydentem Polski. Otóż niewątpliwie dla bardzo wielu ludzi, o poglądach choćby umiarkowanie lewicowych bądź także prawicowych, nie jest to wcale „spór o nic", bowiem jest sporem o to, czym jest i ma być wolność. Wypada może dodać coś akuratnego, że ewentualny spór o to, czy p. Zandberg ma rację w jakiejkolwiek sprawie, jest właśnie znakomitym przykładem „sporu o nic".

Z drugiej strony sceny dostaliśmy programowe wyznania p. Nawrockiego, który powiada, że jego „partia ma na imię Polska". Podpowiadamy: jego partia ma inne imię, które brzmi Prawo i Sprawiedliwość, co doprawdy niesie wiele informacji i skojarzeń, ale na pewno nie kojarzy się z bezpartyjnością. Dodać wypada, że te wszystkie mądrości o obywatelskości i bezpartyjności kandydat PiS-u ogłasza podczas spotkań w siłowniach i na religijnych zlotach kibiców piłkarskich. A co robi inny kandydat, p. Trzaskowski? Nic nie robi i to też jest śmieszne. No więc samo w sobie jest to wszystko szalenie osłabiające, a gdy jeszcze na deser sobie uświadomimy, że i ustępujący prezydent, i co najmniej dwóch kandydatów do tego urzędu mają doktoraty, to człowiek ma ochotę iść natychmiast do lekarza.

Może dlatego, że jest piękna zima, odnosimy ostatnio wrażenie, że w Polsce trwa wielkie lepienie z obywateli jednego wielkiego bałwana, którym będzie się można pochwalić p. Trumpowi podczas sojuszniczej inwazji na Grenlandię. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiemi scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY

Tygodnik to doskonały partner dla Twojego wydarzenia!

Od lat towarzyszymy instytucjom kultury, samorządom, firmom oraz NGO w podejmowanych inicjatywach, oferując wsparcie redakcyjne i promocyjne. Wspólnie z naszymi Partnerami wydaliśmy dziesiątki publikacji, dodatków tematycznych i specjalnych serwisów internetowych, robiąc to z największym profesjonalizmem i z pełnym zaangażowaniem.

Odwiedź naszą stronę i poznaj dotychczasowe realizacje:
TygodnikPowszechny.pl/dodatki-tematyczne

Napisz na promocja@tygodnikpowszechny.pl lub zadzwoń do nas:

Anna Pietrzykowska tel. 602 590 416
Mateusz Gawron tel. 602 331 791

Poznajmy się, porozmawiajmy i zostańmy Partnerami!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REPERTUAR luty 2025

1 SOB.	**1989** reż. K. Szyngiera		Duża Scena
	Szczeliny istnienia reż. I. Kempa		Dom Machin
	Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie		
2 NDZ.	**1989** reż. K. Szyngiera		Duża Scena
	Szczeliny istnienia reż. I. Kempa		Dom Machin
5 ŚR.	**Opowieść wigilijna** reż. J. Krofta, M. Wojtyszko	AD	Scena MOS
6 CZW.	**Australia** reż. T. Pyrczak		Dom Machin
	Opowieść wigilijna reż. J. Krofta, M. Wojtyszko		Scena MOS
7 PT.	**Australia** reż. T. Pyrczak		Dom Machin
	Opowieść wigilijna reż. J. Krofta, M. Wojtyszko		Scena MOS
	Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie		
8 SOB.	**Chwalmy się! Dobre praktyki edukacyjne**		Scena MOS
	Australia reż. T. Pyrczak		Dom Machin
	Opowieść wigilijna reż. J. Krofta, M. Wojtyszko		Scena MOS
	Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie		
9 NDZ.	**IMPRO KRK**		Scena MOS
11 WT.	**Bóg, ja i pieniądze** reż. M. Wojtyszko		Dom Machin
12 ŚR.	**Bóg, ja i pieniądze** reż. M. Wojtyszko		Dom Machin
	Przywrócone Arcydzieła „300 mil do nieba" reż. M. Dejczer		Kino MOS
13 CZW.	**Znachor** reż. J. Roszkowski		Scena MOS
14 PT.	PREMIERA **Ulisses** reż. M. Borczuch		Duża Scena
	Agamemnon reż. Sz. Kaczmarek		Dom Machin
	Znachor reż. J. Roszkowski		Scena MOS
15 SOB.	**Ulisses** reż. M. Borczuch		Duża Scena
	Agamemnon reż. Sz. Kaczmarek		Dom Machin
	Język polski na dwa głosy – warsztaty edukacyjne		Scena MOS
	Znachor reż. J. Roszkowski		Scena MOS
16 NDZ.	**Ulisses** reż. M. Borczuch		Duża Scena
	Znachor reż. J. Roszkowski		Scena MOS
18 WT.	**Ulisses** reż. M. Borczuch		Duża Scena
	Szymborska. Kropki, przecinki, papierosy reż. A. Gryszkówna		Dom Machin
19 ŚR.	**Szymborska. Kropki, przecinki, papierosy** reż. A. Gryszkówna	AD	Scena MOS
20 CZW.	**Szymborska. Kropki, przecinki, papierosy** reż. A. Gryszkówna		Dom Machin
	Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie		
21 PT.	**Serce ze szkła. Musical zen** reż. C. Tomaszewski		Duża Scena
	Botticelli reż. P. Świątek		Scena MOS
	Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie		
22 SOB.	**Serce ze szkła. Musical zen** reż. C. Tomaszewski		Duża Scena
	Botticelli reż. P. Świątek		Scena MOS
	Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie		
23 NDZ.	**Serce ze szkła. Musical zen** reż. C. Tomaszewski		Duża Scena
	Myślnik. Jazz – filozofia – stand-up Sezon 4. Spotkanie 6.		Scena MOS
25 WT.	**Debil** reż. P. Ratajczak		Dom Machin
26 ŚR.	**Debil** reż. P. Ratajczak		Dom Machin
27 CZW.	**Chory z urojenia** reż. G. Pampiglione		Duża Scena
	Lepper. Będziemy wisieć albo siedzieć reż. M. Liber		Scena MOS
	Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie		
28 PT.	**Chory z urojenia** reż. G. Pampiglione		Duża Scena
	Pani Bovary. Możliwa historia reż. G. Jakubowska Raczkowska		Dom Machin
	Lepper. Będziemy wisieć albo siedzieć reż. M. Liber	AD	Scena MOS

Teatr im. J. Słowackiego **w Krakowie**

teatrwkrakowie.pl

Piotr Rowicki

SZYMBORSKA

Kropki, przecinki, papierosy

reżyseria Anna Gryszkówna

obsada: Martyna Krzysztofik / Agnieszka Przepiórska, Antoni Milancej

GRAMY: 23, 24, 25, 26 stycznia; 18, 19, 20 lutego 2025 r.

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie | INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO | MAŁOPOLSKA | Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego | OFICJALNI PARTNERZY TEATRU | BMW M-Cars Group | Bielenda | PATRON MEDIALNY TVP3 KRAKÓW

REKLAMA